

Edmund

Niziurski

Gwiazda Barnarda

Iskry Warszawa 1989

Opracowanie graficzne Anna Bauer Redaktor Zenaida Socewicz-Pyszka Redaktor techniczny

Elżbieta Kozak Korektor Agata Bołdok

Od kilku dni moje myśli krążą uparcie wokół Eechtonów (przez dwa „e”). I, żeby nie było niedopowiedzeń i nieporozumień, wyjaśniam od razu: Eechtonowie, czy też jak ktoś woli Eeechtoni, są mieszkańcami planety Uur. Rozstrzygnąłem już ich pochodzenie i sprawdziłem osobiście.

Rzecz w tym, że nader nieopatrznie rzuciłem im wyzwanie. Lubię żartować i często robię kogoś w konia, ale, niestety, to nie żart. Jestem w kropce. Wplątałem się w kosmiczną aferę i nie wiem, czy potrafię jej sprostać, ale, gdy to się zaczynało, działałem jak w transie. Nie mogłem przecież przepuścić takiej niezwyklej okazji. No i teraz jestem jednocześnie na planecie Uur i na Ziemi, a właściwie istnieje dwu Romków, ja i mój idealny duplikat-sobowtór. Ja tu, on tam. Problem w tym, że jest nas dwu, ale umysł mamy jeden. Jak na dwa samodzielnie poruszające się ciała, trochę za mało. Pół biedy jeszcze, gdy jeden z nas śpi. Wtedy drugi może korzystać niemal w pełni z władz umysłowych pierwszego i podejmować dowolne działania, a pierwszemu co najwyżej śnią się jakieś niespokojne, męczące, zbyt prawdziwe sny, których sam jest bohaterem. Choć podzieliliśmy się ja i mój brat duplikat sprawiedliwie i po równo czasem dysponowania władzami umysłowymi, to przecież trudno spędzić dwanaście godzin w bezruchu, bezczynności i w niemyśleniu. Spać można osiem, dziewięć godzin, a co z resztą? Toteż nic dziwnego, że zdarzały się przykre kolizje, gdy obaj naraz chcieliśmy zawładnąć umysłem. Zwyciężał ten, kto w danej chwili miał większy ładunek skoncentrowanej bioenergii, działał szybciej, aktywniej, bardziej zdecydowanie, okazywał większą wolę postawienia na swoim. Kto przegrywał, czuł, że nagle traci wątek, przerywał rozpoczętą czynność, zapominał, co robił przed chwilą, popadał w stan osłupienia i odrętwienia. Kiedy więc bratu udawała się ta sztuczka, a ja akurat byłem "w szkole, miało miejsce nader przykre zjawisko: przestawałem myśleć, uważać i brać udział w lekcjach. Nie rozumiałem, co się do mnie mówi, a rozgniewani nauczyciele zarzucali mi, że śpię na lekcji lub, że marzę o niebieskich migdałach.

Tak, to była poważna niedogodność, nie neguję, ale za to w nagrodę, jakie to owierało obłędne możliwości! Być w dwu miejscach naraz. Jedna osoba w dwu ciałach! Jakie to może dawać niezwykle korzyści, wręcz kapitalne zyski, gdy się tylko dobrze pogłókuje. Och, od pomysłów aż się we łbie kręci! Dawniej podobna sytuacja wydawałaby mi się absurdalna i zupełnie niemożliwa. A jednak tak się stało. Jakieś trzy tygodnie temu i to z powodu głupich żab! Tak, żab, kto by pomyślał! Ja, regularny dotąd pechowiec, miałem nareszcie wyjątkowe szczęście.

Gdy to się stało, byłem akurat przy kanale na moczarach, łapałem kijanki do słoika i nagrywałem głosy żab na starym magnetofonie z odtwarzaczem; oczywiście nie dla własnej przyjemności, tylko na zlecenie Trufli, naszej pani od biologii.

Akurat słońce czerwone jak krew rozlało się na ławice chmur na zachodzie i osłepiło mnie na moment, gdy nagle poczułem ukłucie jakby tysięcy igiełek na całym ciele. Cichutkie brzęczenie rozległo się w powietrzu. Myślałem, że to stada wieczornych komarów, przyczajonych za dnia w cieniu olch, wzbily się w powietrze, ale nagle wszystko ucichło. Otworzyłem oczy i wtedy zobaczyłem... Moczar wzdał się, nabrzmiał pośrodku i jak wielka skorupa błotnego żółwia wyłoniła się z niego pomału błyszcząca nienaturalnym jaskrawym światłem bladożółta półkula...

Paraliżowany strachem, a jednocześnie pchany ciekawością zastanawiałem się, co robić. Ale oni zadecydowali za mnie. Zostałem uniesiony w powietrze i w sekundę później wessany w pozycji leżącej w głąb obiektu. Wessanie nie jest tu zresztą właściwym określeniem, bo siła nie miała nic wspólnego z dekompresją; podejrzewałem raczej jakąś grawitacyjną sztuczkę.

Znalazłem się w niebieskawym świetlistym wnętrzu, pozornie pustym, bez urządzeń i osprzętu, jakby w wielkim pluszowym pudle... szczelnie zamkniętym, bez okien i bez drzwi. Byłem w stanie

półnieważkości. Oczywiście szalałem ze strachu. Krzyczałem, wzywałem ratunku, waliłem w ściany pięściami... O dziwo, były miękkie. Pod naporem moich ciosów ustępowały lekko, zapadały się, jakby były z gąbki; moje pięści grzęzły w nich bezboleśnie jak w maśle, nie czyniąc im żadnej szkody. Po każdym ciosie ściany wyprostowywały się na nowo, wygładzały. Były niesłychanie sprężyste. Odbijałem się od nich jak piłka, a raczej jak lekki balonik. To było nawet przyjemne. Wreszcie świadom bezowocności moich wysiłków, dysząc ciężko siadłem na podłodze i próbowałem, już bardziej na chłodno, zastanowić się nad sytuacją. Mój lęk minął szybciej, niż myślałem. Może pod wpływem specyficznej aury tego wnętrza... Stopniowo ogarnęło mnie uczucie odprężenia, lekkości i rzeźkości. Mój oddech wrócił do normy. Strach ustąpił miejsca ciekawości.

— Czy jest tu ktoś, do diabła?! — zawołałem.

Wtedy ściana uwypukliła się w jednym miejscu, przetarła jakby i wysunęło się z niej urządzenie z wielkim ekranem pośrodku i z klawiaturą na dole ze znakami pisarskimi. Były to znaki alfabetu łacińskiego. Czyżbym miał do czynienia z jakimś komputerem?

Postanowiłem sprawę zbadać i- wystukałem na klawiaturze słowo „cześć!”

W odpowiedzi na ekranie ukazał się napis: „Pisz pytania, smarkaczu!” Urażony nieco tym trywialnym i jakoś niegodnym przybyszów z kosmosu epitetem, sapałem przez chwilę, a potem wystukałem:

— Przepraszam!

— Bez fochów, ryjku świński. Chcesz rozmawiać czy nie?

Z trudem pohamowałem gniew. Ciekawość zwyciężyła. Przelknąłem więc kolejną obelgę i drżąc ze zdenerwowania ręką wystukałem pierwsze zasadnicze pytania: kim są, skąd przybywają i na jakiej zasadzie działa ten statek kosmiczny. Dowiedziałem się, że mam do czynienia z Eechtonami (przez dwa „e”), przybyszami z odległych jakoby stron galaktyki, z planety, która nazywa się Uur (przez dwa „u”). Niewiele mi to mówiło. Z dalszych mętnych wyjaśnień dowiedziałem się tylko, że pojazd kosmiczny, na którym się znajduję, nosi imię Theta, a jego ruch odbywa się na zasadzie odpowiedniego włączania i wyłączania sił grawitacyjnych, tudzież precyzyjnego manipulowania nimi. Prawie nic z tego nie rozumiałem, a gdy grzecznie poprosiłem o bliższe wyjaśnienia, maszyna, zniecierpliwiona i pełna pogardy dla mej ziemskiej ignorancji, obrzuciła mnie całym stekiem czysto ziemskich wyzwisk, wulgarnych i nieprzyzwoitych.

— Takie słowa?! Czy tak mówią Eechtoni?! — poczerwieniłem ze wstydu. — Chyba pomyłka tłumaczącego was komputera. Albo włączył się niewłaściwy program!

— Nie ma żadnej pomyłki, gnoju! — odczytałem w odpowiedzi. Właściwie należało obrazić się i wyjść.

— Jesteście wyjątkowe chamy — wykrztusiłem zde gustowany manierami przybyszów — zupełnie wyjątkowe, muszę powiedzieć! Naprawdę nie przypuszczałem, że w kosmosie może szerzyć się podobne chamstwo! — wybębniałem na klawiaturze.

— Stul pysk, zołzo, ty nędzny worku cuchnących protein! — odczytałem w odpowiedzi.

Nie mogłem przelknąć takiej wymyślnej zniewagi. Chciałem zerwać się z podłogi, otrzepać ostentacyjnie spodnie z ewentualnego pyłu kosmicznego i opuścić z godnością to niekulturalne towarzystwo, ale z przerażeniem poczułem, że unieruchomiono mnie.

— Puśćcie, ja chcę wyjść!

— Wyjdiesz, gdy przyjdzie czas — pojawił się napis. — Jeszcze nie skończyliśmy.

Czego nie skończyli? Badań? Czy to miało znaczyć, że jestem przedmiotem ich pilnej obserwacji? Tak. Bardzo prawdopodobne. Więc nie ma sensu dawać im przedstawienia. Przestałem się rzucać i leżałem chwilę bez ruchu. Pomogło. Przeciężenie, któremu mnie poddano i które przygniotło mnie do podłogi, ustępowało powoli.

Postanowiłem podjąć ostatnią próbę porozumienia, puszczając w niepamięć obelgi.

— Czy możemy dalej rozmawiać? — wystukałem.

Na ekranie pojawiły się falujące linie w różnych kolorach. Tu i ówdzie na ścianie i suficie zaczęły

błyskać dziwne, żółte i pomarańczowe iskierki. Wreszcie ekran uspokoił się nieco i mogłem odczytać na nim drgający napis:

— Wpierw skończ z tym skrzekiem, ty rzepało prehistoryczny.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że Eechtonom chodzi o mój zdezelowany, skrzeczący, trzeszczący i piszczący magnetofon, który zapomniałem wyłączyć. Ale przecież trzeszczał bardzo cicho...

Czyżby mieli aż tak delikatne uszka? Wyłączyłem aparat. Ekran uspokoił się od razu, a iskierki na ścianach pogasły.

— Już w porządku?

— Tak. Możesz pytać.

— Kiedy przybyliście do nas?

— Miesiąc temu.

— Pierwszy raz?

— Dwutysięczny dwudziesty pierwszy.

— Czy możemy rozmawiać szczerze?

— Potrafisz?

— Skąd naprawdę przybywacie?

— Z planety Uur, już ci mówiliśmy, mózdzku peptydowy.

— A gdzie to jest? Milczeli.

— Powiedźcie przynajmniej, czy w Układzie Słonecznym, czy poza nim? Koło jakiej gwiazdy?

— Nie twój wszawy interes!

— Jaki jest cel waszej wizyty u nas? Znów milczenie.

— Posłuchajcie, jeśli mamy być w przyjaznych stosunkach, musimy znać wasze zamiary, a wy musicie zachowywać się jako goście, a nie jak aroganccy " intruzi.

— Nic nie musimy, ty głupi proteidowy bękarcie!

— Czy nie możecie rozmawiać ze mną grzeczniej? Istoty z tak rozwiniętej cywilizacji powinna cechować pewna kultura. Co wam zrobiłem? Skąd ta wulgarność... — wykrztusiłem do głębi zawiedziony, czując, że łzy stają mi w oczach. — Nie tak wyobrażałem sobie spotkania z inteligentnymi sąsiadami z kosmosu...

— Propedeu-eu-eu kopsantes gzyms!

— Co?

— Tutturuttu kalasantes ryms!

Było jasne, że nabijają się ze mnie, po prostu szydzą w żywe oczy. Zrozumiałem. Mają złe zamiary. To nie są istoty przyjazne w rodzaju filmowego Jedi. Są bezwzględni, złośliwi i mają nas za nic. Te aluzje do struktur białkowych, to pokpiwanie z proteidów i peptydów! Chyba sami są innej struktury. W ogóle ani razu się nie pokazali. Byli cały czas niewidoczni. Bardzo zadziwiająca historia! Przyznali, że badają mnie. Jestem całkowicie w ich rękach, zdany na łaskę i niełaskę. Mogą mnie tu uwięzić i poddać bolesnym, okrutnym badaniom, mogą nie tylko torturować, mogą zabić albo jeszcze gorzej, uprowadzić z sobą. Mój strach obudził się na nowo.

— Już me mam pytań — wystukałem, z trudem trafając w klawisze i połykając ze strachu litery. — Chciałbym wyjść. Spieszę się. Puśćcie mnie!

Nie było długo odpowiedzi. Tylko ekran ciemniał powoli. Czyżby się naradzali? Czuję, że ważą się moje losy. Wreszcie ekran zgasł całkowicie i reszta połyskujących jeszcze na ścianach tu i ówdzie światełek. Niemal w tej samej chwili poczułem silne pchnięcie, a raczej, co tu ukrywać, solidnego kopniaka w pupę. Ogarnęła mnie ciemność, owionęło chłodne ostre powietrze.

Pojedyncze krople deszczu siekły moją rozpaloną twarz.

Zrozumiałem, że jestem poza pojazdem Eechtonów, daleko „za burtą" Thety. Uciekałem co sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Bałem się, że się rozmyślą i za pomocą swoich grawitacyjnych sztuczek z powrotem wciągną mnie do tego diabelskiego wehikułu albo... albo, że to jest jeszcze jeden eksperyment w ramach ich przeklętych badań i za chwilę padnę trupem,

I

rażony jakimś laserem czy inną nieznaną bronią tych chamów z kosmosu. Potem pokroją mnie, żeby zobaczyć, jak taki nędzny worek proteidów, czyli ja, wygląda od środka. Ale nic złego już się

nie przytrafiło, z wyjątkiem tego, że utyliłem się jak przysłowiowa świnia, bo podczas panicznej ucieczki zapadałem się po kolana w bagiennym błocie. No i z tego wszystkiego zapomniałem o słoiku z kijankami, został na pokładzie Thety (dobrze, że nie zapomniałem o magnetofonie). Oczywiście w nocy nie zmrużyłem oka, a kiedy w końcu usnąłem — już robiło się widno. Śniło mi się, że przyszli do mnie Eechtonowie, żeby kontynuować swoje eksperymenty.

Był to jeden powtarzający się w różnych wariantach koszmar, aż do zupełnego wyczerpania. W dodatku tak długi, że obudził mnie dopiero piekielny hałas śmieciarki pod oknami. Było już grubo po ósmej. Gdy zziąjany przybiegłem do szkoły, Trufla zdążyła już stracić swoją poranną pogodę, z którą na przekór doświadczeniom zjawiała się co dzień w budzie, twierdząc, że optymiści żyją dłużej. Tym razem widać nie starczyło jej nawet na pół godziny, bo miotła się wściekle. Podobno ktoś wrzucił jej kijanki do herbaty, którą zwykle popijała w pracowni. Nawet nie zauważyła, jak słodziła i wypiła ich parę, zanim połapała się, że to nie fusy pływają... Sprawca pozostał nie wykryty, a gniew rozczarowanej optymistki (zapewniam, nie ma nic gorszego) skrupił się na mnie. Dostałem bombę za to, że nie przyniosłem „materiału dydaktycznego”, a gdy próbowałem się usprawiedliwić i opowiedziałem o Eechtonach na moczarach, wpisała mnie do dziennika za to, że urządzam sobie kpiny z nauczycieli. (Trufelska sprawiedliwość!)

Wściekły, postanowiłem sobie, że wykreślę Eechtonów z mej pamięci, ale , okazało się to niewykonalne. Myślałem o nich coraz więcej i po kolejnej koszmarnej nocy — ciekawość jeszcze raz zwyciężyła strach — wcześniej rano udałem się na to samo miejsce przy kanale na moczarze. Ale daremnie się rozglądałem. Po Thecie nie zostało najmniejszego śladu. Odleciała czy zapadła się w grzęzawisko? Straciłem dwie godziny i nie doczekałem się żadnej sensacji. Rozczarowany, ale zarazem z pewną ulgą, że mam Eechtonów z głowy, wróciłem do domu. Ale już przeżuważając w zamyśleniu śniadanie doszedłem do wniosku, że niepojawienie się Thety o tej porze niczego nie tłumaczy i o niczym nie świadczy. Przecież wtedy widziałem ją wieczorem, dokładnie podczas zachodu słońca. Bardziej więc prawdopodobna jest hipoteza, że Theta znika w dzień, może kryjąc się w moczarze, a wynurza dopiero o zachodzie słońca. Muszę to sprawdzić jeszcze dziś wieczorem — postanowiłem sobie.

10

Żeby przemóc strach i uzasadnić powtórny ryzykowną wyprawę w to niebezpieczne miejsce, pomyślałem o groźbie, naprawdę światowej groźbie, jaką dla wszystkich nas, ludzi, są Eechtoni. O tym, żeby pisać coś starym na ten temat, oczywiście nie ma mowy. Oni nie wierzą w takie rzeczy. Z pewnością potraktowałiby moje rewelacje jak Trufla w szkole. Będę musiał działać sam. A że muszę działać, to było oczywiste. Gdyby się coś stało, nigdy nie darowałbym sobie, że to z mojej winy, że wiedząc o Eechtonach zaczajonych w trzęsawisku nie zrobiłem nic, by się im przeciwstawić. A co do tego, że oni są niebezpieczni, nie miałem złudzeń. Problem tylko, jak ich podejść. Z pewnością pierwszą rzeczą, którą należy zrobić, to zebrać więcej informacji. Bezpośrednie pytania nie prowadzą, jak się przekonałem, do niczego, a tylko wywołują ich wściekłość i wyzwają potok wulgarnych wyzwisk. Do prawdy należałoby chyba dojść okreśną drogą, unikając drażliwych tematów i usypiając ich czujność, dojść drogą dedukcji, eliminacji i analizy tego wszystkiego, co będą mówić... jeśli umiejętnie pokieruję rozmową. Przypomniałem sobie, czego o tych metodach uczyłem się w szkole na matmie. Moim atutem jest to, że oni gardzą ludźmi i nie doceniają inteligencji człowieka.

Tak, miałem zasadnicze, moralne powody, żeby jeszcze raz złożyć wizytę w Thecie. Ale nie czarujmy się, to nie te szczytne pobudki, ale zwykła ciekawość głównie mnie tam pchała. Tak więc na trzeci dzień po pierwszym spotkaniu z Thecą wieczorem znów znalazłem się na trzęsawisku przy kanale. Rozpogodziło się. Po dwóch deszczowych dniach pełno było wody. Połyskiwała małymi błękitnymi lusterkami wśród wysepek olch, wiklin i tataraków, odbijając krwawe łuny zachodzącego słońca. Wielkie bąble powietrza wychodzące z pobliskiej kałuży napawały mnie nadzieją, że Theta wciąż tu tkwi i „oddycha”.

I nie myliłem się! Gdy tylko ostatni rąbek czerwonej tarczy słońca skrył się za Parkiem Subkultury, półkulisty wehikuł Eechtonów wynurzył się z mokradeł, dokładnie jak trzy dni temu. Z mocno bijącym sercem ruszyłem w jego stronę, z trudem wyciągając nogi z błota. Zauważyli mnie! Zielonkawy słup światła jak dywan położył się na mojej drodze. Czy i tym razem przechwycą mnie swoim niesamowitym urządzeniem grawitacyjnym? Tak! Natychmiast pó przekroczeniu pewnej odległości krytycznej zostałem brutalnie wciągnięty do wnętrza Thety.

Przywitań nie było ani żadnych towarzyskich grzeczności. Tak jak poprzednio ze ściany wysunął się ich superkomputer z klawiaturą i ekranem, na którym pojawił się rażący wulgarnością napis:

11

— Siadaj, gówniarzu! Jesteś badany. Uprzedzamy cię. Bez wygłupów! Opanuj swoje szmatławę nerwy!

Przełknąłem zniewagę, postanowiłem się opanować, usiadłem i wystukałem na maszynie:

— Czy mogę pytać?

— Pytaj! — odczytałem odpowiedź.

— Dlaczego nie mogę was widzieć?

— Bo tak naprawdę, to nas tu nie ma.

— Nie ma?! — zdumiałem się.

— Wysyłamy na Ziemię tylko przedłużacze naszych receptorów. Dzięki nim widzimy, słyszymy i w ogóle czujemy tak, jakbyśmy byli osobiście na miejscu.

— To znaczy, że... że ten pojazd... ta Theta jest pojazdem bezzałogowym?

— Jasne, że ibezzałogowym, durniu!

— To po co go wysyłacie?

— Jak to po co, matole?!

— No, bo skoro macie te przedłużacze i możecie obserwować, tak jakbyście byli tutaj, to do czego wam służy taki pojazd jak Theta?

— Do transportu pewnej niezbędnej technologii.

— Przywozicie tu waszą technologię? — zaniepokoiłem się. Ogarnęły mnie złe przeczucia. — Po co ją przywozicie?

— Jest potrzebna do formowania agentów.

— Agentów? — przeraziłem się nie na żarty.

— Cała wasza Ziemia jest nimi naszpikowana.

— Waszymi agentami?

— Właśnie!

— I przywozicie ich Thetą!

— Matoł jesteś. Nie przywozimy. My ich tu formujemy, wyraźnie powiedziałem, formujemy na miejscu, w Thecie, w ściśle zaprogramowanym kształcie.

— Jakim kształcie?

— Naszym kształcie. Oni są nami, to znaczy, mówiąc dokładnie, niektórymi z nas.

— Nie rozumiem.

— To proste. Kto z nas chce być jednocześnie agentem na Ziemi — agenci otrzymują wysokie wynagrodzenie — może przekazać Thecie za pomocą metachronu swój kod genetyczny i dać się zrekonstruować na Zie-

12

mi, to znaczy odtworzyć w identycznym kształcie. To się nazywa redupli-kacja.

-^ I robicie to?

— Wielu z nas to robi ze zwykłej ciekawości, bo po wszczępieniu przedłużaczy taki sobowtór staje się nam bezwzględnie posłuszny. Dysponujemy nim całkowicie, jak naszym drugim ciałem. Innymi słowny, stajemy się właścicielami dwu ciał, sterowanych jednym umysłem. Istniejemy jednocześnie u nas, na naszej planecie, i na Ziemi...

— Jeden Eechton w dwu osobach! Dwa egzemplarze tej samej istoty! Podwójne istnienie!—

wykrzyknąłem szczerze zachwycony, a potem pomyślałem, że warto się bliżej zainteresować tym równie cudownym jak niebezpiecznym wynalazkiem żeby ich pociągnąć za język, dodałem szybko z fałszywą skromnością: — Nie wiem, czy się nie mylę, ale taka produkcja wymaga specjalnych urządzeń, jakiejś aparatury, no i odpowiednich materiałów.

. — Nie mylisz się i główkujesz poprawnie, mimo swego wrodzonego upośledzenia umysłowego, właściwego rasie ludzkiej. Jasne, że potrzebna jest aparatura i materiały. Tego rodzaju aparatura stanowi podstawowy kanon wyposażenia każdej Thety, jeśli zaś chodzi o materiały, większość ich można uzyskać na Ziemi. Nieosiągalne i niewytwarzalne na waszej planecie elementy sprowadzamy statkami dwa razy w roku. Po wylądowaniu każda Theta przez pół roku służy za bazę reprodukcyjną i rekreacyjną i zamienia się w coś w rodzaju...

— ...wylegarni szpiegów — dokończyłem dość ryzykownie, ale oni nie dostrzegli w moim określeniu nic niestosownego.

Indagowałem więc dalej:

— Ciekaw jestem, jak wygląda taki świeżo wypuszczony z aparatury szpieg, a może to tajemnica?

— Och nie, możemy ci powiedzieć. Każdy egzemplarz jest tak świetnie wykonany, że nie odróżnisz go od zwykłego człowieka.

— Czyżby byli odpowiednio przebrani, zamaskowani i ucharakteryzowani?

— Dla niepoznaki dajemy im ludzkie twarze, zwykle twarze pomarszczonych starców. Młoda, świeża skórę trudno podrobić. O wiele łatwiej sfabrykować skórę starców, może być nawet gorszej jakości, nikt nie pozna. Starcy mają taką okropną cerę, tyle bruzd, zmarszczek i plam! Co prawda ci agenci, tak jak my, odznaczają się niewielkim wzrostem i mają siedem palców u rąk i tyleż u nóg, w dodatku ich i nasze palce u nóg są chwytne, ale maskujemy je...

13

— Za pomocą butów i rękawiczek, oczywiście rękawiczek pięciopalcowych!

— Twoja bystrość graniczy z cudem! — oznajmiła maszyna.

Do licha! A więc szpiegują przebrani za niskich staruszków w rękawiczkach! Sprytnie!

Przypomniałem sobie, ilu znam takich staruszków choćby w naszym osiedlu. Mój własny dziadek był niewielkiego wzrostu i zwykle nosił rękawiczki. Czyżby i on?! Ogarnął mnie lęk. Coś trzeba zrobić! Nad Ziemią zawisło groźne niebezpieczeństwo, nie ma co do tego żadnej wątpliwości!

Trzeba natychmiast działać?! Ale jak?! Spokojnie, tylko spokojnie, bez popłochu — próbowałem opanować nerwy. Pracujmy systematycznie! Najpierw trzeba zręcznie wydobyć od nich informacje, gdzie znajduje się planeta Uur, na której rzekomo żyją i z której wystartowała Theta. Zauważyłem już, że łatwo wpadają w gniew i podniecenie, postanowiłem więc rozdrażnić ich i sprowokować. Może w gniewie coś się im wymknie nieopatrznie... Uśmiechnąłem się krzywo i powiedziałem lekceważącym tonem:

— No, dobrze, wasze bajeczki były bardzo ciekawe, ale dość robienia mnie w konia!

Porozmawiajmy poważnie!

Błyski, sykania i piszczenia wokół mnie nasiliły się gwałtownie.

— Ty małpi pryszczu — ujrzałem napis — ty bezczelny worze cuchnących protein!

Śmiesz podawać w wątpliwość nasze wyjaśnienia, których raczyliśmy ci udzielić?!

— Tak, bo mam racjonalne powody — odparłem spokojnie. — Mówicie, że was tu nie ma, a co znaczą w takim razie te fizyczne objawy waszej obecności, te błyski, syczenia i piszczenia?

— Żałosny ignorancie! Tyle tylko postrzegają twoje ubogie zmysły z całego bogactwa przejawów naszej osobowości, widocznych w końcówkach przedłużaczy receptorów oraz z całej wspianalej, ultraczulej aparatury badawczo-naukowej tu zainstalowanej!

Bardzo dobrze — pomyślałem — już udało mi się wyprowadzić ich nieco z równowagi. Oto ich słaba strona: są zarozumiali i wielkiego mniemania o sobie, a zarazem bardzo przewrażliwieni na tym punkcie, co zwykle idzie w parze, i pełni pogardy dla innych... Tak, dobrze ich wyczułem, no to dalej w tym stylu! Postanowiłem urazić ich boleśnie w to wrażliwe miejsce.

— Jeśli to są tylko przedłużacze, to nie zawracajcie głowy, że jesteście spoza naszego układu, gdzieś z innej strony galaktyki! Niemożliwe, żeby przedłużacze działały tak daleko! Z pewnością znajdujecie się nie dalej niż orbita Jowisza. Wyglądacie mi na ponurych facetów, z któregoś z

ponurych

14

satelitów tej planety, na przykład z Io! Od początku wiedziałem, że tylko się zgrywacie na wielkich podróżników kosmosu, a nosa nie wychyliście poza Układ Słoneczny, o ile w ogóle macie nosy... Dopekłem im chyba do żywego, świadczyło o tym niesłychane nasilenie efektów fizycznych wokół mnie. Błyski zamieniały się w oślepiającą łunę, syczenie i piszczenie w wibrujący, porażający ucho gwizd.

— Ty brudny zlepku proteidów! — ujrzałem wielki kulfoniasty, nabrzmiały czerwienią napis (niewątpliwie zdenerwowanie udzieliło im się nawet w piśmie). — Gdybyśmy mieszkali tak blisko, nie potrzebowalibyśmy w ogóle przedłużaczy. Żeby podpatrywać wasze życie, wystarczyłyby nam zwykłe wysięgniki psychergowe. Co więcej, posługując się siłą grawitacyjną Jowisza, moglibyśmy przyciągnąć do siebie waszą Ziemię jak piłeczkę na słabej gumce. Już trzysta lat temu, mówimy rzecz jasna o waszych ziemskich latach, nauczyliśmy się wykorzystywać siły ciężenia w naszej supertechnice, trzysta lat temu, nicponiu, gdy wy na Ziemi nie umieliście jeszcze nawet wykorzystywać zwykłej pary i elektryczności, gdy ten nieborak Newton dopiero formułował pierwsze prawa grawitacji... Niestety mieszkamy troszkę dalej, bagatelka — sześć lat świetlnych od Ziemi, a przy takich odległościach musimy używać przedłużaczy...

Serce zabiło mi mocno. Co za ulga! A więc wysnęło się im w końcu. Planeta Ur, na której przebywają, znajduje się sześć lat świetlnych stąd. Wiedziałem, że jeden rok świetlny to inaczej dziewięć bilionów czterysta sześćdziesiąt miliardów kilometrów, wykonałem szybko mnożenie i wyszło, że planeta Ur znajduje się w odległości pięćdziesięciu sześciu bilionów siedmiuset sześćdziesięciu miliardów kilometrów. Rzeczywiście bagatelka. Znałem na pamięć nazwy dziesięciu najbliższych gwiazd i ich dystans od Ziemi. Wiedziałem, że w odległości sześciu lat świetlnych, a dokładniej pięciu i dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych lat świetlnych od nas znajduje się tylko jedna gwiazda zwana Gwiazdą Barnarda albo Strzałą. Jest to bardzo szybka gwiazda typu czerwony karzeł pędząca do naszego układu z prędkością radialną minus sto osiem kilometrów na sekundę. A więc mogłem sobie pogratulować. Dowiedziałem się, czego chciałem! Ur jest planetą Strzały Barnarda!

— Zatkano cię, niedouczona pulpo plazmatyczna! — wydrukowała na ekranie maszyna różowymi okrągłymi kulfonami, co zapewne oznaczało złośliwą satysfakcję.

-=- Zatkano mnie, oszołomiło i osłupiło. To nie do wiary, jak poszliście do przodu mimo chamstwa cechującego wasze obyczaje! — oznajmiłem, dając

15

upust goryczy, że moralność i kultura Eechtonów nie idzie w parze z ich zadziwiającą nauką i techniką.

— Twoje opinie mamy gdzieś i wypinamy się na nie wszystkimi końcówkami naszych przedłużaczy | - oświadczyła maszyna.

— Czy nie za bardzo zaślepia was pycha? I ta straszna pogarda dla ludzi? | — Zasługują na to.

•- Waszym agentom na Ziemi zapewne trudno przystosować się do tutejszego życia, którym tak pogardzają — zaważyłem niby od niechcenia. — Przebywać i działać w tak prymitywnych warunkach, w tak nędznej cywilizacji jak nasza, to musi być dla nich straszne. Nie zazdroszczę im — westchnąłem z ostentacyjnym współczuciem.

Tak, to trudna, pełna wyrzeczeń praca — zgodziła się maszyna — ale mogą utrzymywać łączność z naszą planetą.

Za pomocą przedłużaczy?

— Właśnie.

— Czy mogą też się dublować, to znaczy... dwoić?

— Dwoić?

— Nie udawaj, że nie rozumiesz, maszyno, powiedzieliście przecież, że każdy z was potrafi się zdublować, to znaczy podwoić, to znaczy stworzyć na Ziemi swojego sobowtóra, czyli drugi egzemplarz samego siebie, nie wiem wszakże, czy to działa w drugą stronę...

— W drugą stronę? Nie bardzo rozumiemy.

— Chodzi mi o to, czy taki wasz sobowtór, taki agent przebywający na Ziemi, może stworzyć kogoś na planecie Uur? Czy wasi agenci też potrafią się dublować?

— Jasne! Czemuż by nie?

— I _robią to?

— Owszem, ale tylko, gdy z ich pary umrze ten egzemplarz, który pozostał na planecie Uur. Mogą go wtedy zrekonstruować.

— To chyba bardzo skomplikowany zabieg.

— Komplikować rzeczy proste to ziemską specjalność — odparła pogardliwie maszyna. — Komplikacja to przestarzałe pojęcie z waszego poziomu rozwoju. Najwyższa technika to najwyższa prostota i łatwość w obsłudze. Popatrz, przeklęty Adamowy pomioście!

Zauważyłem, że ściana naprzeciw mnie poczerwieniała w jednym miejscu, wyrzuciła się i wysunęła w moim kierunku gruszkowatą narośl / rubinowym guzem pośrodku i szparą poniżej, podobną do bezzębnych sinych ust. Cofnąłem się odruchowo.

16

— Oto odruch dzikusa — zadrwiła maszyna. — Nie bój się, to nk gryzie. To tylko metachron. Wystarczy lekko wcisnąć tę czerwoną wypustkę i do szpary analizatora wsunąć kapsułkę z kodem genetycznym, a wiele bilionów kilometrów stąd w ciągu paru minut powstaje według tego kodu idealna kopia...

— W ciągu paru minut?! — zdumiałem się. — Ale przecież samo przesłanie kodu na taką odległość, choćby z prędkością światła, zabrałoby kilka lat.

— Metachron dawno rozwiązał ten problem. To urządzenie działa bez pośrednictwa jakiegokolwiek materii, nie korzysta z fal elektromagnetycznych, pracuje poza nimi, niejako poza czasem...

— Jak to możliwe?!

--' Możliwe. Nie będziemy tracił energii, żeby ci to wytłumaczyć. I tak nic nie zrozumiesz.

Powiemy tylko tyle, że metachron korzysta z odkrytych przez nas praw nowej fizyki czwartego i piątego wymiaru.

— To brzmi jak cudowna bajka...

— Dla takiego ciemniaka jak ty.

Popatrzyłem łakomym wzrokiem na metachron. Gdyby można go ukraść. Ba, ale jak? Wyglądał na wmontowany organicznie w Thetę.

— Czy ja też mógłbym robić takie cuda? — zapytałem chyba trochę zbyt śmiało. — A... a przynajmniej oglądać za pomocą przedłużaczy życie na planecie Uur?

— Nie wiadomo. Nie dokończyliśmy badań. Jedno jest w każdym razie pewne. Masz zbyt słabe receptory. Należysz do miękkiego białkowego biotopu, który jest zasadniczą pomyłką natury, tak orzekli nasi mędrcy z akademii.

— Wiem, że jestem z zacofanej prowincji kosmosu i że jestem ślepyim zaułkiem ewolucji, niegodnym przetrwania i mam słabą białkową kondycję, ale czy wasza wspaniała eechońska technika nie mogłaby coś tu zaradzić? — wyrecytowałem siłą się na pokorę.

»

— Być może pomógłby ci ajstheton — odparła maszyna.

— Co to jest?

— Urządzenie wzmacniające i pobudzające osłabione receptory. Składa się ze specjalnego hełmu i kamizelki. Ajsthetonu używają nasi długoletni agenci, gdy chcą uzyskać kontakt słuchowy i wzrokowy z centralą na planecie Uur, a także do kontaktów prywatnych z rodziną i przyjaciółmi. Pobyt na obrzydliwej planecie, zwanej Ziemią, -jest dla nich tak wycieńczający, a panujące tu straszne warunki tak osłabiają ich zmysły, że bez ajsthetonu nie

17

mogliby nic widzieć ani słyszeć, mimo użycia najlepszych przedłużaczy. Czy chciałbyś zobaczyć to pożyteczne urządzenie? — zapytała maszyna. — Chętnie ci zademonstrujemy.

Usłużność jej była raczej podejrzana, ale ja, zafascynowany możliwością podglądania życia na

planecie Ur pięćdziesiąt sześć bilionów siedemset sześćdziesiąt miliardów kilometrów od Ziemi, nie zwróciłem na to uwagi i bez wahania poprosiłem Eechtonów, by mi pokazali ajstheton. Ledwie skończyłem wystukiwać to życzenie na klawiszach, zapaliło się zielone światelko w ścianie kabiny po lewej stronie ode mnie i wyskoczyła z tego miejsca długa połyskująca seledynowym blaskiem szuflada, a z niej pomału, jakby ostrożnie, wychyliły się dwie pomarańczowe trójpalczaste łapy z czarnym przedmiotem wielkości i kształtu pudełka od butów, a potem jedna z nich wyciągnęła z tego pakunku małą helm, jakby miniaturę helmu noszonego przez nurków głębinowych, a druga — równie ^mikroskopijną kamizelkę podobną do ratunkowych.

— Przymierz! — zachęciła maszyna.

— Ależ to chyba dla lalek... Nie zmieszczę się.

— Przymierz, głupcze! - litery na ekranie zaczęły się koślawić i nabrały czerwonego zabarwienia. Widać było, że Eechtonowie są znów wyraźnie zniecierpliwieni.

Wzruszyłem ramionami. Położyłem sobie helmik na czubku głowy, nie zadając sobie nawet trudu naciągnięcia go i zrobiłem głupią minę do lustra... Ale uśmiech zgasł mi na ustach. Poczułem lekkie łaskotanie w czaszkę i zobaczyłem w lustrze, że helm sam wciska się na moją głowę, wchodzi na nią z łatwością powiększając swoje rozmiary, jakby rosnąc na mojej głowie i dopasowując się do niej.

— A teraz kamizela! — ujrzałem kulfoniasty napis na ekranie. Chwyciłem kamizelkę. I ona w zetknięciu z moim ciałem rozděła się samoczynnie w jakiś zdumiewający sposób.

— Co czujesz? — napis wciąż był w kolorze zdradzającym wielkie podniecenie Eechtonów.

Chciałem odpowiedzieć, że nic, gdy nagle zacząłem doznawać dziwnych i raczej nieprzyjemnych wrażeń w okolicy głowy i piersi. Natężyły się... Nie! To już stawało się nie do zniesienia! Miałem wrażenie, że helm zaciska się coraz bardziej na mojej czaszce, a kamizelka miażdży mi żebra.

Coraz trudniej było oddychać. I ta żelazna obręcz na głowie! Jednocześnie cały świat wokół mnie przybrał przeraźliwie ostre kontury. Widziałem każdy najmniejszy szczegół w kabine, każdą drobinę kurzu w kącie wraz

18

z koloniami bakterii, ze zdumieniem patrzyłem na moje ręce, mój wzrok przenikał je na wskroś, widziałem tętniczki i żyłki i czerwone ciała krwi płynące z prądem i znacznie od nich większe białe ciała, a gdy spojrzałem na ścianę, rozstała się jakby pod moim spojrzeniem i zobaczyłem wszystko, co znajdowało się za nią: łąkę, mokradła, zarośla, każdą żyłkę na listeczku, każdą muszkę, mrówkę i robaczka w trawie. Mogłem je widzieć na odległość stu metrów, może więcej... Lecz to nie było zbyt przyjemne. Obrazy nakładały się jeden na drugi, szczegóły z różnych planów, bliższych i dalszych, mieszały się, szczepiały ze sobą, plątały, chyba nie miałem jeszcze wprawy widzieć w tak specjalny sposób. Moje oczy, jak porażone ostrością widzenia, zasły szybko łzami. Potworny ból zmusił mnie do zaciśnięcia powiek! Lecz nie tylko moje oczy cierpiały. Mój nos zaczęły drażnić mniej lub bardziej obrzydliwe kompozycje niewyczuwalnych przedtem zapachów. Ale najgorsze były dźwięki. Potworne, kłujące piski, dziurawiące bębunki w uszach, ryki i uderzenia grzmotów rozrywające moją głowę oraz dochodzące zewsząd szумы, które mogły doprowadzić do szaleństwa.

Do licha, to przecież piski i syki Eechtonów wzmocnione przez ajstheton, to ich złośliwe chichoty! Czyżby zrobili mi brzydki kawał? Byłem upokorzony i wściekły, że dałem się tak łatwo nabrać.

Ajstheton to po prostu narzędzie tortur! Chciałem zerwać ten przeklęty helm z głowy, ale nadaremnie. Ani drgnął! Jakby przyrósł do mnie! Próbowałem zderzyć z siebie kamizelkę - też na próżno! Opinała ciasno mój tułów. Zamek błyskawiczny, w który była wyposażona, zablokował się.

— Dosyć! — zacharczałem. — Zdejmijcie to ze mnie! Nie wytrzymam dłużej!

— Przestań się szarpać, bydlaku — z trudem odcyfrowałem napis. — Litery skakały mi przed na wpół oślepyłymi oczyma. — Przeprowadzamy doświadczenie. Czy teraz widzisz i słyszysz lepiej?

— Aż do bólu — jęknąłem. — Jeśli nie zdejmiecie tego zaraz, będziecie robić eksperymenty z trupem.

Ale oni nie myśleli uwolnić mnie od tortury. Czulem, że tracę przytomność, omdlewająca ręka

ześlizgiwała mi się z hełmu. Nagle na jego dole z boku wyczułem pod palcami jakąś wypukłość. Namacałem maleńki guzik. W ostatnim przeblysku świadomości przekreśliłem go w lewą stronę. To mnie uratowało. Ucisk głowy i piersi zelżał momentalnie, dźwięki ucichły, światło przestało razić, a krąg widzenia, co za ulga, zawęził się do normalnych rozmiarów.

19

—! Dranie — wykrztusiłem — o mało nie straciłem przez was wzroku i słuchu...

— Napisz to — ujrzałem napis.

Do licha, z nerwów zapomniałem, że z nimi porozumiewać się mogę tylko za pomocą maszyny.

— Wy bestie bez serca, bez czucia... — wystukiwałem na klawiszach — przejrzałem was. Bawicie się mną...

— Stop — moja maszyna została nagle zablokowana, a na ekranie przeczytałem:

— Koniec eksperymentu. Znamy już twój kod genetyczny. Oto on! — z komputera wysunęła się połyskująca metalicznie kapsułka. Czerwone szczypce automatu umieściły ją w aksamitnym etui z przegródkami w niszy ściennej obok metachronu.

— Po co wam mój kod genetyczny? — zaniepokoiłem się.

— Dla eksperymentu końcowego.

— Końcowego?

— Spróbujemy cię stworzyć, a raczej odtworzyć, gdy już nie będziesz żył.

— Jak to: nie będę żył?! — przestraszyłem się na dobre.

— Może uda się nam zrobić z twojego duplikatu doskonałego agenta — oświadczyli pomijając moje rozterki i lekceważąc obawy. — Będzie to agent lepszy niż ci, którymi dotychczas dysponujemy. Odpadnie konieczność charakteryzacji, maskowania siedmiu palców u rąk i u nóg i przywdziewania skóry staruszków. Trudność polega tylko na tym, czy uda się odtworzyć twój mózg i czy nie zostaniesz w drugim wcieleniu idiotą. Mamy wciąż jeszcze kłopoty z odtwarzaniem mózgu, gdy dawca kodu nie żyje. Nie wiemy dlaczego. Może to kwestia braku odpowiednich bioprawd...

— Zaraz, panowie! — przerwałem zniecierpliwiony te wywody.. — Czyja się nie przesłyszałem? Chcecie mnie zabić?

— To konieczne — brzmiała odpowiedź. — Już ci powiedzieliśmy przecież, że chcemy mieć doskonałego agenta. Doskonały agent to przede wszystkim posłuszny agent. Gdybyś żył, twój duplikat byłby pod władzą twego rozumu. Sam rozumiesz, że musi być wolny od twoich wpływów. To my przecież chcemy nim rządzić. A więc ty musisz zginąć. Zresztą, cóż to za szkoda? Nie jesteś wiele wart.

Ogarnęło mnie przerażenie. Było jasne, że te łotry bez skrupułów wykonają swój zamysł. Uciec nie mogłem. Te piekielne siły grawitacyjne uwięziły mnie w Thecie! Co robić?! Wzrok mój padł na czerwony guzik metachronu, na szparę analizatora... Muszę ratować się za wszelką cenę!

20

Co prawda obiecali mnie odtworzyć po śmierci, ale jako posłusznego agenta i w dodatku jako idiotę, bez mojego, nie byle jakiego w końcu mózgu, do którego, nie będę ukrywał, jestem dość przywiązany. Nie, stanowczo mi to nie odpowiada. Dziękuję! Wolę odtworzyć się sam. Póki mam jeszcze żywy mózg! Mniej więcej już wiem, jak to się robi. Pomacałem nerwowo hełm ajsthetonu. Bez paniki, to się musi udać, będę zrekonstruowany wprawdzie nie na Ziemi, lecz trochę dalej, na planecie Uur, sześć lat świetlnych stąd, ale, do licha, lepiej żyć trochę dalej, niż nie żyć w ogóle, nie żyć nigdzie! Więc do roboty! Drżącą ręką włączyłem... mój stary rozstrojony aparacik, cudo naszej techniki, z taśmą nagrań Kapitana Beefhearta i jego huczącej hałastry. Nastawiłem na pół głosu i czekałem na reakcję. Nie zawiodłem się. Wzmoczone, bolesne piski i nieregularne pulsowanie światła świadczyły

0 popłochu, jaki wywołałem w tamtej stronie galaktyki. Brawo! Pełny sukces, kapitanie!

Pojawiły się czerwone alarmujące napisy na ekranie: — Wyłącz natychmiast, łobuzie! Uszkodzisz nam końcówki! Zrozumiałeś, bandyto?! Przestań, bo porachujemy się z tobą!

Ale ja w odpowiedzi przesunąłem aż do oporu suwak, zmuszając Kapitana Beefhearta do

wydobycia z siebie maksimum decybeli. To musiało ostatecznie porazić czułe receptory Eechtonów, bo nagle światła przygasły

1 piski ucichły zupełnie, a ja poczułem, że przestałem się pocić. Czyżbym załatwił ich? Nie, to byłoby zbyt piękne, raczej ogłuszyłem na chwilę. A zatem nie ma ani chwili do stracenia. Albo teraz, albo nigdy! Porwałem kapsułkę z moim kodem genetycznym, wrzuciłem do szpary analizatora i nacisnąłem czerwony guzik, a gdy metachron zawarczał, przekręciłem w prawo aż do końca regulator przy hełmie...

Metachron jęknął i zawył. Zamknąłem oczy i zniosłem pięć minut strasznego ucisku głowy, tudzież raniących uszy bolesnych efektów dźwiękowych. Wreszcie wycie metachronu ustało.

Zaryzykowałem zmniejszenie natężenia w ajsthetonie i otworzyłem oczy...

* * *

...A więc byłem tam. Planetę Uur spowijał lekki mrok. Olbrzymie czerwone słońce stało martwo nad horyzontem, ani nie oświetlało jej dostatecznie, ani grzało... Zapewne gdybym mógł widzieć w podczerwieni, wszystko tu wydawałoby mi się normalne i jasne — tak też zapewne widzą

21

swój świat Eechtonowie, lecz moje oczy nie były przystosowane do widzenia promieniowania o częstotliwości mniejszej niż trzysta osiemdziesiąt pięć bilionów herców i stąd wrażenie mroku; ale nie był to mrok ponury. Góry, wśród których się znajdowałem, błyszczały bowiem swoistym różowym światłem, a w wielu miejscach iskrzyły się cudownie i tak mocno, że musiałem zaciskać powieki... Zaciekawiony ruszyłem w kierunku najbliższego bloku skalnego, który był właśnie takim „miotaczem ognia” i przyjrzałem mu się z bliska. To był kwarcyt z wielkimi skupiskami ogromnych kryształów górskich i te kryształy tak wspaniale iskrzyły.

Zdawało mi się, że dookoła panuje wszędzie doskonała cisza, dopiero, gdy wsłuchałem się dobrze, usłyszałem za skałami daleki szum. Omijając kwarcy to we rumowiska powlokłem się w tamtą stronę. Za ostatnią piramidą kamieni ujrzałem małą kotlinę górską, a w niej równie niespodziewany, jak fascynujący widok! Z tysięcy szczelin skalnych tryskały wysokie fontanny jasno fioletowej cieczy i zamieniały się w górze w kłęby różowych oparów. Czyżby tutejsze gejzery? Bałem się, że mogą to być fontanny kwasu siarkowego albo fluorowego, albo jakiegoś innego świństwa i postanowiłem rzecz zbadać. Nieufnie podszedłem do pierwszego gejzeru, ale nie poczułem żadnego nieprzyjemnego zapachu ani nie zauważyłem niczego podejrzanego. Powietrze było rześkie i czyste, a wokół pieniała się bujna roślinność. Miałbym więc do czynienia ze zwykłą wodą?! Serce zabiło mi mocno... Polizałem ostrożnie skałę zraszana co chwila przez fontannę. Ciecz nie miała żadnego smaku. Włożyłem palec do wypełnionej nią misy skalnej. Mimo że na palcu miałem świeże skaleczenie (pamiątka po mocowaniu się z hełmem ajsthetonu), nie zapiekło mnie ani nie zaswędziało! A więc woda! Najprawdziwsza woda i bynajmniej nie fioletowa. Ten kolor to złudzenie, odbłask odbitych promieni od ametystowych skał. A skoro jest woda, to może da się żyć? Rozejrzałem się po okolicy. Za strumieniem przepływającym przez kotlinę ujrzałem las wysokich ciemnych drzew z wielkimi pióropuszami olbrzymich liści podobnych do monstrealnych palm. Przez drzewa prześwitywały brunatne mury jakichś zabudowań. Przekroczyłem płytki strumień i brodziłem w błotnistym terenie, pokrytym wysokimi na dwa metry zaroślami czarnych rozłożystych krzewów, podobnych do wielkolistnych bananowców. Mimo że czerwona tarcza Gwiazdy Barnarda już do połowy skryła się za horyzontem, nie czułem chłodu. Przeciwnie, zrobiło się jakby cieplej, bo z gór zaczął wiać przyjemny, nagrany wiatr. Pomyślałem, że ta z pozoru ponura planeta, słabo ogrzewana przez swoją gwiazdę — czerwonego karła, ma jednak dość znośny klimat. Zapewne jej wewnątrz jest bardzo gorące, a liczne szczeliny w skorupie

22

zapewniają stały dopływ ciepła. Po prostu sama się grzeje — taki wielki kaloryfer!

Skacząc od krzaka do krzaka i od drzewa do drzewa dotarłem, jak mi się zdawało nie zauważony przez nikogo, do pierwszego budynku o wyglądzie małej przeszklonej hali. Postanowiłem unikać wszelkiego kontaktu z Eechto-nami, jak długo to możliwe. Już ich trochę poznałem i wiedziałem, że nie mogę spodziewać się po nich niczego dobrego.

Bardzo niskie drzwi były otwarte. O mało nie uderzyłem w futrynę głową. Wiedziałem już, że

Eechtonowie są nikczemnego wzrostu. Zajrzałem do wnętrza zachowując jak największą czujność. Żadnego śladu żywych istot, żadnego głosu, najmniejszego szmeru! Idealna cisza. Odważyłem się wejść. Z rozwieszonych barwnych instrukcji, bogato ilustrowanych, z dokładnych rysunków na każdym urządzeniu zorientowałem się szybko, że jestem w naukowym, całkowicie skomputeryzowanym zakładzie diagnostyczno-rehabilitacyjnym dla osobników nowo reduplikowanych.

A więc to chyba nie przypadek, że metachron odtworzył mnie w pobliżu tego właśnie miejsca. Świeżo reprodukowani osobnicy mogli przejść dokładne badania i skontrolować, czy duplikacja wypadła pomyślnie oraz usunąć ewentualne usterki, a następnie doszkolić się praktycznie odświeżając wiadomości o życiu na planecie Uur, co było szczególnie ważne w wypadku dłuższego przebywania osoby dublowanej poza macierzystym globem. I wreszcie nowo przybyli mogli się zaopatrzyć w odzież eechońską i w robo--komputer osobisty, a także w odpowiednie dietetyczne jedzenie przepisane stosownie do potrzeb danego organizmu, osłabionego przez proces duplikacji i jeszcze nie w pełni sprawnego.

Bojaźliwie rozejrzałem się, ale nie zauważyłem nikogo. W hallu i w kuluarach ani śladu pacjentów. Także zza drzwi kabin, które znajdowały się po obu stronach trzech korytarzy, nie dochodziły żadne głosy. Kompletna pustka i cisza. Albo miałem dużo szczęścia, albo też reduplikacji nie dokonywano zbyt często i pacjenci zjawiali się z rzadka. Taka okazja już się może nie powtórzyć! Chyba warto skorzystać z usług zakładu. Chodziło mi przede wszystkim o zdobycie czegoś do jedzenia. Od obiadu na Ziemi nie miałem przecież nic w ustach. Byłem potwornie głodny i bez możliwości prywatnego zaopatrzenia się w żywność. W okolicy nie widziałem dosłownie nic nadającego się do konsumpcji. Podejrzewałem, sądząc po niektórych rozmieszczonych w hallu plakatach instruktażowych odnośnie diety, że żywność jest tu wytwarzana sztucznie, starannie magazynowana i rozdzielana wyłącznie na recepty, czyli ściśle racjonowana. Jeśli więc w ogóle istnieje jakaś

23

strawa godna człowieka, to niewątpliwie jest szczelnie zamknięta i będę się mógł do niej dorwać dopiero po poddaniu się przepisanyom badaniom kontrolnym i zaakceptowaniu mnie do życia. Ten robo-komputer osobisty też warto by wypróbować i zaaplikować sobie małą dawkę wiadomości o tutejszych układach i możliwościach. Ale równie pilne jest ubranie! Koniecznie i jak najszybciej należałoby wskoczyć w jakieś eechońskie ciuchy. Pomijając już to, że moje ziemskie łachy uległy podczas duplikacji pewnej, łagodnie mówiąc, destrukcji i nie nadawały się nawet do przystrojenia stracha na wróble, zdrowy rozsądek nakazywał jak najszybsze ukrycie mego ludzkiego wyglądu, zanim jeszcze spotkam pierwszego Eechtona i wywołam sensację. Naprzód więc!

Zgodnie z instrukcją należało ustawić się przed różowym elektronicznym okiem aparatury kontrolnej na stanowisku pierwszym. Zrobiłem jeden krok i... zatrzymałem się. W ostatniej chwili zdjął mnie nagle lęk. Czy to jednak nie nazbyt ryzykowne bdać się we władzę nie znanych mi urządzeń diagnostycznych? Przecież nie wiem, jak są zaprogramowane. Jaką mam gwarancję, że odkrywszy moje człowiecze kształty i parametry, nie wyselekcjonują mnie jako istotę odtworzoną w obcym kodzie genetycznym i nie zabiją albo w najlepszym razie nie oddadzą mnie do jakiegoś muzeum osobliwości?

Okazało się, że na wahania już za późno i nie do mnie należy decyzja. Elektroniczne oko już mnie zobaczyło i rozbłysło złowrogim czerwonym światłem. Chciałem uciekać, ale nie mogłem oderwać nóg od podłogi. Ta sama dziwna siła, co przedtem na pokładzie Thety, wciągnęła mnie do kabiny pierwszej i rzuciła na materac, gruby, puszysty i tak miękki, że dosłownie utonałem w nim, jak w wielkim, wygodnym pufie.

Ogarnęło mnie przyjemne ciepło, miły zapach wanilii wypełnił pomieszczenie. Czułem się jak pod subtelną, ale skuteczną narkozą. Zdawałem sobie sprawę, że stopniowo tracę świadomość. A więc jednak selekcja. Poznali, że nie jestem Ee... i... i zabijają mnie... Żegnajcie! Gine! To się nazywa eutanazja! Pomyślałem o Romku, który został na Ziemi; byle on uszedł z życiem. Nie ma czego żałować... Co za przyjemna śmierć. Zamknąłem oczy.

* * *

Nie wiem, jak określić ten stan, w którym spędziłem trzy godziny na pokładzie Thety, skulony na

podłódze, jakby zatrzymany w życiowych funkcjach, zawieszony w życiorysie, nieobecny duchem, jak to się dawniej

24

mówiło, zagapiony w to, co się w tym czasie działo z moim bratem na planecie Uur. (Później dowiedziałem się, że Eechtoni nazywają ten stan „Tanaa”). Moja świadomość była w tym czasie jego świadomością, z lekka tylko przyćmioną i miejscami pozrywaną, zależnie od zafalowań i zmiany natężeń bioenergii, tudzież zakłóceń na drodze przekazu z mózgu do mózgu. Tak że w sumie orientowałem się nieźle w poczynaniach Romka, niemal tak, jakbym tam był fizycznie razem z nim i sam widział na własne oczy i słyszał na własne uszy. Ocknąłem się dopiero w momencie, gdy zniknął w hallu tego dziwnego budynku za czarnymi zaroślami i łączność się nagle urwała. Mój zegarek wskazywał dziesiątą z minutami. Oczywiście dziesiątą wieczór, jak się domyśliłem. Tyle godzin uwięziony przez Eechtonów? A właśnie, co z nimi?! Uderzyła mnie cisza. Nie dawali znaku życia, żadnych migotań, błysków, popiskiwań. Widocznie porażenie końcówek przedłużaczy jeszcze im nie minęło. Uszkodzony został chyba także układ zasilania, ponieważ w kabynie panował półmrok, nieco tylko rozjaśniany niebieskawą poświatą. Komputer, ekran i klawiatura zniknęły, zapewne zapadły się w ścianę, skoro przedtem stamtąd wyszły. Z tachistonu pozostała tylko czerwona wypukłość z boku kabiny, a w niej srebrzysty kluczyk.

Trzeba się zmywać — pomyślałem o mamie, która czeka z kolacją, spieniona, że znów się urwałem bez uprzedzenia i baluję. Ładne balowanie, mamó kochana! Gdybyś wiedziała... Chciałem zerwać się na nogi, ale dziwnie ścierpnięte odmówiły mi posłuszeństwa i zwałem się boleśnie na podłogę. W ogóle czułem się jak wypomponowany flak, jakbym odwalił nieprawdopodobną harówkę, jakbym na rowerze pojechał do Strzały Barnarda i z powrotem. Bolała mnie bardzo głowa. W oczach dwoiło się. Wciąż jeszcze na obraz kabiny nasuwały się natrętne obrazy Uur: kapitalne „jubilerskie góry”, jak je nazwałem, jubilerskie, bo drogocenne kamienie stanowiły ich dominantę, dużo szlachetnych i półszlachetnych kolorowych kamieni. Wielkie skały były z nich zbudowane, ba, całe pasma górskie z Górą Ametystowymi na czele. I te przezyste jeziora pod kryształowymi turniami i wodospady na rubinowych, kamiennych tarasach...

Zazdrościłem mojemu bratu tej obłędnej wyprawy na Uur. Mnie czekała w chacie raczej przykra przeprawa z mamą.

Ponowiłem próbę wstania. Mimo że chwiałem się jak rekonwalescent po ciężkiej operacji, tyrry razem zdołałem utrzymać się na nogach. Pomału wracałem do siebie. Już normalnie widziałem, a mój słuch zaostrzył się na tyle, że usłyszałem nawet cichutkie szmery i trzaski na podłódze. To mój nieoceniony magnetofon! Wciąż jeszcze był włączony. Podniosłem

25

go i ucałowałem z dubeltówki. Bądź co bądź to jemu zawdzięczałem ocalenie...

Ruszyłem wzdłuż ściany jeszcze chwiejnym nieco krokiem. Musiałem znaleźć niewidzialne drzwi. Tym razem odnalazłem je łatwo. W przyćmionym świetle wyraźnie odcinały się od ściany. Po prostu były o wiele jaśniejsze. Żeby tylko nie były zablokowane! Pchnąłem je mocno. Ustąpiły z łatwością. Więc szczęście mnie nadal nie opuszczało. Awaria zasilania popsowała także blokadę. Już chciałem wyskoczyć, gdy coś sobie jeszcze przypomniałem. Wróciłem do metachronu i zabrałem na wszelki wypadek kluczyk.

Na dworze było już ciemno. Żadnych gwiazd ani księżycy. Grube chmury. Zeskoczyłem na osłep. Chłupnęło. Trafiłem prosto w chłodną, mokrą otchłań. Niedobrze. Bagno! Wciąga mnie...

Ugrzązłem już prawie po kolana i jeszcze wciąga. Wiedziałem, że w tych moczarach były zdradliwe miejsca, gdzie utonęło już wielu ludzi. Żeby nie ta zupełna ciemność! Modliłem się o jedną gwiazdę na niebie. Z pewnością są jakieś szanse ratunku; kępy wiklin, kłody powalonych drzew, zwisające gałęzie czy choćby suchsze, mniej grząskie, piaszczysto-trawiaste wysepki, na które się można wgramolić... Gdybym mógł widzieć choć na metr... A tak, strach było zrobić jeden krok. Nie mogłem nawet wzywać pomocy. Przerazenie ścisnęło gardło, ale wiedziałem, że gdybym nawet krzyczał co sił w płucach, na nic by się to zdało. Okolica była bezludna. Rezerwat przyrody.

Najbliższa droga o kilometr z hakiem. Co prawda dosyć ruchliwa — szosa wyjazdowa z miasta, ale o tej porze ruch tylko samochodowy. Kto w szumie motorów usłyszy głos z bagna oddalonego o

kilometr z hakiem? Zwłaszcza przy takim wietrze jak dzisiaj, gdy dmie z przeciwnej strony? Lecz oto nagle, gdy już zwątpiłem w ocalenie, księżyc przedarł się przez chmury i na kilka sekund oświetlił najbliższą okolicę. Niedaleko mnie zobaczyłem wierzbę. Jej długie zwisające gałęzie, jak ręce matki, pochylały się nade mną. Chwyciłem oburącz najniższą z nich, a potem pomału zacząłem wyciągać się z topieli i przesuwać coraz dalej, aż natrafiłem pod nogami na bezpieczny grunt.

Teraz tylko ostrożnie! Jak się zapadnę drugi raz, może być gorzej, więc bez nerwów, koleś, nikt cię nie ściga, nie ma potrzeby się spieszyć — próbowałem się uspokoić, ale dopiero, gdy znalazłem się na znajomej ulicy Beldan, blisko domu, lęk zaczął z wolna mnie opuszczać. Teraz już chyba nic się nie stanie, jestem wolny! Wolny i zwycięski. Chwilowo — dodałem w myśli. Zdawałem sobie bowiem doskonale sprawę, że poruszyłem złe kosmiczne moce i Eechtonowie nie dadzą tak łatwo za wygraną. Mogę

26

spodziewać się wkrótce ich wizyty. Dysponując tak wspaniałą techniką odnajdą mnie z łatwością, choćbym uciekł na drugi koniec świata. Powiedzieli, że mają tu swoich agentów. Muszę być przygotowany na różne nieprzyjemne spotkania. Na przykład ta para, która nadchodzi z przeciwka. Oboje niskiego wzrostu, w rękawiczkach, nieruchome twarze jak maski. Czy to przypadkiem nie agenci? Tak mi się dziwnie przyglądają... Wyjątkowo uważnie i złowrogo. Zwolniłem kroku. Oni też zwolnili. Stałem i obserwowałem ich czujnie. Zaczęli okrążyć mnie z daleka, przeszli na drugą stronę ulicy i nagle... nie, tego się nie spodziewałem - rzucili się do panicznej ucieczki. Zrobiło mi się trochę głupio. Nie, to nie mogli być Eechtoni, to jacyś wyjątkowo nerwowi ludzie. Wchodziłem w coraz ludniejsze ulice. Z pobliskiej dyskoteki dolatywały swojskie odgłosy rocka. Właśnie wybiegły z niej trzy roześmiane dziewczyny i stanęły jak wryte na mój widok; uśmiech zgasł im na twarzy, cofnęły się i w niezrozumiałym popłochu zawróciły szybko do dyskoteki; zapewne nadużywanie rocka poczyniło spustoszenie w ich dziewczęcej psychice. Takie młode, a już wariatki. A może były naćpane?

W następnej chwili jakaś babcia, obładowana torbami, wyprzedziła mnie, zajrzała mi w twarz i odskoczyła jak oparzona.

— Chwileczkę, co się stało? — zapytałem, bo robiło mi się coraz bardziej głupio. Ale ona w odpowiedzi rzuciła we mnie największą torbę i wydając dziwne odgłosy podobne do krzyku gęsi gęgawej dała pokaz zdumiewającego w jej wieku sprintu.

Zajrzałem do torby. Jako obdarowany nią sądziłem, że mam do tego prawo. Liczyłem także na to, że penetracja tej torby pomoże mi wyjaśnić niepokojące zachowanie staruszki. Niestety, nic nie wyjaśniła. W torbie były jakieś obrzydliwe kości, pół metra kaszanki, parę zielonych opasłych much i pół świńskiego łba z wielkim uchem. Ze wstrętem powiesiłem te cenne babcine zakupy na sztachecie sąsiedniego parkanu. Może płochliwa staruszka opamięta się i zawróci? Powędrowałem za nią wzrokiem, ale ona zasuwała zgoła bez opamiętania. Co się dzieje? — pomyślałem. Czemu wszyscy uciekają na mój widok? Czyżbym miał rysy potwora? A może Eechtoni zmienili mi twarz?!

Chciałem jak najprędzej biec do najbliższego lustra i skontrolować swój wygląd. Wiedziałem, że znajdę je na następnej ulicy na wystawie pana Nęcillo, najlepszego optyka w naszym mieście, ale nim to uczyniłem, pomacałem sobie twarz, czy naprawdę coś tam nie w porządku i czy nie przestawiono mi przypadkiem nosa. Nos był na swoim miejscu, natomiast namacałem coś

27

I

dziwnego na głowie... Do licha, mam przecież do tej pory na łbie ten dziwaczny hełm z rogami i z wielkimi uszami-antenami, a na ramionach kamizelkę w zagadkowe esy-floresy. I to wszystko nasycone bioenergią musi tworzyć jasno błyszczącą aureolę wokół mojej postaci dość wyraźnie widocznej w nocy, a zwłaszcza świetlisty nimb wokół mojej głowy. Szkoda, że nie świeciło tak na bagnie, kiedy potrzebowałem światła, ale widać wtedy byłem za mało rozgrzany.

Co za roztargnienie! To chyba z wyczerpania. Za dużo dziś przeżyłem. Nikt by tego nie wytrzymał. Pośpiesznie ściągnąłem z siebie ajstheton. Zszedł łatwo. Prawdopodobnie poza pokładem Thy

tracił część swoich właściwości, a na pewno przyczepność. Doprawdy, zdumiewające urządzenie. Po zdjęciu hełm i kamizela skurczyły się do minimalnych rozmiarów. Z łatwością zawinałem je w chusteczkę do nosa i schowałem do kieszeni, żeby nie świeciły.

W domu ooczywiście awantura, tata i mama spięci, na szczęście tylko trochę spienieni, bo wciąż jeszcze nie wiedzą, co mi się przydarzyło i liczą na sensowne wytłumaczenie. Chętnie im go dostarczyłem, demonstrując bez żenady ubłocone buty i spodnie. Byłem na bagnie. Trufla ma takie pomysły. Kazała przynieść słoik bagna, bo chłopcy powiedzieli, że z moczarów wydziela się gaz bagienny. Suplicjusz zapalił go zapalką i całą noc paliły się trzy ogniki. Więc Trufla powiedziała, że zbadamy to bagno i żebyśmy przynieśli je na lekcję w słoikach. Rodzice słuchali z zapartym tchem, oburzając się od czasu do czasu na Truflę, a ja wstawiłem fabułę na bite pół godziny.

Oczywiście o Eechtonach nie wspomniałem ani słowa, opowiedziałem tylko, że zbłądziłem i wpadłem w topiel, ale uratowałem się dzięki zimnej krwi, odwadze i odporności. Naprawdę, powinni się cieszyć, że mają tak udanego syna. Byłem wspaniały, ale to w końcu nic dziwnego, jak się ma tak znakomite geny po rodzicach — zakończyłem, żeby i im dać trochę satysfakcji. W końcu są tego spragnieni, tak mało kto ich chwali.

Tak, że wyszedłem z tej przygody obronną ręką również w domu. Zanim po solidnej gorącej kąpieli położyłem się do łóżka, starannie schowałem zwinięty ajstheton do plastikowego woreczka po herbatnikach i ukryłem pod poduszką.

Niebezpiecznie spodziewałem się wizyty Eechtonów. Przyszli w nocy. Za pomocą wysiężników penetrowali wszystko. Obudziło mnie o drugiej nad ranem męczące wrażenie gorąca. Poczułem gryzący śwąd. W chwilę potem ojciec wbiegł z gaśnicą w rękę. Myślał, że pali się u mnie.

Uspokoilem go, że

28

to tylko wizyta istot z planety Uur. Po prostu jesteśmy nawiedzani. Czy tata nie słyszał o nawiedzanych domach? Dawniej sądzono, że to duchy, a to byli prawdopodobnie Eechtoni.

Jak było do przewidzenia, moje wyjaśnienia ojciec uznał za głupie brednie. Podejrzewał, że znów suszyłem skarpety na elektrycznym piecyku, stąd ten śwąd.

Rano moje podejrzenia co do Eechtonów przerodziły się w pewność. Ku rozpaczy mamy wszystkie lustra w domu, z najcenniejszym kryształowym w hallu, przez noc zmatowiały, na dywanach pojawiły się czarne i rude punkciki nadpalenia, jakby od tysiąca iskierek, a gdy chciałem wywołać błonę z mego aparatu w ciemni, którą urządziliśmy w łazience, okazało się, że wszystkie zdjęcia są przeświecone w niewytłumaczalny sposób. A raczej wytłumaczalny tylko dla mnie. To oni! Za wszelką cenę chcą odzyskać ajstheton i klucz! Widocznie bez nich, po wyłączeniu się sił grawitacyjnych Thety, nie mogą się porozumieć z macierzystą planetą — są odcięci. Dlatego . byli tu i zostawili ślady swoich macek, ale nie mogli mi nic zrobić. Moja bioenergia wytwarzała wokół silne pole. Macki ich wysiężników nie były w stanie go przekroczyć bez groźby porażenia. Bałem się, że podczas mojej nieobecności w domu mogą wrócić ponownie, zabrałem więc ze sobą ajstheton i klucz, wrzuciłem je do torby między książki i poszedłem do szkoły.

Wiedziałem to wszystko. Miałem jeszcze zamknięte oczy, gdy uświadomiłem sobie, że żyję! To nie była eutanazja ani żaden inny rodzaj śmierci. Jeszcze miałem zamknięte oczy, gdy zrozumiałem.

Jeśli tam na Ziemi mój brat położył się spać i ja to wiem i widzę, to nie zabili mnie. Widocznie rzucenie mnie na przyjemny puf należało do rutynowych czynności w tym zakładzie. W ten sposób przed wyczerpującą kontrolą wzmacnia się siły witalne odtworzonych Eechtonów. Przyjemny seans rekreacyjny w półletargu. No cóż, trzeba wstać i poddać się dalszym badaniom. Nie byłem pewny wprawdzie, jak się mam teraz zachować, gdzie pójść, do którego gabinetu i jak się ustawić, bo nie znałem języka Eechtonów, okazało się jednak, że nie muszę w żaden sposób współpracować. Gdy tylko otworzyłem oczy, zostałem wyciągnięty z pierwszego gabinetu tą samą siłą co poprzednio i włączony w obieg. Raz odda-

29

ny we władzę aparatów kontrolnych, byłem już potem przekazywany automatycznie ruchomą taśmą chodnika do kolejnych stanowisk badawczych. Wreszcie na ekranie w sali „Wyników ostatecznych” ukazały się jakieś napisy, których nie byłem w stanie odcyfrować. Na szczęście przyszedł mi z

pomocą mój robot osobisty, którym zostałem obdarowany. Odbędzie to się tak. W czasie gdy medytowałem z niezbyt mądrą miną nad „Wynikami ostatecznymi”, w obu ścianach bocznych otworzyły się niespodziewanie po dwie pary niewidocznych do tej pory drzwi i wymaszerowały z nich po dwie pary dość dziwnych aparatów wyposażonych w chwytne nogi, bardzo ruchliwe kończyny górne i błyskającą kolorowymi światełkami głowę, podobną do łba koszmarnego owada z licznymi czułkami i wielkimi wypukłymi oczyma; głowa ta była zaopatrzona w dwie szpary: czołową i potyliczną, prawdopodobnie do wsuwania kaset z pamięcią. Roboty?! Maszerowały wyraźnie w moim kierunku bzyząc nieprzyjemnie. Zaniepokojony gotowałem się do ucieczki, ale one zatrzymały się o dwa kroki ode mnie i wciąż wydając nader przykre dla mojego ucha piski zaczęły do mnie mrugać światełkami, jakby dając mi jakieś znaki. Zauważyłem, że wyposażone są w ekrany komputerowe i klawiaturę podobną do tej, jaka znajdowała się na pokładzie Thety. Nie namyślając się wiele doskoczyłem nerwowo do pierwszego osobnika i wystukałem na klawiszach: „Czy możesz mi przetłumaczyć na polski, co jest napisane na tym dużym ekranie wyników? Być może znasz ten język, skoro jeden z waszych pojazdów kosmicznych Theta ląduje od roku w Polsce”.

Robot przestał piszczeć i przygasił światełka w głowie. Widocznie w skupieniu analizował mój tekst. Trwało to jak na robota dość długo, bo chyba z pół minuty, wreszcie w szparze gębowej ukazał mu się koniec zadrukowanej dziwnymi znakami białej wstążki. Wyciągnął ją sprawnie łapą i pokazał ją trzeciemu, tamten — czwartemu. Czwarty robot znów długo kombinował nad tekstem, wreszcie wyświetlił na ekranie:

„Excuse me, sir, Your letters are like the English ones, but I am afraid, I do not understand them at all”.

Odetchnąłem z ulgą. Typ zna angielski! To już jest coś. Szansę na porozumienie od razu wzrosły. Przywołałem na pomoc cały mizerny zasób mojej angielszczyzny i odpowiedziałem robotowi może trochę niegrzecznie, ale byłem wciąż piekielnie podniecony:

„You, lazy boy, don't tell me so junny things! The computer on the Theta's board understood Polish quite well, so You should understand too, and ij You can't try to learn U instantly”.

30

Robot medytował w skupieniu przez parę sekund, po czym poczłapał do następnej sali. Bałem się, że nawieje, więc ruszyłem za nim, ale okazało się, że nie miał takich zamiarów, po prostu poszedł się pouczyć. Jak się okazało, w następnej sali była biblioteka pamięci dla komputerów. Po dłuższym szperaniu elektronicznym okiem wśród kaset wyciągnął jedną i wsadził sobie w szparę potyliczną w tyle głowy.

„Sprawa załatwiona” — pojawił się napis na ekranie jego kwadratowego korpusu. „Mogę operować zasobem czterech tysięcy słów polskich”.

— To trochę mało — rzekłem nieco rozczarowany. — I czy nie mógłbyś mówić? Czytanie tekstu na twoim brzuszku jest dla mnie dość męczące. Sądziłem, że technikę eechoóską stać na mówiące roboty.

— Ja umie mówić — zapiszczał cieniutko.

— To czemu nie mówiłeś?

— Ja wstydziła. Ja mówi jak Eechton. Ja syczy jak węża, ja piszczy jak myszą. Pan by śmiała ze mnie.

— Głupstwo — machnąłem zniecierpliwiony ręką. — Nie mogę za dużo wymagać od robota, możesz syczeć i piszczeć, byle można było coś zrozumieć.

— Mój pan bardzo dobra. Mój pan niewymagająca zbyt za dużo. Ja służyć będzie panu wiernie, każdym podzespołem i obwodem. Myślę pan będzie zadowolona.

— I ja tak myślę — powiedziałem rozbawiony. Podobał mi się ten robot. — Jak ci na imię? — zapytałem.

— Imię nie mam. Tylko numer serii mam.

— Będę cię nazywał Bobas albo krótko Bob.

— Ja zaszczyczona — podskoczył zadowolony. — Bob! Bob! A beautyjul namel I'am very glad indeed. Thank You, sir!

— Jak ty mówisz! — zmarszczyłem brwi. — Znów się zgrywasz na Anglika?
— Sorry... Och, przepraszam, to z radości mi się poplątało, a może od skakania też! — Bob był wyraźnie zmieszany. — Ja mam usterka fabryczna. Mnie się robi czasem przeciek w pamięci. Mój entuzjazm z powodu posiadania sympatycznego robota znacznie zmalął. Sympatyczny to on może jest, ale ma nie wszystko dokręcone w głowie. Po prostu wtrynili mi robota bubla. Jego zasób słów jest niewielki, jeszcze mniejsza znajomość gramatyki! Żeby tak kaleczyć język! I w dodatku te przecieki przy byle wstrząsie. Chyba powinienem go zareklamować... Jako tłumacz może mnie wpędzić w nie lada tarapaty!

31

Bob przyglądał mi się uważnie. Czyżby przeniknął moje myśli? Spuścił głowę i posmutniał.

— Pan nie jest z Boba zadowolona? — pisała cicho. — Polski trudna język, ale proszę nie mieć zmartwienie. Bob nie jest bubel. On nie będzie skakać dwa dni i zaleczy usterka fabryczna. A gramatyka mnie się ułoży po drodze. Potrzebny do tego czas. Polski trudna język. Dziesięć minut jeszcze potrzeba, a może nawet dwanaście, zanim to się ułoży i dotrze w podzespołach. A na perfekt to ja będzie umieć w Episteme, to jest takie miasto niedaleko, ona ma uniwersytet. Dużo profesorów ma. Od języków bakałarzy ma i maszyny do uczenia ma.

— Wierzę ci, Bob, ale mnie już teraz potrzebny jest naprawdę niezawodny tłumacz. Boję się spotkania z Eechtonami. Nie chcę, żeby ktoś poznał, że jestem człowiekiem stamtąd — wskazałem na niebo.

— Pan nie ma zmartwienie. Ja panu skombinuję spiker. On będzie tłumaczyć, i mówić za pana. To taka maleńka apparatta.

— Noto biegiem, Bob!

Bob rozpędził się przebierając bardzo szybko krótkimi nóżkami, a gdy nabral odpowiedniej prędkości, wypuścił spod stóp i włączył kółka. Teraz już nie biegł, a jechał w zawrotnym tempie. Po kilkunastu zaledwie sekundach był z powrotem.

— Wybrałem dla pana największy - oznajmił. — Polska język trudna bardzo nawet dla spikera. Pan wyjdzie na chwilę z ubrania, to ja go zamontuję.

Spojrzałem ciekawie na aparacik wielkości średniego guzika, który Bob trzymał w ręce. Był jakby krystalicznej natury, pulsował słabym niebieskawym światłem.

— Gdzie chcesz mi go zamontować? — zapytałem.

— Pod szyją, sir.

— To po co mam „wychodzić z ubrania”? Wystarczy przecież rozpiąć kołnierzyk od koszuli.

— Ja... nie... nie wiedziałem, jak jest „kołnierzyk” po polsku.

— Bałwan jesteś!

— Yes, I atn, sir! Przepraszani, chciałem powiedzieć: jestem bałwan, panie mój... to znaczy... jaśnie panie mój, to znaczy... jaśnie wielmożny panie mój.

— Dobra, nie wysilaj się — machnąłem zrezygnowany ręką — możesz mi mówić „sir”. Dawaj tego spikera i powiedz, jak on działa.

— On będzie tłumaczyć panu, sir — powiedział Bob przylepiając mi

32

spikera pod szyją — wystarczy szepnąć coś po polsku, a on to błyskawicznie zdubinguje i powie głośno za pana, po eechtońsku, tak że wszyscy będą myśleć, że to pan mówi, sir. Z kolei, jak ktoś powie po eechtońsku, spiker to błyskawicznie przetłumaczy i szepnie panu do ucha po polsku. Żeby pan dobrze słyszał, ja panu taki drucik specjalny włożyłem do ucha.

— Mnie? Drucik do ucha? Nawet nie zauważyłem...

— Bo on jest przezroczysty i cieńszy od nogi komara jedenaście, a może dwanaście razy — wyjaśnił Bob. — Czym jeszcze mogę panu służyć, sir?

— Skombinuj mi jakieś ubranie i maskę na twarz oraz rękawiczki, to bardzo ważne. Ubranie ma być typowo eechtońskie, maska też, to znaczy może być trochę ładniejsza. Chcę wyglądać jak fajny chłopak eechtoński.

Bob przyniósł mi kilka ubrań do wyboru, twierdząc, że wybrał największe i najbardziej efektowne.

Różnice między nimi były niewielkie. Wszystkie przypominały strój pletwonurka; były elastyczne, samogrzejne, łatwe do wkładania, bo samonaciągające się na ręce i nogi (a wiadomo, że z tym bywa czasem trochę kłopotu), tylko każde miało inny kolor i inne wzory na zewnątrz. Wybrałem elegancki jasnoszmaragdowy kostium zdobny w wielkie srebrzyste łuski i ametystowe kryształy oraz maskę o najbardziej eechtońskich, jaszczurzych rysach, z efektownymi zmarszczkami na seledynowych policzkach i bruzdą na czole, co nadawało mi poważny wygląd prajaszczura pogrążonego w zadumie nad losami kosmosu.

— Czy to panu odpowiada? — Bob wyraźnie nie był zachwycony moim wyborem. <

— Całkowicie — odparłem naciągając na dłoń zieloną siedmiopalcową rękawicę. — Bądź tylko łaskaw postarać się jeszcze o dwa palce do prawej, i tyleż do lewej ręki, bo, jak widzisz, brakuje mi palców do wypełnienia tych skądinąd nadzwyczaj "wygodnych rękawiczek. :

— Proponowałbym jeszcze drugi komplet protez palcowych na zapas. One pośpiesznie psują się, bo ręka ruchliwa jest... ona pracująca jest... — oświadczył Bob, udowadniając, że robi postępy w nauce języka.

— Dobra, ale umówmy się, że będziesz nosił na plecach wszystkie zapasowe części mojego ciała.

— Jak pan rozkaże, sir — Bob wybiegł, a właściwie wyjechał na swoich nóżko-wrotkach. Po chwili demonstrował mi już protezy palcowe.

— Wydaje mi się, że pan jest teraz należycie wyeeeekwipokwipowany — wykrztusił.

— Tak, dziękuję, Bob.

^atem możemy już iść — zauważył.

33

— Dokąd?

— Do Episteme.

— Co to jest?

— Wspominałem już panu o nim. To miasto uniwersyteckie niedaleko stąd. Dwa i pół tysiąca lat temu sprowadzono tu z Ziemi pewnego człowieka, aby wykładał mądrość Eechtonom. Zamieszkał w chatce na szczycie wzgórza Oote, miasta jeszcze wtedy nie było, Lecz mądrość tego człowieka nie przypadła do gustu miejscowym bakalarzom. Oskarżyli go, że uczy rzeczy niedorzecznych, tudzież niebezpiecznych dla Eechtonii i uznali, że bardziej zbliży ich do mądrości anatomiczne zbadanie tego człowieka, tak różnego od Eechtonów. Ucięto mu więc głowę, a ciało oddano uczonym.

— To straszne, co opowiadasz, Bob!

— Dlaczego, sir? Doprowadziło to do odkrycia żywych struktur białkowych i pchnęło naprzód rozwój eechtońskich nauk biologicznych. Pamięć o tych szczęśliwych zdarzeniach jest do dziś troskliwie pielęgnowana, sir. W tutejszym Domu Kultury może pan oglądać mózg owego mędrca i parę preparatów jego ciała w specjalnej gablocie, biała szata zaś, którą się okrywał, stanowi uroczystą obrzędową kapę naszego rektora podczas uroczystości uniwersyteckich. Warto także zajrzeć do Świątyni Wiedzy na wzgórzu, gdzie znajduje się długa, czarna broda zabitego mędrca oraz jego poźółkła czaszka wystawione w ołtarzu głównym na paterze ofiarnej. Kilka razy w roku, podczas procesji rytualnych, są one obnoszone po ulicach miasta przez wielebnych profesorów...

— Wielebnych?

— Przysługuje im ten tytuł, sir, są bowiem zarazem kapłanami we wzmiankowanej świątyni jako czciciele wiedzy. A propos świątyni, sir. Została ona wzniesiona na miejscu chatki mędrca na szczycie wzgórza Oote dla upamiętnienia tych wspaniałych odkryć. Poniżej zbudowano campus akademicki, powstające zaś u jego podnóża miasto przybrało nazwę Episteme od słowa, które ten człowiek z maniackim uporem wymieniał w swoich pismach obok takich jak „eleuteria" i „aletheja". Lecz te ostatnie wydały się założycielom miasta dwuznaczne, mało zrozumiałe i niebezpieczne dla ludu, wybrano więc Episteme.

— Wysławiasz się już nader poprawnie i tryskasz erudycją, Bob — zauważyłem. — Skąd tyle wiedzy u robota?

— To normalne u robotów zaprogramowanych na trzecim poziomie intelektualnym tak jak ja —

odparł.

— Gratuluję ci, Bob! Ale wracajmy do rzeczy. Przyznam, że po tym, co

34

mi powiedziałeś, nie mam jakoś ochoty pokazywać się w Episteme. Wolałbym zamieszkać gdzieś w tych kolorowych górach i tam spokojnie zastanowić się, jak wykonać misję, której się podjąłem...

— Tu chyba nie ma nic do zastanawiania się — przerwał robot. — Pana misją jest: ofiarować się na ołtarzu wiedzy.

— O czym ty mówisz? — spojrzałem na niego niespokojnie. Nie podobały mi się te sformułowania. — W jakim sensie ofiarować? Co masz konkretnie na myśli?

— O tym zadecydują patolodzy z Instytutu Przerobu i Wykorzystania Istot Proteidowych — rzekł spokojnie Bob.

— Co takiego, mam iść do przerobu?! — podskoczyłem jak oparzony.

— To tylko taki urzędowy żargon, sir, taki slang — próbował mnie uspokoić Bob — spróbuję sformułować to zwięźle: ma pan złożyć swoje ciało do dyspozycji nauki!

— Idź do diabła, Bob.

— Nie chce pan przysłużyć się postępowi? — w głosie Boba zapiszczało niezmiernie zdziwienie.

— Nauka musi iść naprzód!

— Kosztem mojej skóry?

— Proszę posłuchać, sir. Nic nie ma ważniejszego niż wiedza! Poznanie to cel życia. Tymczasem istnieje obawa, sir, że go nie osiągniemy. Choć od Big-bangu, czyli od początku obecnego wszechświata, upłynęło już dziesięć miliardów lat według miar ziemskich, istoty rozumne zrobiły zaledwie parę kroczków na drodze poznania, i to z wielkim trudem. Właściwie stoją dopiero u progu mądrości i nie wiadomo, czy przed nowym zapadnięciem się w Czarną Dziurę zdołają znaleźć odpowiedź choć na jedno pytanie — po co są? W tej sytuacji sądziłem, że gotów pan jest stawić się natychmiast w naszym uniwersytecie na wzgórzu Oote, na wydziale Biologii Kosmicznej, katedra Niższych Form Życia u profesora Aabo litede i przekazać mu swoje tkanki.

— To jakieś nieporozumienie, Bob — rzekłem tłumiąc wzburzenie. — Owszem, trafnie odgadłeś, że „przyjechałem” tu z misją i gotów jestem do daleko idących poświęceń, ale dla zgoła innego celu... To ja, mój drogi, pragnę poddać badaniom tutejszych profesorów, a jeśli zajdzie potrzeba, nawet samego rektora.

— Pan pragnie badać naszych profesorów?! — Bob spojrzał na mnie z przestraszeniem. — Niby po co?

— Mam cel i naukowy, i czysto praktyczny.

— Jaki praktyczny? — oczka Boba zaświeciły ciekawością.

35

— Nie twój interes — ugryzłem się w język, ale grubo za późno. Jeśli Bob jest kontrolowany przez służby specjalne, to już po mnie. A potem pomyślałem, że w tej sytuacji trzeba grać *va banc* i przynajmniej od razu poznać, na czym się stoi. Bob i tak wie przecież, że jestem człowiekiem, a nie *Eechtonem*, więc...

— Słuchaj, Bob — podjąłem głośno. — Wiesz już dużo o mnie, ale czas, żebyś znał całą prawdę. Być może wtedy podsuniesz mi najlepsze rozwiązanie albo mnie wydasz...

— Nie wydam pana, sir.

— Nie bardzo wierzę, ale zaryzykuję. Posłuchaj teraz, co ci powiem. *Eechtoni* są niebezpieczni dla nas, ludzi. Nie ufam im. Wiem, że knują coś bardzo złego przeciw Ziemi. Jestem tu właśnie po to, żeby poznać dokładnie ich zamiary. Moim życzeniem jest, byś mi w tym pomógł.

— Tak jest, sir! — Bob był wyraźnie zaskoczony, ale stanął w postawie służebnej. — Czy pan ma już gotowy plan działania?

— Tylko plan kroków wstępnych, Bob. Po pierwsze, chcę uchodzić tu za *Eechtona*. Nikt nie powinien odkryć, że jestem człowiekiem.

— Rozumiem, sir.

— Po drugie, chcę mieć dostęp do tak zwanych wyższych sfer. Jeśli zakusy *Eechtonów* względem Ziemi należą do spraw tajnych, tylko obracając się blisko decydentów mogę zdobyć potrzebne mi

wiadomości. Jak mam się do tego zabrać, Bob? Jak to załatwić? Od czego zacząć?

Bob myślał chwilę.

— Powinien pan zrobić najpierw to, co robią wszyscy reduplikowani Eechtonowie, przybysze spoza tej planety, sir.

— Co mianowicie?

— Stawić się przed Komisją Kwalifikacyjną.

— Co za biurokracja! Byłem już raz badany...

— To zupełnie co innego. Będzie to rodzaj egzaminu, sprawdzianu pańskich wiadomości i inteligencji, sir.

— Po jakie licho?

— Żeby zostać zakwalifikowany i zaszeregowany. Od tego zależy, czy znajdzie się pan w szeregach bakałarzy, czy też dulonów.

— Nie bardzo rozumiem.

— Duloni to zwyczajni Eechtoni, opowiem panu o nich więcej przy najbliższej okazji i pokażę, jak wyglądają. Lecz jeśli dobrze zrozumiałem, pana życzeniem jest znaleźć się wśród bakałarzy co najmniej trzeciego stopnia wtajemniczenia.

36

— Sądziś, że mam szansę? — zapytałem przygnębiony. Egzamin były moją piętą achillesową. Nienawidziłem ich, nigdy jeszcze nie zdałem ani jednego.

Bob chrząknął zakłopotany.

— Trudno powiedzieć, sir. Tylko jeden na sześćdziesięciu spośród reduplikatów-kandydatów zdaje pomyślnie ten egzamin. Głównie z powodu braku bioenergii, lecz, jak to wyczuwają moje receptory, panu na razie jej nie brak.

— A jeśli rozpoznają, że jestem człowiekiem? — przygryzłem wargi ze zdenerwowania.

— Wykluczone, sir. Jest pan zrekonstruowany bezbłędnie, zaopatrzonego w najbardziej eechoński kostium z łuskami, pańska maska jest bez zarzutu, rękawice siedmiopalczaste też. Ma pan spikera podszyjnego, niezawodnego w działaniu, no i mnie... — Bob uśmiechnął się pod nosem, jeśli można nazwać nosem zabawny baryłko waty czujnik z licznymi otworkami obracający się bez przerwy w kółko.

Nie byłem pewny, czy nie kpi ze mnie. Co on mi wyjeżdża ze spikerem. Nawet gdybym wszystko rozumiał, co mówią do mnie egzaminatorzy i gdybym mówił po eechońsku, to co z tego? Trzeba jeszcze wiedzieć co mówić, trzeba po prostu mieć jakieś wiadomości, a ja?... Co tu ukrywać! Jako uczeń nie błysnąłem ani razu nawet na firmamencie nędznej budy u Glogera. Kiepskim byłem aktorem — trzeba to jasno powiedzieć — w tym nędznym cyrku, który nazywa się szkoła. Ani dobrym kuglarzem, ani błaznem. W największym trudzie i męce kończyłem popisy bez oklasków, bez pochwał, żaden numer mi nie wyszedł w tym roku, cud, że jakoś utrzymałem się na linii, choć w oplakany styl. Oceniano mnie ledwie na słabe trój-czynny. A tu miałbym zdać? Ja, człowiek z Ziemi, zupełnie obcy, kompletny ignorant w sprawach tej planety?! Wykluczone. Bob nie wiedział, że na samą myśl o egzaminie dostawałem małpiego rozumu, a gdy stawałem oko w oko z komisją, plotłem trzy po trzy albo jeszcze gorzej. Trema paraliżowała mnie zupełnie i nie mogłem nic zrobić, niczym się wykazać, wydusić jednego słowa. Taka skaza psychiczna. W ten właśnie kompromitujący sposób nie zdałem egzaminu z przepisów ruchu drogowego, ani na kursie komputerowym, ani jak zdawałem do szkoły muzycznej, ani sprawdzianu z języka na obóz lingwistyczny, choć łatwo mi się koresponduje z prawdziwym Szkotem z Dundee, ani nawet na kartę pływacką, choć nieźle pływam trzema stylami; jak zobaczyłem komisję — trzech panów w paradnych dresach — od razu sparaliżowało mnie, i z samej świadomości, że to egzamin, od razu poszedłem

37

I

na dno i. cała komisja w tych dresach wskoczyła do wody, żeby mnie ratować. Nie zdążyli, biedacy, nawet zdjąć zegarków i kapeluszy! Co się potem działo! Oblęd.

Nic więc dziwnego, że na samą myśl o jakimś egzaminie tutaj — biliony kilometrów od Ziemi,

przed komisją łuskowatych potworów — wpadłem w nieopisany popłoch.

Nie, żadnych egzaminów! Zamiast do Episteme lepiej się ukryć w górach, jak myślałem na początku.

— Nic z tego, Bob — rzekłem do robota. — Przemyślałem to wszystko. Zawracamy do Gór Ametystowych, znajdziesz mi jakąś wygodną jaskinię. Tam się spokojnie zastanowię, jak wydrzeć tajne plany Eechtonom...

— To byłoby bardzo nierozsądne, sir — zauważył robot. — Czuwają pulsatory kontrolne. Pan nie jest jeszcze zakwalifikowany i nie ma pan znamion zaszeregowania. Pulsatory natychmiast wykryją obecność istoty nie zaszeregowanej w każdym miejscu naszego globu, gdziekolwiek by się schowała. Zostałby pan odprowadzony do ambulatorium policyjnego, pozbawiony pamięci, a następnie zaszeregowany do kategorii dulonów dulowatych i skierowany do kamieniołomów lub do jeszcze gorszej pracy. Z piętnem dulowatego na całe życie!

— Cóż to znowu za bajeczki, Bob? Podejrzewam, że robisz mnie w konia. Pulsatory?!

— Wchodzimy w coraz silniejsze pole ich działania. Naprawdę nic pan nie czuje, sir?

Chrząknąłem zakłopotany. Wstyd było mi się przyznać, że już od pewnego czasu czułem nieprzyjemne cierpięcia skóry na całym ciele, które teraz zaczęły przechodzić w wyraźne dreszcze.

Zza ostatniego drzewa zagajnika, który właśnie mijaliśmy, wyłoniła się krwawo połyskująca w świetle Strzały Barnarda kopuła Świątyni Wiedzy na szczycie wzgórza Oote. Pod nią na niższych tarasach rozciągały się pawilony campusu — z tej odległości wyglądały jak garść graniastych kolorowych kamyków rozrzuconych na stokach wzniesienia — agatów, jaspisów, chryzolitów, ametystów... Na samym dole błyszczała wielka tafla różowego jeziora. Prowadziła do niego z campusu malownicza kręta droga i znikwała w gęstych zaroślach kotliny. Po drugiej stronie wzgórza było jakby ucięte — znajdowały się tu chyba kiedyś kamieniołomy. Obecnie na tym pustym kamiennym terenie u podnóża góry widać było długie, płaskie, na w pół przeszklone budowle oraz połyskujący metalicznie tor jednoszynowej kolejki. Jeszcze niżej wśród niebieskawych drzew rozłożyło się właściwe miasto

38

Episteme, spowite w fiołkowe mgły i opary... tajemnicza siedziba wysokich władz, ważnych komisji i zapewne także baza operacyjna pulsatora.

Coraz wyraźniej dawał on znać o sobie, raz po raz dreszcze przebiegały wzdłuż mojego ciała.

Trząśłem się jak porażony prądem elektrycznym. Wszystko dlatego, że nie mam na sobie „znamion zaszeregowania”. Muszę się poddać. Na razie — zdecydowałem upokorzony — po prostu tego się nie da fizycznie wytrzymać — jestem w mocy pulsatora, złapał mnie w swoje pole i nie puści. A gdybym nawet zniósł te męki, odbiorą mi pamięć i zesłają do kamieniołomów... jako dulowatego. Chrząknąłem.

— Nie będę cię kiwał, Bob. Czuję... cholerne dreszcze.

— Najdalej za godzinę musi pan stanąć przed komisją — powiedział zaniepokojony robot.

— Mam pietra, Bob. Czy ty tego me rozumiesz?

— Nie będzie się pan przecież tam rozbierał... Nikt nie pozna, że jest pan człowiekiem.

Wyposażyłem pana we wszystko co trzeba. Ma pan status przybysza z kosmosu i przeszedł pan pomyślnie kontrolę duplikatów. Naprawdę nic panu nie grozi!

— Nic?! Z samych nerwów dostanę małpiego rozumu. Widzisz, Bob, prawda jest taka, że ja naprawdę mało wiem, a mówiąc ściśle,] wiem, że nic nie wiem. Od razu wyłożę się na matematyce.

— Ale teraz jest pan na planecie Uur i poskromi pan swoje nerwy.

— Co ty wiesz o ludzkich nerwach, Bob!

— Wierzę w pana bioenergię — rzekł z przekonaniem robot.

— Bioenergię? Dobry jesteś! Co to ma z tym wspólnego! Przy pierwszym pytaniu po prostu zamuruje mnie! Ja siebie znam.

— Wykluczone, żeby pana zamurowało, sir. Przylepiłem przecież panu spikera. On nie ma zahamowań, sir. On będzie pańskim głosem. Idziemy, trzeba się śpieszyć, by zdążyć do Episteme, zanim opadnie pan z sił za sprawą pulsatora.

Ruszyłem bez wielkiego przekonania. No cóż, w najgorszym razie, gdy poddam się egzaminowi, czeka mnie „tylko” los zwykłego dulona, a to, jak zapewniał Bob, jest jednak dużo lepsze niż znaleźć się w kategorii dulonów napiętnowanych, czyli dulonów dulowatych.

Minęliśmy po drodze wielkie wyrobisko eksploatowanych kopalni odkrywkowych, częściowo już zarośniętych skąpą kolczastą roślinnością, i wkrótce doszliśmy do wielopasmowych torowisk, po których bezszelestnie posuwały się długie pociągi złożone z platform ciasno załadowanych tysiącami

39

milczących robotników w roboczych jednakowych fioletowych ubraniach. Wyglądali jak martwe kukły.

— Czy oni są żywi? — zapytałem,- Oczywiście, sir.

— A gdzie tak jadą i jadą?

— Jedni do kamieniołomów, kopalń i plantacji bananów krzemowych, a drudzy już po pracy — do myjni i leżakowni.

— Czemu tak nieruchomo i milcząco?

— Oszczędność bioenergii, sir,

,— A czemu tak okropnie stłoczyli ich na tych platformach?

— Żeby nie upadali, sir. Gdyby mieli choć trochę miejsca, każdy z nich upadłby z osłabienia, a tak, jak pan widzi, stoją.

— Ależ to straszne! — popatrzyłem ze zgrozą na milczących dulonów. — Aż do tego stopnia wyczerpani?!

— Deficyt bioenergii, sir. To od dawna główny problem Uur.

— Czy ten deficyt wynika z niedostatku żywności na planecie? Sądziłem, że tak wysoka technika już dawno rozwiązała ten problem.

— To nie kwestia żywności, sir. Ta sprawa została już dawno rozwiązana. Niestety od kiluset lat zwykle karmienie dulonów ani nawet stosowanie odżywek krzemo-witaminowych nie wystarcza. Osłabienie bioenergii u Eechtonów ma zgoła inne podłoże. Jego przyczyny trzymane są w tajemnicy, mogę panu tylko powiedzieć, że ta sprawa jest przedmiotem uporczywych badań naszych profesorów na tutejszym uniwersytecie.

Dochodziliśmy już do peryferii miasta. Znajdowała się tu stacja przeładunkowa. Niektóre pociągi z robotnikami zatrzymywały się na niej i wszyscy pasażerowie wysiadali... To wyrażenie zresztą nie pasowało tu raczej, bo gdy przyjrzałem się im z bliska, stwierdziłem, że są niejako wysysani, wciąż w pozycji stojącej, a następnie umieszczani na ruchomych chodnikach z podpórkami i odwożeni do owych długich, przeszklonych hal, gdzie, jak mnie poinformował Bob, mieściły się właśnie owe myjni i leża-kownie.

Zaraz za stacją zaczynały się ruchome chodniki, biegnące w różne strony i na różne poziomy. Bob wybrał chodnik żółty i dał mi znak, żebym wsiadał (chyba należałoby powiedzieć wstąpił). Ledwie moja stopa dotknęła chodnika, poczułem silny dreszcz, raz po raz falami przechodził przeze mnie boleśnie prąd elektryczny.

— Proszę się nie obawiać, sir, i wytrzymać tę ostatnią próbę. Dostaliśmy się w silne pole pulsatorów, ale to zaraz minie — Bob próbował mnie

40

uspokoić. — Po dokonaniu krótkiej identyfikacji pulsatory wyłączą się i zostawią nas w spokoju, tym razem już definitywnie.

!— Boję się, czy wytrzymam choć pięć sekund! — jęknąłem szarpany drgawkami. — Do licha, Bob, ja nie mam izolującej krzemianowej skóry ani łusek jak Eechtoni. Ja jestem miękki, delikatny i chyba jestem w dodatku niezłym przewodnikiem elektryczności; co dla nich jest przyjemnym łaskotaniem, dla mnie — śmiertelnym wstrząsem. To mnie zabija, Bob! Zrób coś, na miłość boską! Umieram!

Udało mi się nastraszyć Boba, bo zakręcił się zaaferowany wokół własnej osi, a potem wyciągnął ze swej torby brzusznej wielki płat przezroczystej, połyskującej materii, rozpostarł go i zarzucił mi na głowę.

— To szata izolująca, wykonana z drobnitkich kryształowych łuseczek. Powinna panu przynieść ulgę — powiedział otulając mnie szczerze jak prześcieradłem kąpielowym. — Pomogło?

— O tak, od razu! — odetchnąłem.

— A jednak pan wciąż drży — zaniepokoił się robot.

— To już tylko ze strachu, Bob. Boję się, że zostanę przez pulsatory zidentyfikowany jako człowiek i zlikwidują mnie.

— Zbędne obawy, sir — oświadczył robot. — Nie będą analizować, czy pan ma strukturę tkankową, silikonową czy białkową. To ich nie interesuje. Sprawdzą tylko i przestudiują błyskawicznie odcisk kontrolny na pańskich plecach.

— Nie mam żadnego odcisku!

— Ma pan -pięknie wytatuowany odcisk z blisko tysiącem informacji zawartych w miniaturowych znakach. Wykonano go podczas badań w zakładzie na ostatnim stanowisku...

— Niemożliwe! Nic nie czułem!

— Był pan znieczulony, sir. Zresztą podobno to nie boli. Pomacałem się. Istotnie, dranie napiętnowali mnie na wysokości lewej

nerki jak krowę w Arizonie, szpecąc moje „szlachetne tyły” chropawą, owalną blizną.

— Niech pan się nie gniewa, sir. Taki stempelek ułatwi życie, bez niego nie miałby pan do niczego prawa na tej planecie.

Zmełłem brzydkie przekleństwo pod nosem. Biurokracja szerzy się w kosmosie... Chciałem powiedzieć Bobowi, co myślę o takim traktowaniu, gdy nagle przestałem się trząść. Ból ustał, jak ręką odjął. Zrozumiałem. Już po identyfikacji. Wykopsano nas z pola pulsatorów. Co za przyjemne uczucie! Życie znów wydało mi się piękne, nawet na planecie Uur.

41

W sekundę później już jechałem chodnikiem coraz wyżej jak po serpentynach w jakimś gigantycznym lunaparku. To było nawet przyjemne, choć czasem mnie w dołku ścisnęło. Myślałem, że zatrzymam się dopiero na samym szczycie w Świątyni Wiedzy albo przynajmniej w kampusie na górnych tarasach, lecz chodnik znów się obniżył i wyrzucił nas na próg wielkiej windy. Zjechaliśmy nią głęboko w dół. „Do samego piekła”, jak zażartował Bob. Zrozumiałem — góra była wydrążona w środku, a na samym dole znajdowały się uniwersyteckie sale egzaminacyjne. Bob mi wyjaśnił, że specjalnie wybrano to miejsce, aby uniemożliwić zdającym jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym i korzystanie z podpowiedzi. Zdarzały się bowiem wypadki, że podpowiadano im nawet z bardzo dalekich odległości za pomocą przeróżnych zminiaturyzowanych aparatów, wykorzystując znakomitą technikę eechońską. Teraz po przeniesieniu egzaminów do tego straszego podziemia było to podobno bardzo utrudnione.

Po dziesięciu sekundach jazdy winda wysadziła nas w świetlistym, podobnym do wnętrza Thety, kuluarze. Na mój widok ze ściany wysunęła się ni to szufladka, ni łapa. Leżała w niej kapsułka wielkości grochu.

— Niech pan weźmie, sir — usłyszałem głos Boba. Zauważył moje wahanie.

— To chyba nie bilet wstępu? — zapytałem szyderczo, — Nie jadam nie gotowanego grochu.

— Proszę nie żartować, sir — rzekł wyraźnie zgorszony-robot. — Za tę kapsułkę niejeden dulon oddałby miesięczny zarobek, a nawet więcej. To kondensat bioenergii. Bez niego nikt ze zdających Eechtonów nie odpowiedziałby nawet na jedno trudniejsze pytanie, a w ogóle nikt nie wytrzymałby egzaminu psychicznie. Niestety, dawka jest bardzo mała. Nie wszystkim starcza nawet na pół egzaminu. Niektórzy z kandydatów są bardzo wyczerpani. Dla nich i dwie takie kapsułki byłoby za mało.

— Co mam z tym zrobić? — zapytałem patrząc podejrzliwie na preparat. — Zjeść?

— Boże broń! — przestraszył się Bob. — To się wpina między łuski, najlepiej w okolicy serca, choć niektórzy wolą pod pachą, podobno wtedy mniej stygnie. Oczywiście, to głupi przesąd ignorantów, sir. Niech pan zeskrobie sobie dwie, trzy łuski i wepnie kapsułkę na to miejsce. Ma pod spodem mikroskopijne uchwyty.

— Zapomniałeś, głuptasku, że ja nie mam łusek. Tylko te na ubraniu...

— Przepraszam, sir — zmieształ się Bob. W pana sytuacji, sytuacji

dermatologicznej, że tak powiem, może pan sobie wpiąć tę kapsułkę do nosa lub ucha jak kolczyk. Niestety zmniejszy to jej skuteczność. †•

— Nie wygłupiaj się, Bob. Jak ja będę wyglądał?! Obawiam się też, że byłby to zabieg bolesny... Co innego, gdybyś to zaproponował jakiejś dziewczynie, może taki klips przypadłby jej do gustu. Te biedne istoty wszystko zniosą, byle się przyozdobić.

— Niech pan sobie wobec tego włoży ten koncentrat do kieszeni. Gdy otrzyma pan trudniejsze pytanie, szybko wepnij pan go sobie do ucha i potrzyma choć kilka sekund. Zawsze coś panu pomoże...

— Mnie nic nie pomoże, Bob — bez przekonania włożyłem kapsułkę do kieszeni.

Przeszliśmy do poczekalni dla kandydatów. Żałosne to było miejsce. W łagodnie podświetlonych seledynowych kularach na miękkiej elastycznej podłodze leżało kilku zdających, skulonych w kłębek i nieruchomych. Paru innych siedziało pod ścianami po turecku, tępo wpatrując się w czubki swych pantofli. Nikt nie spacerował, nikt nic nie mówił i wszyscy zachowywali dystans wobec siebie.

— Oszczędzają bioenergię na egzamin — szepnął Bob-

Jedna z siedzących osób zwróciła moją uwagę. Miała maskę o rysach ludzkich i, co najbardziej zdumiewające, była to maska przypominająca twarz Beaty, no może także twarz Brigitte Bardot ze starych filmów.

— Można?

Nie czekając na odpowiedź przysiadłem się, ale ona odsunęła się ode mnie i odwróciła głowę. Zrobiło mi się głupio.

— Chyba za bardzo się pośpieszyłem — mruknąłem zażenowany.

— Nie wolno ci było tego robić — powiedziała wciąż z odwróconą twarzą. — Czyż nie uczono cię zasady eere: „Nieznajony winien zatrzymać się trzy kroki przed nieznajomym i odwrócić twarz”?! Chrząknąłem zakłopotany. Co za bałwan ze mnie. Bob pouczył mnie przecież o tej zasadzie po drodze do Episteme.

— Przepraszam za tę gafę — wykrusilem. — To zupełnie niechcący... Jestem nowo reduplikowany i to chyba niezbyt fortunnie, w każdym razie z poważnymi usterkami. Już się zmywam. Nie myśl o mnie źle, przysiadłem się, bo wydałaś mi się taka... taka sympatyczna i ludz... — za późno ugryzłem się w język. Zmieszany chciałem wstać, ale ona niespodziewanie obróciła się do mnie, jakby przyjemnie zaskoczona moim wyznaniem.

Zostań — powiedziała i popatrzyła mi uważnie w oczy. -- Już się

43

stało — miała miły głos, czysty i niechrapliwy, raczej niepodobny do eechońskiego, metalicznie dźwięczny i melodyjny.

— Ty cała drżysz — zauważyłem. — Zimno ci?

— Nie.

— Już wiem. Masz tremę.

— Właśnie, piekielnie się boję.

— Matmy? — strzeliłem, żeby podtrzymać rozmowę.

— Wszystkiego... a najbardziej, że kimnę w środku egzaminu.

— Brak ci bio?

Skinęła głową ozdobioną płomiennie rudą czupryną.

— Bardzo?

— Bardzo. Nic mi się nie chce i nic nie pamiętam z tego, co mnie uczyli.-Mam kompletne zaćmienie umysłowe.

— Wepniesz sobie pod łuskę tę kapsułkę, co nam dali przy wejściu i rozjaśni ci się...»

— Ja... ja"już sobie wpięłam — wyznała zawstydzona.

— Co takiego?! To chyba grubo za wcześnie.

— Wiem, ale nie mogłam wytrzymać. Bałam się, że zemdleję i padnę i nie będę się nawet mogła skulić jak tamci — pokazała na leżących na podłodze. — Policja tylko na to czeka. Miałabym egzamin z głowy, chyba wiesz, co oni robią...

— Nie... niezupełnie.

— Wynoszą. Do szybu na odpady. I ładujesz prosto w myjni i w ambulatorium dla dulonów. I jesteś udulony na całe życie, gorzej załatwiony niż zwykły dulon, bo zostajesz dulonem...

— ...dulowatym — odpowiedziałem.

— Widzę, że się orientujesz — pochwaliła mnie. — Ale nie wiem, czy uczono cię, co robią z dulowatymi?

— Mój robot osobisty, Bob, powiedział mi, że dulowatych zsyłają do plantacji bananów krzemowych, do kopalń albo do kamieniołomów... A ty masz robota osobistego? — zapytałem kierując rozmowę na inne tory.

— Uciekł mi. Trafiłam na wyjątkowego drania. Od razu wyczuł, że mam słabe bio... i kiedy odpoczywałam półprzytoma, łapiąc ciepło szczelinowe w oazie melanosów, dał dyla w krzaki. Co gorsza, ukraść mi ostatnią kapsułkę z zapasów bio, które zaoszczędziła moja siostra, i które udało mi się przemyścić podczas duplikacji. Sprzeda je, łobuz, dulonom na plantacji za nędzne grosze, nakupi sobie robo-baterijek, żeby się łajdaczyć z nimi... One to

1
robią, te skubane roboty! Od tych orgii przepalają im się przedwcześnie układy i idą na szmelc, niemądre...

— Trafiłaś na wyjątkowo odrażający egzemplarz; mój Bob jest raczej uczciwy i lojalny.

— Miałaś szczęście. Dawno cię zrekonstruowano?

—r Wczoraj pod wieczór, słońce... przepraszam, gwiazda, czerwona gwiazda już zachodziła.

— Dlaczego powiedziałaś „słońce”? — zaciekawiała się niebezpiecznie. Cudem opanowałem zmieszanie.

! ~ Bo... bo patrzyłem na ciebie i ...i tak mi się skojarzyło... — wykrztusiłem i szybko przeszedłem do ataku. — Czemu włożyłaś maskę podobną do człowieka?

— A ty niby skąd wiesz, jak wygląda człowiek? — zapytała podejrzliwie. — Tego nie uczą nas przecież w normalnej szkole.

— Brat mi kiedyś w tajemnicy pokazał zdjęcia ludzi nad wielką wodą... — zełgałem gładko.

— Od tego czasu zacząłem się interesować Układem Słonecznym. To moje hobby.

— To dziwne — spojrzała na mnie badawczo. — Bardzo dziwne, bo to jest także moje hobby.

— Dlaczego dziwne? Po prostu pokrewni hobbyści wyczuwają się z daleka, coś ich ciągnie do siebie. No i ta twoja maska... Byłaś na Ziemi? — zapytałem ostrożnie.

— Nie, chociaż bardzo bym chciała. Siostra była. Ma stamtąd mnóstwo kaset video, obejrzałam je wszystkie.

— Podobało ci się?

— To zależy. Siostra mówi, że tam jest strasznie zimno, ale poza tym to interesujący, obiecujący teren jako przyszła kolonia. Podobny jak na Uur skład atmosfery i dużo, bardzo dużo krzemu, to zasadnicze walory tego globu. Tylko ci ludzie... — urwała nagle. — Czemu mi się tak przyglądasz? Źle wyglądam? — poprawiła ozdobny naszyjnik z zielonych, zapewne szlachetnych kamieni i kryształowy medalion na piersiach. — Jestem brzydka w tej masce? Może zdejmę...

— Nie, nie! — przestraszyłem się, że pod maską zobaczę krokodyle zęby, wyszczerzone przyjaźnie do mnie- i straszne łuski na twarzy i walcowaty wielootworkowy nos... — To piękna maska — oznajmiłem z przekonaniem.

— Cieszę się, że tak myślisz. Bałam się, że należysz do Eezalu...

— Co to jest?

44

45

— Naprawdę nie słyszałaś? To Eechoński Związek Antyludzki. Należą do niego różni szowiniści i mizantropi... Już parę godzin pó rekonstrukcji spotkałam się z wyzwiskami i obraźliwymi epitetami... Niektórych Eecho-nów, nawet Eecho-nów udulonych, moja maska okropnie drażni.

— To czemu ją nosisz?
— Dla przekory! Na złość tym wszystkim hasłom antyludzkim, na złość Eezalowi.
— Lubisz rzucać wyzwanie?
. — Chcę zmanifestować swoją niezależność.
— To ci może zaszkodzić u egzaminatorów — zauważyłem.
— Muszę się sprawdzić.
— Jesteś niezwykłą dziewczyną — rzekłem z podziwem. — Chciałbym widzieć miny komisji.
Wyglądasz tak prowokacyjnie ludzko!
— Wątpię, czy w ogóle dojdzie do egzaminu. W głowie mi się mąci — spojrzała na mnie dziwnie.
— Rozmowa z tobą kosztowała mnie sporo bio...
— Żartujesz chyba, wyglądasz świetnie.
— Za dużo z tobą rozmawiałam... Dlaczego rozmowa z tobą kosztowała mnie tyle bio? — osunęła się na moje ramię.
Podtrzymałem ją, teraz już naprawdę zaniepokojony.
— To na pewno nic poważnego — próbowałem ją pokrzepić na duchu. — Sama rozmowa nie mogła cię wyczerpać. To zwykła trema egzaminacyjna, tylko trema... Musisz to zwalczyć, jesteś dzielną dziewczyną, rzuciłaś wyzwanie, nie bałaś się szowinistów z Eezalu — mamrotałem coraz bardziej przestraszony. — Na pewno zdasz, jeszcze masz duży zapas bio, sama o tym nie wiesz, musisz go uruchomić. A żeby to zrobić, musisz uwierzyć w siebie. Wy, dziewczyny, zawsze popadacie w depresję albo w histerię, a w istocie jesteście obkute aż do mdłości...
— Och, przestań czarować, nie zahipnotyzujesz mnie — przerwała kładąc się na podłozie. — Co z tego, że jestem obkuta, kiedy już teraz tracę siły... Zanim przyjdzie na mnie kolej, uleci ze mnie reszta bio i będę jak szmaciana kukła, nie zbiorę do kupy trzech myśli, zrobię się głupia jak pusty worek i tyle będzie we mnie życia, co w kamionkowym garnku... szeptała z jakimś dziwnym pośpiechem, jakby się bała, że nie zdąży mi tego powiedzieć. — Och, co za los być Eechtonką — jęknęła prawie zupełnie po ludzku i umilkła.
Widziałem, że traci przytomność. Jej ciało znieruchomiało. Fatalna historia z tym bio! Co robić?! Biedaczka gotowa faktycznie jeszcze przed egzaminem stracić resztę życiowych szans. Z powodu dwudziestu miligramów kondensatu, takiej maleńkiej kapsułki, ma zostać udulona na całe życie!
46
Pracować na plantacjach bananów lub w kopalni! Taka wążka dziewczyna. Za chwilę wpadną agenci policji i wrzucą zemdlonych do szybu na odpady. Dokona się pierwsza selekcja. Nigdy już nie zobaczę tej sympatycznej Eechtonki, co chciała rzucić wyzwanie zastarzałym przesądom i uprzedzeniom. I będzie po to części z mojego powodu, aczkolwiek nie z mojej winy. O nie, to się nie stanie! Posadziłem dziewczynę pod ścianą, wydstąpiłem z kieszonki maleńką kapsułkę z moim przydziałem bio i podałem jej.
— Weź!
Nie zrozumiała w pierwszej chwili.
— To cię postawi na nogi — powiedziałem. 1— A ty? — wyszeptała zdziwiona.
— Ja? Co ty straciłaś, to ja zyskałem. Naładowałem się podczas rozmowy.
— Żartujesz sobie.
— Bynajmniej. Naprawdę coś się dziwnego stało. Czuję, że mogę teraz zdawać i nie zatka mnie. Mam mózg odkdrkowany, nerwy jak postronki. Bierz!
— Jeszcze nikt nigdy nie podarował ani mnie, ani mojej siostrze miligrama bio — rzekła i drżącą z osłabienia ręką podniosła kapsułkę. — Jesteś bardzo dobry i taki... taki inny.
— Inny, jak to? — zaniepokoiłem się.
— Inny od wszystkich. Coś jest w tobie takiego... Nie umiem tego określić... Promieniujesz...
— Ja promieniuję? Chcesz powiedzieć, że jestem radioaktywny? — przeląknęłam się. Do licha, nie pomyślałem o tym, że na Uur mogłem się niebezpiecznie napromieniować.
Po raz pierwszy roześmiała się, już na luzie. Nie wiedziałem do tej pory, że Eechtoni mogą się śmiać w sposób nader zbliżony do ludzi.
— Wspaniale reagujesz! Ile w tobie życia! Ile energii! Czuję, jak przechodzi do mnie... — w jej

słowach dźwięczał nieklamany podziw. — Czy możemy zostać przyjaciółmi?

— Już jesteśmy — powiedziałem.

— Jak ci na imię? — zapytała.

Zgłupiałem na moment. Co jej powiedzieć? Że nazywam się Romek Pitucki? I wzbudzić jeszcze więcej podejrzeń? Na szczęście Bob był przytomny i wybawił mnie z kłopotu.

— Mój pan nazywa się Ooromee Piituu, droga pani — oznajmił niespodziewanie.

47

— Jak pięknie! — wykrzyknęła dziewczyna. — Będę na ciebie mówiła Mee, czy pozwolisz

— Ooczywiście — wykrztusiłem,

— Ja mam na imię Uukee. Możesz mnie nazywać krótko Uu ' — wyciągnęła do mnie zgrabną rączkę, jaka szkoda, że siedmiopalczą.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— A teraz zdejmijmy maski — zaproponowała. Ładna historia! Zaniemówiłem z przerażenia.

— No co tak patrzysz, Mee? - rzekła z niepokojem.

— Panna Uukee, sir; zgodnie ze zwyczajem eechtonskim zaproponowała zdjęcie masek. Ten symboliczny gest oznacza tu przypiecztowanie przyjaźni, przejście do bardziej zażyłych stosunków. To znak, że przed przyjacielem nie mamy nic do ukrycia i pokazujemy mu naszą prawdziwą twarz — wyjaśnił Bob.

Bardzo dobrze, że wstawił tę mowę, bo ja przez ten czas zdołałem nieco ochłonąć i sformułować odpowiedź na tę wzruszającą propozycję Uu, z pewnością podyktowaną szczerym uczuciem do mnie.

— Dziękuję ci za ten dowód przyjaźni, droga Uu. Lecz, jak ci powiedziałem, w mojej twarzy nie wszystko jeszcze jest w porządku, mam zbyt wypukłe oczy i tylko dwie dziurki w nosie, a na głowie nieapetyczną łysinę. Muszę czekać dwa miesiące, aż mi łuski odrosną. Tak mnie urządzili, partacze!

— Miałaś trudną duplikację? — zapytała z wyraźnym współczuciem.

— Bardzo trudną, Uu. Tachiston się zaciął — łgałem.

— To straszne, Mee!

— Mówię ci, cholerny pech — plotłem dalej. — Byłem nie dokończony, gdy pojawiły się od Gór Ametystowych aara-kuu, zwane także sępami krzemowymi. Nadleciały, żeby mnie pożreć — wyobraźnia mi dopisywała.

Skracając dłuży się czas w oczekiwaniu na egzamin zacząłem roztaczać przed Uu coraz to nowe zmyślane przygody. Nie, to nie była przesada. Obecność tej dziewczyny w specyficzny sposób odblokowała moją zakutą łeb i uskrzydliła fantazję, tę gęś przyciężką i zwykle niezdolną do wyższych wzlotów.

Co więcej, ta nadzwyczajna lotność umysłu i łatwość wysławiania towarzyszyła mi jeszcze w kilka minut potem, gdy wezwano mnie przed komisję złożoną z profesorów wysokiego stopnia wtajemniczenia, o czym świadczyły wielkość i liczba kryształów i drogich kamieni połyskujących na ich obnażonych torsach.

Byłem jak w transie, nie czułem i nie widziałem nic poza zadaniem przez profesorów tematem. Posiadłem nie znaną mi przedtem zdolność koncentracji na zagadnieniu i mogłem widzieć je z przerażającą niekiedy mnie samego ostiością. Celną rozwiązanie cisnęło się błyskawicznie na usta. Mózg mój pracował na przyspieszonych obrotach, jakby nie zostawiając miejsca ani czasu na wahania, wątpliwości i lęki. Moje odpowiedzi były pewne i zwięzłe. Pytano mnie w istocie o rzeczy proste, które znałem jeszcze z klasy piątej i szóstej. Okazało się że jestem na niezłym poziomie w skali kosmosu, jeśli tak można powiedzieć, albo raczej, że ten poziom mierzony poziomem Uur był bardzo niski, co zapewne ma jakiś związek z osłabieniem bioenergii Eechtonów. Więc ta pogarda dla gatunku ludzkiego, z jaką się zetknąłem na pokładzie Thety, nie była chyba usprawiedliwiona. W każdym razie byłem zażenowany, gdy rozwiązanie przeze mnie banalnego układu równań drugiego stopnia bez pomocy komputera wywołało wśród łuskowatego gremium wybuch entuzjazmu, a moje „rewelacje” na temat Układu Słonecznego z wyliczeniem po kolei wszystkich

planet spowodowało pięciominutowy aplauz. Śmieszny fakt, że odróżniłem wyłącznie za pomocą zmysłów chlorek sodu od chlorku etylu, a srebro od aluminium, wywołał tak daleko idące niedowierzanie, iż przerwano egzamin i zarządzono skrupulatne badania, czy otrzymałem taką samą dawkę bio jak inni delikwenci. Gdy uzyskano urzędowe potwierdzenie tego faktu, niedowierzanie zamieniło się w podziw, a następnie w zachwyty, co wyrażało się nie tylko w słowach i oklaskach, lecz także w coraz jaśniejszym migotaniu łusek profesorskiego ciała i roziskrzeniu osadzonych w skórze kryształów i drogocennych kamieni.

W końcu uznano, że mam zarówno wysoki iloraz inteligencji, jak wyjątkową zdolność wykorzystania tych mikroporcji energii, którą mi się przydziela. Nie byłem tym zachwycony, a zwłaszcza tą moją rzekomą wyjątkowością. Bałem się, by nie wpadli na pomysł poddania mnie badaniom anatomicznym i sekcji, jak to zrobili z tym mędrcelem z Episteme przed dwudziestoma pięcioma, wiekami. Lecz na razie wystarczyło im przyznać mi stopień naukowy bakałarza „pierwszego progu wtajemniczenia”, jak to ładnie określili.

Bob pierwszy powinszował mi wyniku.

— Jestem dumny, że służę u pana, sir. Wszystkie roboty patrzą z zazdrością na mnie — oświadczył uroczyście. — Życzę, aby wkrótce osiągnął pan kolejne stopnie wtajemniczenia.

— Słuchaj, Bob — zapytałem — chcę poznać twoje zdanie. Co się ze

51

mną naprawdę stało, skąd ten zryw? Jak myślisz, czy Uu pomogła mi w tym egzaminie?

— Uu? — zdziwił się robot. — W jakim sensie, sir?

— W sensie promieniowania. Czułem się zupełnie inaczej, niż podczas egzaminów na Ziemi.

Żadnej tremy, pewność siebie, jasność umysłu. Czy to Uu tak promieniowała na mnie?

— 'No cóż, sir, sądzę raczej, że ona wyzwała i stymulowała pana własne promieniowanie, sir.

— Stymulowała?

— To znaczy, chciałem powiedzieć, wzmacniała i pobudzała — tłumaczył Bob. — Rzecz w tym, że ta biedna dziewczyna, wskutek własnej słabości, dawała panu niejako pole, robiła miejsce dla pańskiego promieniowania. Ogólnie można powiedzieć, że na Uur będzie pan zawsze górą, sir, bo pana bio ma tu wskutek niedostatku bioenergii Eechtonów jakby otwartą przestrzeń do wyładowań, nie zablokowaną drogę do popisów...

Miałem czekać na uroczystość nominacji w kuluarach. Podobno sam Jego Magnificencja rektor Oodos Oomu zechciał w swej łaskawości celebrować ten ważny u Eechtonów rytuał.

W hallu obstąpili mnie natychmiast faceci o wyglądzie uśmiechniętych krokodyli. Mieli wylupiaste oczy, zębate paszcze i kostiumy z rogowych tarczki. Za nimi przysuwali się ciekawie osobnicy w błyszczących fioletowych łuskach i w odrażających maskach podobnych do demonów chińskich. Byłem już na tyle zorientowany w tutejszej modzie, że po kolorze kostiumów i po rodzaju ozdób poznałem od razu, że mam do czynienia z pracownikami naukowymi w stopniu bakałarza pierwszej i drugiej rangi, a więc moimi nieco starszymi kolegami.

Zapomniawszy o zwyczajach eechońskich myślałem w pierwszej chwili, że zaczną mi ścisnąć rękę i klepać po łopatkach, ale oni zatrzymali się przepisowe trzy kroki ode mnie i odwracając twarze, jak każe eechońska grzeczność, zaczęli kłapać przyjaźnie zębami. Ja też im pokłapałem, żeby nie budzić podejrzeń i zrobić dobre wrażenie.

— Kapitalny byłeś! — chwalili mnie głośno. — Przyjemnie było słuchać! Już dawno nikt się tak nie popisał. Fenomenalne zdolności! I kondycja! Orzeł Uurski z ciebie? Gratulujemy wyniku!

Uu też próbowała pogratulować, ale nim dopchała się do mnie, megafon . wywołał ją do egzaminu. Pomachała mi tylko z daleką ręką.

— Brawo, Mee! — krzyknęła. — Zobaczymy się potem.

— Trzymaj się, Uu! Powodzenia! — zawołałem.

52

Musiałem być w istocie fenomenem na eechońskim gruncie i dysponować niezwykłą siłą przyciągania, gdyż bakałarze skrócili wyraźnie dystans, przybliżyli się do mnie na dwa kroki, co już stanowiło poważne naruszenie etykiety... i, coraz bardziej ośmieleni, zasypali mnie pytaniami:

— Zdawałeś koncertowo, ale jak ci starczyło bio na takie występy?

— Dostałeś przydział ekstra? •

— Jak to sobie załatwiłeś, stary?

— Masz jakieś chody w świątyni?

— Dojścia? |

— Boki?

— A może któryś z Wielebnych jest twoim bliskim krewnym? Mrugali do mnie porozumiewawczo swymi krokodylimi oczyma, co czyniło dość niesamowite wrażenie. Sądziłem, że gady nie potrafią mrugać...

— Z pewnością rozczaruję panów — powiedziałem — ale nie mam tu żadnych krewnych ani chodów w świątyni.

Wymienili znaczące spojrzenia.

— Czy przypadkiem nie jesteś nowo reduplikowanym? — zapytał jeden z nich o rozdętej szyi i nieruchomych oczach kobry.

— Jestem. Czy to źle?

— Skądże! Ale to dużo wyjaśnia. Zatem masz brata bliźniaka w systemie innej gwiazdy?

— Owszem, mam.

— Pozwól, że zgadnę gdzie. Zapewne na padole... | . \

— Przepraszam, na jakim padole?

— Na padole płaczu.

— Nie rozumiem — nastroszyłem się.

— Tak się mówi u nas o Ziemi. W odróżnieniu od Uur, która jak ci wiadomo, jest rajem... — znów mrugnęli do mnie.

Badali mnie? Prowokowali? Czy też podkpiwali sobie?

— Nie wszyscy płaczą na Ziemi — rzekłem ostrożnie. — Ten glob ma pewne zalety, może nawet będzie kiedyś modnym miejscem peregrynacji i spotkań w galaktyce, jeśli wcześniej nie zniszczą go ci głupcy, jego mieszkańcy... — uznałem, że lekki akcent antyludzki zrobi dobre wrażenie i uwiarygodni mnie w ich oczach.

Jakoż rozluźnili się wyraźnie i skrócili jeszcze bardziej dystans.

— Powiedz nam, czy" to prawda, że na Ziemi jest tak dużo bio, że nie trzeba czekać na przydział? I że każdy człowiek ma to w sobie? — dopytywali ściszym głosem, rozglądając się bojaźliwie, czy ktoś nie podsłuchuje.

53

— W zasadzie tak — odparłem. — Choć rozdzielane jest dość nierównomiernie.

— A zatem przemyciłeś je stamtąd!

Co im powiedzieć? Zaprzeczyć? To tylko podnieci jeszcze bardziej ich ciekawość. Przyznać się do przemytu? Jeszcze gorzej — ktoś może donieść policji. Chrząknąłem zakłopotany, ale oni nie czekali na moją odpowiedź, przyjęli za pewnik, że szmuglowałem i interesowała ich tylko techniczna strona operacji.

— Jak zrobiłeś, że ci nie odebrali?

— Miałeś w ampułce, pastylce czy w .proszku?

— Czy bardzo się bałeś?

— Podobno prześwietlają i sprawdzają skrupulatnie zaraz po reduplikacji. Rekwirują, co kto ma z obcej planety. Nowo odtworzony facet ma wejść do naszego raju nagi, czysty i bez bagażu.

— Nawet bez? jednej pchły!

— Zaraz, panowie — próbowałem ich uciszyć. — Za bardzo się podniecacie. Słowo, że nie pamiętam, żebym coś szmuglował.

— Dobra, dobra — zaśmiali się. — Powiesz tak policji, jak do czego dojdzie. Z nami możesz być szczery.

— Ależ pomyślcie, sami przecież stwierdziliście, że kontrolerzy sprawdzają drobiazgowo. Jak mogłem zrobić ich w konia? Bezbronny i nagi przeciw automatom haj-ti?

— Owszem, sprawdzają dokładnie, ale rutynowo. Zbyt schematycznie i mechanicznie, jak to roboty...

— Tacy jak ty mają zawsze jakieś możliwości!
— To fakt! Cholerne reduplikaty! Zawsze coś skręca na lewo! — dołączyły się nowe głosy, w których pobrzmiwała nieprzyjemna nutka zazdrości. — Wystarczy mały błąd w odtworzeniu skóry...
— Drobną skaza...
— Jakiś niewielki załomek...
— Uchyłek...
— Fałdka...
— I ukrywasz na sobie parę uncji sproszkowanego bio...
— Zdradź, gdzie schowałeś?
— Nie bój się, nikomu nie wypaplamy!
— Wchodzisz w nasze bractwo, więc nie powinieneś mieć żadnych sekretów przed nami.
— Przecież musiałeś gdzieś ukryć!

54

— Konamy z ciekawości.
— To frapujący problem z punktu widzenia dermatologii stosowanej.

y

— Może w załotnkach pod kryształami?
— Bo chyba nie w tchawkach, to strasznie łaskocze...
— Mógłbyś się zakrztusić albo nawet udusić.
— Już prędzej w uchyłkach między łuskami.
-v Czy mógłbyś na chwilę zdjąć kostium i pokazać?
— Chcemy obejrzeć twoją skórę!

Obejrzyć moją skórę! Tego jeszcze brakowało! Z trudem ukryłem rosnące zdenerwowanie. Nieposkromiona ciekawość bakałarzy, ich akademicka dociekliwość dotycząca mojej osoby, stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Jak wybrnąć z tej sytuacji?!
Lecz jeszcze i tym razem los był dla mnie łaskawy. Oto bowiem w krytycznej chwili w głębi kuluaru coś zaiskrzyło się, a potem oślepiająco zabłysło. Mrużąc oczy spojrzałem ciekawie. Przez krąg bakałarzy przedarł się młody, postawny osobnik w równie pięknym, jak bogatym kostiumie jaszczura nasadzonym suto wielkimi brylantami i ametystami. Ametysty wskazywały, że mam do czynienia z jeszcze jednym kolegą bakałarzem, lecz niewątpliwie pochodził on z wyższych kapłańskich sfer, o czym świadczyły brylanty. Widziałem już wielu błyszczących elegantów na Uur, lecz ten przyćmiewał wszystkich. Przy każdym ruchu miotał snopy światła. Nawet zęby miał z jasnego zdobnego szafiru, mistrzowsko szlifowane w specjalny sposób, tak że iskrzyły obficie, gdy mówił, co, rzecz jasna, nadawało jego słowom szczególnego blasku. Niekiedy jakaś iskra krzyżowała się i zderzała z promieniami wielkiego brylantu, który nosił w przekłutych nozdrzach, i wtedy efekt był wyjątkowo olśniewający. Lecz moją uwagę przykuły inne, raczej niepokojące, detale stroju tego dandysa. Szyję zdobiła mu dziwna kolia z drobnych kostek, a gdy podszedł bliżej, stwierdziłem, że to naszyjnik dentalny z siekaczy. Czyżby ludzkich? Przy boku dyndał mu podręczny laser w kształcie kordzika o główicy zwieńczonej stylizowaną trupa czaszką ludzką, co, jak już wiedziałem, świadczyło o przynależności do Eechońskiego Związku Antyludzkiego — Eezal.

Postanowiłem mieć się na baczności, choć na razie nic mi z jego strony nie groziło. Przeciwnie — okazał się moim wybawcą.

— Cicho, gnojki! — krzyknął odpychając napierający na mnie tłum podnieconych bakałarzy. Głos miał potężny, tubalny, lecz czysty, jakby metaliczny.

55

Gwar przycichł nieco, ale nie ustawał. Po chwili małej konsternacji skubańcy znów zaczęli napierać, uparcie próbowali dobrać się do mojej skóry.
— Powiedziałem: stulić gęby! — strojny przybysz tupnął nogą ozdobioną wspaniałymi pazurami z kryształów. — Cofnąć się! — zagrzmiął, a gdy to nie pomogło, puścił na postrach wiązkę promieni z lasera, ścinając równo trzy kamyki z ametystowego grzebienia na czubku głowy

najgłośniejszego bakałarza.

Tym razem skutek był piorunujący. Hałastrą umilkła i zastygła w miejscu. Zadowolony strojnis błysnął zębiskami i dał upust swojej pogardzie dla bractwa.

— Dulońskie mózgi! Moralne zgniłki! Zdeprawowane matoly! Nie potraficie znaleźć innego wytłumaczenia sprawności umysłowej naszego nowego brata, jak tylko w szwindlu, protekcji i szmuglowaniu bio?! — Wybacz tym głupcom nachalność i ordynarne maniery. Brak bio zamroził im głowy — odezwał się do mnie, po czym zwrócił się z powrotem do speszonego grona: — Czy nie przyszło wam na myśl, że nasz szlachetny brat nie potrzebuje faszerować się preparatami bio, ponieważ ma naturalne, własne, wrodzone, młodzieńcze i samowystarczające eekubu?!

— Eekubu?! — cofnęli się z respektem.

— Już zapomnieliście, coście się uczyli o tym boskim darze natury? Spuścili głowy.

— Eekubu! — rozległy się pobożne szepty. — Naprawdę myślisz, Tuutoomonie, że on to ma?

— Oczywiście! Czyż nie czujecie, jak promieniuje? Czy nie doznajecie w jego obecności niezwykłego podniecenia, czy nie przybywa wam sił żywotnych i wigoru?! Skąd, u licha, wzięło się wasze dzisiejsze ożywienie, gadulstwo i bezczelność?!

Zbici z tropu patrzyli na mnie z niedowierzaniem zmieszonym z bojaźnią.

— Czy to możliwe? — odezwał się posepnie ten z głową kobry. — Już nikt nie rodzi się z eekubu.

— Nie wmawiaj nam, Tuutoomonie, absurdalnych rzeczy — rozległy się ośmielone głosy. — Eekubu występuje tylko w bajkach...

— W mitach i legendach dawnych wieków.

— W naukowo-fantastycznych powieściach.

— W filmach przygodowych.

-- Nikt jeszcze nie widział bakałarza z eekubu.

— Takie rzeczy praktycznie się nie zdarzają...

— Owszem — przerwał Tuutoomon, przyglądając mi się uważnie przez

56'

f

wielkie soczewkowate okulary, w które wyposażona była jego maska. — Wśród ogólnej głupoty pojawia się raz na kilka lat uzdolniony osobnik, lecz nie nadaje się rozgłosu tego rodzaju odkryciom. Takich facetów odsyła się od razu do Korpusu Ostatnich Rezerw, gdzie po starannej selekcji niektórzy z nich mają zaszczyt zostać Osobistymi Służebnikami Wielkiego Brata. Nie wątpię, że wkrótce ten honor spotka i ciebie — zwrócił się do mnie. |--Patrzyłeś na mnie, ja patrzyłem na ciebie, a więc zgodnie z etykietą musimy się zaprzyjaźnić. Pierwszy krok do przyjaźni to poznanie. Poznajmy się — zaproponował, kłapiąc przyjaźnie zębiskami i srebrząc się zachęcająco. Kłapnąłem i ja, żeby nie wyjść na gbura.

— Nazywam się Tuutoomon Eebuduu — przedstawił się. — Możesz do mnie mówić Tuuto.

— Ooromee Piituu — powiedziałem. — Możesz do mnie mówić Mee. Potarliśmy się plecami.

Tuutoomon załśnił wspaniale. Ja tylko uśmiechnąłem się bezradnie i przepraszająco.

— Nie załśniłeś? — zapytał z nutą zawodu w głosie.

— Nie potrafię.

— Mowa! Próbowalesz?

— Nie.

— Więc spróbuj, to bardzo łatwe!

Istotnie, ku mojemu zdziwieniu okazało się, że mogę lśnić bez trudności. Zapewne należało to do właściwości, a ściślej do osobliwości, planety Uur. Wystarczała mi do tego odrobina energii, mniej więcej tyle, ile do poruszenia jednym palcem. Co prawda wydzielałem raczej nikłą poświatę, w lustrze na ścianie zobaczyłem, że lśni mi właściwie tylko czoło i nos, ale zawsze...

— No, widzisz, lśniesz! — zagrzemiał zadowolony Tuuto i sam załśnił z kolei. Potem ja znów załśniłem, żeby mu zrobić przyjemność i tak lśniliśmy na zmianę może z dziesięć razy, wreszcie Tuuto zgasił się zadyszany.

— Wybacz, Mee — wysapał słabym głosem. — Bardzo cię lubię, ale już nie mogę dłużej.

— Nie szkodzi — powiedziałem rześkim głosem. — I bez tego wiem, że jesteś moim przyjacielem.

— Wyczerpało się moje bio, choć dzisiaj wziąłem podwójną dawkę, przewidując emocje. Chyba jednak za długo lśniłem — doszedł do wniosku. — Ale to z sympatii do ciebie, bracie Mee.

— Przykro mi, że stałem się powodem twojego osłabienia, bracie Tuuto — rzekłem.

— Och, to głupstwo, zaraz poczuję się lepiej — podniósł rękę do góry

57

i pomału zaczął poruszać nią jak obrotową anteną. — Napromieniujesz mnie, bracie Mee?

— Co takiego?

— Pomyślałem, że, skoro już tu jesteś, mógłbyś nam zaaplikować trochę cu-cu. Czuję, że masz go w nadmiarze.

— Cucu?

— Tak nazywamy w naszej gwarze pochłanianie promieniowanie, które wzmacnia nasz organizm. Dopiero teraz zauważyłem, że wycelował we mnie czarny pochłaniacz schowany pod pachą. Coraz mniej mi się to podobało.

- Ależ, bracie, — próbowałem się wykręcić — przeceniasz moje możliwości. O promieniowaniu nie ma mowy, ja mogę tylko lśnić, i to słabo.

—' Bez fałszywej skromności! — zdenerwował się nieco. — Promieniujesz jak radioaktywny (gejzer, jak tona gorącej pulpy eeberonowej, jak całe stado gęsi łkawych. — Zbliżcie się! — skinął na onieśmielone i spokorniałe bractwo. — Brat Mee udzieli wam swego eekubu! Przygotujcie się i nadstawcie!

Podchodzili ostrożnie, odwracając oczy. Bali się porażenia? A może tylko na powrót zaczęli szanować obyczaj zakazujący patrzenia obcym w twarz? • Zatrzymywali się trzy kroki przede mną. Wykonywali jakieś manipulacje przy kostiumach... wszyscy te same ruchy. Widok był niesamowity, zupełnie, jakbym oglądał zbiorowy występ pantomimy. Tymczasem rzecz była natury czysto technicznej. Krysztály zdobiące ich łuskowate kostiumy okazały się czopami zaworów, po otwarciu widać było, iż kryły one lejkowate wyloty czarnych pochłaniaczy promieniowania. Bakałarze nadstawiali je, po czym jeden po drugim padali na kolana przede mną... wykonywali węzowe skręty tułowia, coś w rodzaju tańca brzucha na kolanach.

Cofnąłem się odruchowo, zdjął mnie dziwny lęk.

— Nie zmieniaj pozycji! — usłyszałem błagalny szept Tuutomona. — Stój tak przez chwilę i oddychaj swobodnie!

Dziwny dreszcz przeszedł mi przez całe ciało. Odniosłem wrażenie, że słabnę.

— Czujecie? — zapytał głuchym głosem Tuutoomon.

Nie odpowiedzieli, ale ich kostiumy nabierały niebieskawego połysku.

— Zgaście światło! — zachrypiał Tuutoomon. Przekreślono wyłącznik. Zapanowała ciemność.

— Patrzcie! On błyszczy! — rozległy się okrzyki.

58

1

— Żarzy się!

— Goreje!

— Jaka łuna!

! Co za widowisko!

W ich głosach był szczery zachwyt. Czyżbym naprawdę promieniował? Spojrzałem na swoją rękę, lecz nie dostrzegłem żadnego błyszczenia. Co się dzieje, u licha? Czy to możliwe, żeby padli ofiarą zbiorowej halucynacji?

A może faktycznie emitowałem jakieś promienie, nieuchwytnie dla oka ludzkiego, lecz dla nich w pełni widzialne na przykład... Na przykład jeśli ich wzrok reagował na fale podczerwone, to mogli z łatwością oglądać moje promieniowanie ciepłe.

Tak, to bardzo prawdopodobne, że przedstawiam się w ich oczach jak jakiś cudowny święty, od którego bije blask aury! Stąd ten zachwyt, ta fascynacja...

— Czujecie? — ponownie zabrzmiał głos Tuuto, lecz tym razem znów metalicznie, dźwięcznie,

jakby odzyskiwał dawną moc.

— Tak! Miałeś rację — rozległy się odpowiedzi. — To autentyczne eekubu.

-

— Bardzo silne eekubu.

— Wydajne!

— Chłonę co najmniej pięć gramów cu-cu na minutę.

— Sześć!

— Siedem! — wpatrywali się podnieceni w liczniki pochłaniaczy na przegubach rąk.

— Nigdy jeszcze tak się wspaniale nie czułem!

— Co za nieopisane uczucie!

— Uczucie mocy!

— Zdrowia!

— Nasycenia!

— Jestem tak naładowany, że mógłbym czytać cały kwadrans bez przerwy, jednym tchem!

— A ja rozwiązałem bez komputera równanie z dwiema niewiadomymi

Ja bym nawet zapamiętał prawo grawitacji!

— I odbicia fal!

— I nawet prawo załamania światła!

— Nie mówiąc o prawie racjonalnych parametrów! — I stosunków wielokrotnych!

59

— Co tam, ja mógłbym wyrecytować z pamięci trzy pierwsze prawa galaktyki!

— To jeszcze nic...

— Nic?!

— To jeszcze nic, bo ja mógłbym wspiąć się na drzewo!

— Na jakie drzewo?

— Na drzewo olejowe.

— Nonsens! Ono jest o całą stopę wyższe od ciebie!

— Zaryzykowałbym mimo to...

— Ja mógłbym skoczyć!

— Skoczyć czy podskoczyć w miejscu?

— Podskoczyć w miejscu, ale dwa razy!

— Przechwalasz się! Ja mógłbym skoczyć w dal!

— Na pół pazura?

— Założę się, że przeskoczyłbym leżącego dulona!

— Pestka! Ja bym potrafił pedałować całe pięć minut na lotope-dzie.

— A ja mógłbym może nawet wejść na pierwszy taras świątyni.

— Na własnych nogach? To już gruba przesada!

— I zrobić jeszcze dwanaście kroków pod górę!

— Dwanaście?! Zrób dwa, to będzie dobrze!

— Zrobię dwanaście po schodach na wzgórzu Oote.

— A ja... a ja odważyłbym się pójść na disco i zatańczyć!

— Nie zrobiłbyś tego!

— Załóż się! Pójdę, będę tańczyć pełną minutę i nie upadnę!

Tak, to było widać już na pierwszy rzut oka, że rozsadzało ich zaabsorbowane cu-cu i poczuli się w nieprawdopodobnej formie. Niektórzy nie poprzestawali na przechwałkach, lecz od razu próbowali swych sił na kolegach, przewracali jeden drugiego.

Niestety inni, bardziej widać chciwi i wciąż jeszcze nienasyceńi -- a tych była większość — uporczywie klęczeli przede mną i zasłaniając twarze natrętnie nadstawiali mi się, prezentując obłe łuskowate torsy z czarnymi lejkami pochłaniaczy. Chłonęli łapczywie promienie, których rzekomo byłem źródłem. Zacząłem się niecierpliwic; ten osobliwy seans przedłużał się ponad moją wytrzymałość, było to równie żenujące, nudne, jak i męczące. Nie będę tał — zaczęło mi się robić coraz bardziej- niedobrze i... autentycznie słabo — zupełnie jakby naprawdę wyciągali ze mnie

jakieś witalne siły. No, i — co było najgorsze, jak zwykle w takich niecodziennych sytuacjach —
60

do głosu zaczęła dochodzić moja, powiedzmy to oględnie, twórcza wyobraźnia i podsuwać przykre wizje grożących mi komplikacji i kłopotów w związku z posiadaniem przeze mnie tak deficytowego dobra jak eekubu. Wciąż jeszcze miałem w uszach słowa Tuutoomona, że takich jak ja odsyła się do Korpusu Ostatnich Rezerw do dyspozycji Wielkiego Brata. Jeśli rozejdzie się wieść o tym, będę zgubiony, będę musiał stanąć przed komisją. Wtedy się wyda, że jestem człowiekiem... A nawet jeśli się nie wyda, bo mój znakomity brat

1 Tuutoomon i całe bakalarskie bractwo zachowają rzecz w tajemnicy, przez solidarność koleżeńską i grupowy interes, to będą mnie niemiłosiernie eksploatować. Przypadnie mi rola lampy kwarcowej do naświetlań albo czegoś w rodzaju bomby kobaltowej do napromieniowywania, ciepłego dawcy cu-cu, a to nie uśmiechało mi się wcale. Być może nie powinienem zwlekać ani chwili i już teraz salwować się ucieczką w Góry Ametystowe. Muszę poradzić się Boba...

Poruszyłem się niespokojnie.

— Przepraszam, panowie, ale niezbyt dobrze się czuję... Może zrobimy małą przerwę? — zdobyłem się na słaby protest.

— Wytrzymaj! — zamruczał Tuutoomon. — Miej litość dla tych biedaków. Widzisz, w jakim są stanie i jak zbawiennie działa na nich twoje eekubu. Daj im nasycić się do pełna! Zdobędziesz miłość wszystkich braci i będziesz chlubą naszej akademii... — położył mi ciężką łapę na ramieniu.

Chciałem powiedzieć, że merdam na to i żeby się wypchał, ale zaraz pomyślałem, że w mojej pieskiej sytuacji lepiej nie drażnić nikogo i zacisnąłem zęby.

Zapewne dranie syciliby się mną bezlitośnie, póki bym nie padł zemdlony, gdy nagle z trzaskiem rozwarły się drzwi sali egzaminacyjnej

1 wybiegła stamtąd grupa rozszczębiotanych dziewcząt w maskach dinozaurów.

(

— Czemu tak wam wesoło, dziewczęta? — zatrzymał je Tuutoomon.

— Zdałyśmy z wyróżnieniem i dostałyśmy ekstra przydział bio z puli Jego Magnificencji. Specjalna premia dla uzdolnionych dziewcząt. Rektyfikowane, czyste, krystaliczne bio! — pochwały się.

Bakalarze otoczyli je zaciekawieni.

— Baby mają zawsze chody! — odezwały się zawistne głosy. ---Zwłaszcza u Ich Ekscelencji i Magnificencji!! Belferska sprawiedliwość!

— A co z naszą niezrównaną Uu? — zainteresował się Tuutoomon. — Nie widzę jej wśród was, dzierlatki.

61

— Strasznie uwzięli się na nią i wciąż męczą jeszcze! — zawołały. — Wiecie, jaka jest Uu, lecz naprawdę przesadziła tym razem, przyszła na egzamin w masce... człowieka!

— Co za pomysł! — wykrzyknął wzburzony Tuutoomon. — Ona? W masce człowieka?!

Dlaczego? Nic nie rozumiem. To jakaś prowokacja. Ktoś ją umyślnie namówił, żeby oblała.

— Ona chciała się sprawdzić — oświadczyłem głośno. — Uu traktuje ten egzamin jako próbę charakteru i sprawdzian swej odporności.

— Patrzcie, patrzcie! Znalazł się szlachetny wielbiciel! — zawołał ten z szyją kobry.

— Idiotka! To nie było ani taktowne, ani mądre — powiedziały dziewczęta. — Jeśli chciała sprowokować profesorów, to się udało. Jej strój uznali za arogancję i wyzwanie, no i zaczęło się...

Z zaciekawieniem i niepokojem czekaliśmy na wiadomości z sali egzaminacyjnej. Wieści były dobre, potem bardzo dobre, a potem wręcz podniecające. Mała Uu idzie przebojem do zwycięstwa.

Nie zagięli jej jeszcze na żadnym pytaniu, choć jest pod obstrzałem najbardziej zaciekłych mamutów ze Związku Antyludzkiego. Imponuje twardością, kosi wszystkie przeszkody. Główna Nagroda Komisji jest w zasięgu jej ręki.

Wpatrywaliśmy się w ekran komputera obliczającego publicznie i na bieżąco wyniki. Szansę Uu

wciąż rosły. Za wszystkie te trudne i podchwytliwe pytania komputer policzył jej dodatkowe punkty! I w końcu to, że ją maglowali, wyszło jej na korzyść. Egzamin przedłużał się w nieskończoność, belfrzy nie chcieli dać za wygraną.

— Dostyc tego! — zdenerwował się ten z szyją kobry i wyłączył ekran komputera. — Będą się z nią tak bawić do wieczora. Nie widzicie? Ktoś babie zaaplikował końską dawkę bio, widać, że jest nafaszerowana potąd, po nos i po uszy! I mądrzy się. Nasz nowy brat Mee chyba mógłby coś powiedzieć na ten temat! Zostawmy go lepiej z tą kujonką i chodźmy się zabawić!

— Hej, ptaszęta! -- zawołali do dziewczyn. — Trzeba uczcić taki dzień! Zabieramy was na disco „Pod Araa-kuu”!

— I na pieczone gąski łkawe!

— Nadziane amfibolami!

— Posypane zielonym aktynolitem!

— W apetycznym bukiecie melanosów.

— I na potrawkę z wędzonych morsów eechtpjadów.

— I na lody z tłustego mleka eeberonów dojnych.

Dziewczęta skrzywiły się ostentacyjnie, zgrzytając łuskami szyderczo.

62

I

— Znamy ten numer. Zapraszamy do balangi i wyżerki na nasz własny koszt...

— Co wy, dziubaski?! Dostaliśmy bakalarskie gąze, dzisiaj my fundujemy i płacimy długi!

— Słyszaliście, dziewczęta? Oni płacą?! Co to za nowe zgrywy, mrzyglódki bezpromienne, niedojadki, niedóprane mózdzki! Czy nie stuknął was w czaszkę chryzopraz?

— Żadne zgrywy, pięknotki! To są uczciwe propozycje taneczne i kulinarne. No więc?

— Dziękujemy, nie skorzystamy.

— Jak to., dlaczego, skarby nasze? Nie wierzycie nam?

— Wierzimy, ale się boimy.

— Czego, siostrzyczki? Nie ugryziemy was!

— Boimy się, że zasłabniecie, jak ostatnim razem i trzeba was będzie dźwigać, a to żadna przyjemność.

— Co wy, dzisiaj jesteśmy w formie, napompowani, naładowani!

— Skąd wiemy, że nie robicie nas w konia?

— Słowo! Czy nie widzicie po nas? Możemy nawet skakać. Skaczcie, chłopaki!

Zachwycone dziewczęta klasnęły w rączki.

— Patrzcie, dziewczęta! Oni naprawdę skaczą! Jak to robicie, kwarcowe ciolki?

— Zafasowaliśmy cu-cu. Tak się fajnie składa...

— Cu-cu? Nie opowiadajcie! Nie ma w handlu cu-cu!

— Mamy lewe cu-cu.

— Lewe?

— Od pokątnego dostawcy...

— Nienadzwyczajnie oczyszczone...

— Ze szkodliwymi domieszkami...

— Ale wysokoprocentowe...

— Mocne jak diabli cu-cu! Przekonacie się w tańcu.

— Co oni plotą?! Moje cu-cu szkodliwe? - chciałem zaprotestować, ale Tuutoomon uciszył mnie:

— Cicho, nie widzisz, że się zgrywają?

— No więc, dziewczęta? — nalegali bakalarze. — Zdecydujcie się szybko, grzecznie was prosimy!

— Dobra, — zgodziły się — zaryzykujemy jeszcze ten raz! Przyjdźcie po nas za godzinę.

63

— Za godzinę? A to czemu?

— Musimy przebrać się.

— I zmienić maski.

—! Po co?! — niecierpliwili się. — I tak jesteście piękne. Lepiej pośpieszmy się...
— Co wam tak pilno? :
— Powiedzieliśmy wam, że to jest lewe cu-cu. Diabeł wie, na jak długo nam starczy; na wszelki wypadek uwijajmy się jak najszybciej, bo już wkrótce możemy oklapnąć na nowo i wigor z nas wyparuje — straszyli..
— Gzy wy nie blagujecie? -- udało im się wszczepić dziewczętom niepokój.
'—Przysięgamy na aletheję. | — I brodę Mędrca!
— Zaraz was sprawdzimy — powiedziały dziewczęta. — Gońcie nas! — rozpierzchły się z wesołym piskiem i dzwonieniem kryształowych ząbków.
Bakalarze, nie bacząc na ograniczone zapasy cu-cu, pognali za nimi.
Patrzyłem oniemiały. Wprost mnie zatkało z oburzenia. • Zamiast się cieszyć, że dali nii wreszcie spokój, byłem na nich wściekły, bardzo wściekły, chyba nawet za bardzo. Wszystkie te zaloty i igraszki wydały mi się wręcz obraźliwe dla mnie...
— Cholerni podrywacze! — wykrusilem do Tuutoomona. — Czy po to promieniowałem... Po to traciłem tyle czasu i energii? W końcu to moje cu-cu! Gdybym wiedział, do czego im będzie potrzebne... Cholerni dziwkarze!
— Masz rację, Mee — powiedział zakłopotany Tuutoomon, odprowadzając zalotników posepnym wzrokiem. — To kretyni — osądził z zimną pogardą. — Imbecyle. Rozmieniają się na drobne, niepomini, że czeka ich niebawem wielka historyczna misja na galaktyczną miarę! Duchowe karły. Bezideowe, dulońskie bydło! Nędznicy! ||- zapalał się coraz bardziej.
—! Uważaj! — próbowałem go uspokoić. — Gniew też kosztuje utratę bio.
Ale on namacał już nerwowo laser przy boku, odbezpieczył go, podniósł i wycelował.
— | Oszalałeś?! Co chcesz zrobić?! — rzuciłem się na niego i wytrąciłem mu broń z łapy ciosem karateki. Oprzytomniał.
— Przepraszam — bąknął. — Twoje cu-cu ma chyba rzeczywiście szkodliwe domieszki. Coś mi się mąci w głowie.
— Co tu się dzieje?! — nagle usłyszeliśmy tubalny, chropowaty głos za nami.

64

r

Odwróciliśmy się i znieruchomieliśmy. Z sali egzaminacyjnej wytoczyła się zwałista postać profesora Aabo Iitede.
— Co to za wrzaski i hałasy?! Nie możemy prowadzić egzaminów!
— Przepraszamy, ekscelencjo, to ta hołota bakalarska — rzekł Tuutoomon gnąc się w postawie służebnej. — Ledwie zafasowali trochę cu-cu, już trwonią je lekkomyślnie na głupie podrywy. Gonia się ze studentkami, ekscelencjo.
Aabo Iitede uśmiechnął się wyrozumiale.
— A co winni robić według ciebie, Tuutoomonie? — wbił w asystenta uważne soczewkowate oczy.
— Kumulować energię, ekscelencjo i ćwiczyć...
— Ćwiczyć?
— Sprawność bojową i dyscyplinę.
— W jakim celu, Tuutoomonie?
— Aby być gotowymi do dziejowej misji galaktycznej.
Jego Wielebność Aabo Iitede rozpromienił się blaskiem wszystkich kryształów swej szaty i poklepał asystenta w ramię.
— Dobrze, Tuutoomonie, ale więcej uwagi, więcej czujności w pracy z młodzieżą. Nasz brat Mee Piituu z pewnością udzieli ci swej pomocy — spojrział na mnie z dziwnym uśmiechem. Odniosłem wrażenie, że wie dobrze, skąd bakalarze czerpali swoje cu-cu.
Gdy wyszedł, Tuutoomon wziął mnie pod rękę i zaproponował spacer po podziemnych kruzgankach uniwersytetu.
— Znakomity start, Mee. Jeszcze raz ci gratuluje! To twój wielki dzień. Sam Jego Wielebność Aabo Iitede zwrócił na ciebie uwagę. To wybitny uczony — mój mistrz duchowy, teoretyk

ocalenia narodowego i działacz Związku Antyludzkiego. Ma dla nas duże znaczenie, Mee, że to on właśnie zasugerował i zarazem zaakceptował naszą bliską współpracę. Mam nadzieję, że puścisz w niepamięć zachowanie tych gnojzków. Gwarantuję ci, że na przyszłość cu-cu, które wypromieniujesz, będzie lepiej wykorzystane. Nie pozwolę tym nicponiom na takie lekkomyślne marnotrawstwo.

W moim mózgu rozległy się dzwonki alarmowe. „Na przyszłość”? „Lepiej wykorzystane”? (bo zapewne w celach antyludzkich). Do licha! Już rozporządzili się moim cu-cu!

— Nie, nie, Tuutoomonie — zaprotestowałem. — Jeśli cię dobrze pojąłem, chcesz mnie zrobić w nowe seanse promieniowania. Nie podoba mi się to!

Tuutoomon spojrział na mnie zdziwiony, a potem skrzywił się.

67

— Wrobić? To nie jest ani właściwe, ani godne ciebie słowo, bracie Mee. Chyba rozumiesz, kim jesteś dla naszych braci. Jesteś dla nich jak Bóg — dawca życia. Kochają cię i wielbią. Miałeś ich u swoich stóp, na klęczkach. Czy nie doznałeś wspaniałego uczucia Osoby Wyższej Użyteczności Publicznej? Dawanie siebie bliźnim — cóż może być piękniejszego?

Przygryzłem wargi. Zrozumiałem, że polemika z nim nie ma sensu. Mój byt tutaj wisi na bardzo cienkim włosku. Nie byłoby, mądre i celowe zaraz na początku popsuć sobie stosunki z kimś takim jak Tuutoomon i jego protektor, Wielebny Aabo Iitede, tudzież zyskać sobie w szerokich kręgach studentów i bakałarzy opinię aspołecznego i nieużytego egoisty. Rzekłem więc robiąc skromną minę:

— To jest pię/kne, bracie Tuutoomonie, lecz, jak sam powiedziałeś, łączy się z uwielbieniem, które jest dla mnie kłopotliwe i krępujące; zabiera równie? dużo czasu, a ja nim nie dysponuję. Pamiętaj, że jestem nowo reduplikowa-ny, moja wiedza jest niepełna i dziurawa, pełno w niej białych plam. Przybyłem tu studiować naukowo trudną problematykę bio, a widzę, że będę jednocześnie musiał się uczyć wielu dziecinnie prostych dla was i pospolitych rzeczy. Nie masz pojęcia, Tuutoomonie, jak trudno jest nam, reduplikowa-nym, zrozumieć, przyswoić sobie i opanować pewne elementy waszej niezwykle rozwiniętej i skomplikowanej cywilizacji! Ile zabiera to czasu! Jak wielkiego wymaga skupienia!

— W istocie — rzekł Tuutoomon. — Rozumiem to doskonale, lecz pragnę cię uspokoić. Nie wymagamy od ciebie żadnych specjalnych poświęceń i bynajmniej nie chodzi o żadne czasochłonne seanse jak dzisiaj! W ogóle nie chodzi o seanse.

— A o co?

«

Tuutoomon wyszczerzył do mnie diamentowe zęby i położył delikatnie rękę na ramieniu, gestem podpatrzonym zapewne u Jego Wielebności Aabo Iitede.

— Chodzi o to po prostu, żebyś z nami był.

— Przecież jestem.

— Chodzi o to, byś zamieszkał z nami — sprecyzował Tuutoomon. Zatkano mnie.

— Konkretnie z bakałarzami trzeciego stopnia wtajemniczenia. Większość z nich to asystenci z pięknymi widokami na przyszłość. Jak widzisz, towarzystwo znakomite, by nie powiedzieć elitarne... Co ty na to?!

— To... to dla mnie zaszczyt, ale... — chrząknąłem zakłopotany.

— To propozycja nie do odrzucenia, bracie Mee! Dysponujemy specjalnym bungalowem w kampusie o komforcie równym bungalowom profesorskim. Nazywa się popularnie Bakalarnią. Wznosi się na trzecim tarasie wzgórza Oote z widokiem na Góry Ametystowe. Ma nowoczesną wielką salę rekreacyjną, wspólne pracownie zaopatrzone w najnowocześniejszy sprzęt hi-te, klimatyzację w zakresie temperatur od dwustu do siedmiuset stopni skali galaktycznej, własny basen, łaźnię i saunę o ciepłocie — co za rozkosz — przeciętnie sześćset — sześćset pięćdziesiąt stopni...

Zachwalał dalej ten cholerny bungalow, a ja przeliczyłem szybko te stopnie na stopnie Celsjusza i wyszło mi, że czekałaby mnie tam kąpiel, a raczej parówka, w temperaturze grubo ponad czterysta stopni w naszej skali! Niech go diabli! Równie dobrze mógłbym się kąpać w roztopionym ołowiu,

nie mówiąc o cynie...

Narastało we mnie przerażenie. Pomijając już tę diabelską kąpiel, od której mógłbym się może jakoś wykpić, napełniała mnie strachem perspektywa życia we wspólnym mieszkaniu z tymi typami... Jak rozbierać się przy nich, zmieniać kostiumy i maski, myć się, czyścić, przebierać?! Nie sposób byłoby ukryć przed nimi mojego ludzkiego ciała. Musieliby się od razu zorientować, że jestem reduplikowanym... człowiekiem. To byłby koniec. Nie mogłem liczyć, że jakiś Eechton okaże mi łaskę, cóż dopiero oni, członkowie Eezalu! Tak, zamieszkanie z nimi nie wchodziło w ogóle w rachubę! Lecz co robić, jak się wybronić? Propozycja była ponoć „nie do odrzucenia”, jak podkreślił Tuutoomon. Poczuję się przyparty do muru; pozostało mi już tylko salwować się ucieczką! Chyba, że Bob coś wymyśli. Muszę się go poradzić. A żeby zyskać na czasie, powiedziałem:

— To honor dla skromnego, świeżo upieczonego bakalarza mieszkać z asystentami, z przyszłą elitą Episteme — rzekłem nie patrząc mu w oczy. — Doceniam waszą przyjacielską i niezmiernie atrakcyjną propozycję,

O której nie śmiałem nawet marzyć, doceniam i przyjmuję z wdzięcznością, jest ona w rzeczy samej nie do odrzucenia i ubolewam tylko, że nie będę mógł się wprowadzić do tego przybytku od razu... To kwestia paru dni zwłoki..

— Nie będziesz mógł od razu? — zdumiał się Tuutoomon. — A to niby dlaczego?

— Czekam na małą kurację w Ośrodku Rehabilitacji, Uzupełnień

1 Naprawy Reduplikatów -- zełgałem.

— Kuracja?!

— Muszę ci wyznać wstydliwą i przykrą dla mnie rzecz — powiedziałem udając zakłopotanie. — Niech to zostanie między nami. Otóż nie jestem

>

68

69

całkiem sprawny, Tuutoomonie. Moja reduplikacja nie powiodła się na sto procent. Mam pewne usterki grożące awarią...

— Awarią? — przestraszył się Tuutoomon.

— Awarią i kalectwem. Sam spostrzegłeś, że moje cu-cu zawiera szkodliwe domieszki. To właśnie skutek tych usterek. Nie chciałem was straszyć, ale w każdej chwili może u mnie nastąpić nie kontrolowane wyładowanie eekubu z groźnym promieniowaniem i skażeniem naturalnego środowiska.

Tuutoomon spojrział na mnie krytycznie i cofnął się odruchowo o trzy kroki.

— I... i tak chodzisz z tym? — wysapał z wyrzutem. — Nic nie mówisz, nie ostrzegasz?!

Mieliśmy już wypadek wybuchu nowo reduplikowane-go studenta. Byli kontuzjowani i ranni. Powinieneś od razu złożyć reklamację.

— Już złożyłem, niestety, czeka się w kolejce na naprawę gwarancyjną.

— To jest doprawdy skandal! — zdenerwował się Tuutoomon. — Co się dzieje w tym kraju!

Stale słyszę o usterkach. Mało która reduplikacja przebiega teraz bez usterek! I jeszcze te kłopoty z reklamacjami! Wszędzie... wszędzie symptomy!

— Symptomy?

— Oznaki, że się staczamy — rozjarzył się cały z gniewu, a wszystkie zdobiące go brylanty zaiskrzyły. — Hańba! Mając taką chlubną tradycję, taką wspaniałą historię, taką pozycję w galaktyce, giniemy...

— Chyba przesadzasz, bracie!

— Och, nie, niestety nie. Nie znasz całej prawdy, Mee. Tylko Eezał może nas ocalić! Tylko on. Lecz kto tam się panoszy? Stetryczali starcy, tchórzliwi kunktatorzy, posiadacze miękkich foteli. Z Jego Magnificencją Wielkim Krokodylem na czele. Przegnać ich ze stolicy! Przegnać z Episteme! Na żer krzemowym sępom! W śniegi Gór Ametystowych! Trzeba nam Eechtonów młodych, nieprzeciętnych, naładowanych eekubu, którzy potrafiliby wlać nowego ducha do naszych urzędów wysokich i niskich, do naszych uniwersytetów, do świątyń i do naszego

zapyziałego związku, obsiadłego przez ramoli. Trzeba nam bojowników, którzy potrafiliby sprostać wyzwaniu, które rzuca nam Ziemia! — zapalał się, coraz bardziej potrząsając kordzikiem z trupa czaszką. — Krótko mówiąc, drogi Mee, potrzeba nam takich chłopców jak ty... — przygasł nagle. — Czy nie masz odrobiny bio? — zapytał niespodziewanie. Oparł głowę o balustradę krużganku. — Co ci jest? — spytałem.

70

— Głupstwo... gdybyś mógł mi... chociaż pół tabletki bio...

— Nie mam, wszystko dałem Uu! Aleś sobie dogodził — patrzyłem na niego ciekawie. —

Uprzedzałem cię... Za bardzo się podnieciłeś!

— Jak mogę się nie podniecać, gdy widzę, jak ten kraj ginie — wykrztusił. Było z nim coraz gorzej, stracił blask, ciemniał w oczach.

— Może... może moje eekubu dobrze ci zrobi, mogę napromieniować cię trochę — zaofiarowałem się wspaniałomyślnie.

— Dziękuję ci, ale jesteś wy... wypromieniowany... ze... swojego eekubu... mało z niego zostało — wymamrotał.

— Ale zawsze coś ci pomoże...

— Nie... nie da rady — szepnął — mam zaczipowane pochłaniacze... Twoje eekubu nie było czyste. Mocne, ale nieczyste, jakieś dziwne nietypowe domieszki. Skąd te dziwne obce domieszki? — utkwiał we mnie martwiejący wzrok. Gdybym go nie podtrzymał, osunąłby się na posadzkę.

Z wielkim trudem zawlokłem go z powrotem do najbliższych kularów uczelni. Na skrzyżowaniu korytarzy poszukałem znaku Saturna zjadającego własny ogon. Dziesięć metrów dalej, w stronie, którą wskazywał znak, znajdowała się wielka wnęka ze specjalną platformą, skąd co jakiś czas zabierano ambulansem zasłabłych studentów i pracowników nauki. Tuutoomon nie mógł już mówić, raz po raz tracił przytomność. Dźwignąłem go na platformę i ułożyłem obok innych ofiar niedostatku bio.

Mój wzrok padł na kordzik, który miał przy boku. Pomyślałem, jak skuteczną bronią osobistą jest laser i że w moim położeniu przydałaby mi się taka broń. Szybko podjąłem decyzję. Oglądając się, czy nikt nie widzi, odpiąłem kordzik Tuutoomonowi i przypiąłem go sobie szybko.

— Co pan tu robi, sir? — usłyszałem płaczliwy głos Boba. — Szukają pana! Obrzędy nominacji już się zaczęły, a pana nie ma! Trwają już śpiewy wstępne w sali promocyjnej...

— Jeden z asystentów zasłabł — wyjaśniłem pokrótce powody mojej obecności przy platformie Saturna i pognaliśmy do Wielkiej Sali Promocyjnej.

Gdy wbiegliśmy, zdenerwowani woźni uniwersyteccy w maskach sępów aara-kuu chwycili mnie równie spieszenie jak bezceremonialnie za ręce i nogi, biegiem przenieśli na zdobiony kryształami dywan pośrodku auli i ułożyli mnie na nim twarzą do podłogi, nakazując pozostać nieruchomo w tej pozycji.

W tej samej chwili kantaty wstępne umilkły, rozległ się natomiast dźwięk kekuforów trąbiastych. Ciekawość zwyciężyła, uniosłem głowę i zobaczyłem, jak wnoszą Wielkiego Krokodyla na skrzącym tronie i osadzają go na ametystowym podium.

71

Rektor Oodos Oomu odziany był w przezroczysty kostium, gęsto zdobiony efektowną biżuterią, lecz w pustych miejscach między kamieniami prześwitywała jego wyłysiała z łusek i pomarszczona jak u starego mamuta-skóra. Kłapnąwszy łaskawie szczęką, dał znak siódmym palcem. Przy powtórnym dźwięku kekuforów dwu bakałarzy w kostiumach przybranych żółtymi topazami chwyciło mnie pod ręce i poprowadziło uroczyście przed tron Jego Magnificencji.

Wszyscy wstali. Kekufory trąbiaste zmieniły tonację. Potężny dźwięk niemal rozsadał aulę, a gdy ściął i zamienił się w akompaniament, bakałarze zaintonowali hymn:

Poznanie to nasz cel! Jak klawo, bracia, być Eechtonem, Krzepić się wiedzą jak winnym gronem. Tę> radość z nami dziel!

Wiedzie nas Wielki Brat. Przyłączcie się do zgodnego chóru! Dzisiaj nasza jest gwiazda Uuru, A jutro cały świat!

Po hymnie bakałarz z kekuforem ręcznym | zaczął śpiewać: „Szczęśliwy jestem, że Bóg stworzył

mnie Echttonem, a nie człowiekiem". Znow wszyscy wstali i podjęli pieśń. Jednocześnie podeszło do mnie dwu bakałarzy w czerwonych kostiumach i stanęło nad moją głową. Kazali mi klęknąć. Bałem się, że w ramach ceremonii zechcą mi zdjąć maskę i założyć inną, to byłby koniec — wyrok śmierci na mnie, ale oni przepasali tylko moje ciało niebieską wstążką ze skromnym owalnym kryształkiem żółtego chryzolitu. Był to, jak sądzę, akt pasowania na bakałarza pierwszego stopnia wtajemniczenia i naznaczenia mnie znamieniem zaszerogowania, chroniącym między innymi przed inwigilacją pulsatorów.

Mimo to nie odetchnąłem bynajmniej z ulgą, gdyż zdawałem sobie sprawę, że znajduję się wciąż w stanie zagrożenia. Niebezpieczna oferta Tuutoomona nie dawała mi spokoju, a także... a także dziwny uśmiech profesora Aabo Iitede. Toteż natychmiast po zakończeniu uroczystości wciągnąłem Boba do jednej z pustych o tej porze sal studyjnych i zapytałem go, co sądzi o propozycji, bym zamieszkał w Bakałarni.

Już na sam dźwięk tego słowa Bob zajaśniał z uciechy od stóp do głowy.

72

— Trudno o lepszą wiadomość — oznajmił i wyliczył wszystkie zalety tego elitarnego, jak się wyraził, bungalowu.

— Są tam nawet osobne pokoje służbowe dla robotów osobistych -T dodał zachwycony. — I specjalna mesa, gdzie roboty mogą dokonywać zabiegów konserwacyjnych, i magazynek części zamiennych. Czy mogę wiedzieć, od kogo wyszło to cenne zaproszenie?

— Od asystenta profesora Aabo Iitede — odparłem bez komentarza, ciekaw reakcji Boba.

— Od pana Tuutoomona Eebuduu?! — Bob ponownie zajaśniał z zadowolenia. — Doprawdy jestem dumny i szczęśliwy, że los mi przydzielił tak udanego pana, sir!

— Czyżby?

Bob nie zauważył mojego sarkazmu.

— Pan Tuutoomon Eebuduu jest rodzonym bratankiem dwu Mniejszych Braci Wielkiego Brata i ma dojścia do najwyższych sfer, także w Świątyni Episteme. Panuje powszechnie opinia, sir, że to najbardziej obiecujący aktywista młodzieży, przewidziany w niedalekiej przyszłości na prezesa Związku Antyludzkiego. To bardzo wpływowe stowarzyszenie. W miarę wyczerpywania się zasobów bio na naszej planecie program Eezalu zyskuje coraz większe poparcie. Sądzi się, że Eezal przejmie wkrótce władzę. Nie ulega wątpliwości, że bliska znajomość z panem Tuutoomonem otworzy panu drogę do kariery, sir. A propos, czy to nie jego odprowadził pan przed godziną na platformę osłabionych? — zapytał, a gdy przytaknąłem, poróżwiał z radości. — Zatem w dodatku zaciągnął u pana dług wdzięczności! Możemy sobie pogratulować, sir! Jak dotąd wszystko idzie zgodnie z planem.

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

— Bob, czy ty przypadkiem nie maczałeś w tym palców? Bob odchrząknął.

— W rzeczy samej... Nie będę ukrywał... Zwróciłem uwagę Tuutoomona na pana walory; powiedziałem, że mógłby pan odegrać znaczną rolę w Związku Antyludzkim ze względu na swoje zdolności.

— 'Oszalałeś?!

— Czy źle zrobiłem? — Bob to zielenił się, to różwiał na przemian. — Bakalamia to naprawdę bardzo wygodny bungalow, jest tam wyjątkowo ciepła łaźnia, sir.

Dosłownie ręce mi opadły. Jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a mój robot najwyraźniej ma awarię.

— Bob, czy ty nie rozumiesz...

73

Stał jak głupi bałwan i obracał oczami. Nic nie rozumiał.

— Przecież wiesz, u kogo służysz, mówiłem ci, a ty nie potrafisz wyciągnąć z tego prostych wniosków?

Obserwowałem go bacznie. Na pewno coś z nim było nie tak. Albo mu wysiadł jakiś podzespół, albo udaje tylko głupka i próbuje mnie wmanewrować w sytuację bez wyjścia. Czyżby jednak był zdalnie kierowany? Rzecz należało wyjaśnić.

— Niestety, Bob — powiedziałem — muszę cię rozczarować. Nie zamieszkamy w Bakalarni.

— Jak to? — w jego głosie zadźwięczał żal dziecka, któremu odmówiono uciechy. — Ja pana nie rozumiem.

— Skoro tak, to musisz iść do remontu i przypomnieć sobie, kim jest twój pan!

— Ja się zielenię ze wstydu, ale ja zapomniałem. Rzeczywiście zrobił się szmaragdowy i migotał z zakłopotania.

— Pan poczeka chwileczkę — wybelkotał — ja się spróbuję skoncentrować.

Myślał, przez chwilę intensywnie, a potem wykrzyknął uradowany:

— Pan jest człowiekiem! Jednak sobie przypominałem!

— Cicho, durniu! — zgromiłem go, przestraszony rozglądając się, czy ktoś nie usłyszał.

— Pan jest człowiekiem — powtórzył szeptem. — Wiem, że nie wolno tego mówić głośno.

— Jeśli to sobie przypominałeś, to powinienes także zrozumieć, czemu nie mogę zamieszkać z panem Tuutoomonem w Bakalarni. I czemu nie mogę się kąpać w waszej piekielnej łaźni! A na marginesie, twoje zachwyty nad tym typem ze Związku Antyludzkiego mnie mierzą, daruj więc sobie na przyszłość.

— W rzeczy samej, fatalnie wypadło — jęknął Bob. — Jestem zrozpaczony, sir! Zielenię się po uszy! Najmocniej przepraszam, a najbardziej przykro mi, że pan już nie jest mnie pewny. Straciłem pana zaufanie. Co wart robot bez zaufania? Tak się wstydzę! Sam nie wiem, co się ze mną dzieje... Pan wybaczy na chwilę, ale muszę się sprawdzić — to mówiąc zaczął się gwałtownie prześwietlać; raz po raz w różnych miejscach jego korpusu i głowy rozbłyśkiwały kolorowe punkciki. Widać było, że nerwowo kontroluje sobie podzespoły i mikroprocesory. Nieprzyjemne zapachy i uciążliwe bzyczenie wypełniały powietrze.

— Przestań, Bob — zniecierpliwilem się — potem się sprawdzisz!

74

Przygnębiony pogasił światelka.

— Nie rozumiem — biadolił — niby wszystko w porządku, a moja pamięć przepuszcza... ważne fakty. Przystaję poprawnie kojarzyć! Tracę inteligencję! Czemu? Z pewnością wyszła jakaś ukryta wada, sir. Jestem skończony, jestem brak, knot, niedoróbek, szmelc! Pan. miał nieszczęście trafić na bubel fabryczny — lamentował. — Co za wstyd!

Naprawdę miałem go dosyć. Byłem cały w nerwach, groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo, a ten mi" się rozklejał!

— Przestań się mazać i weź się w garść. Chyba mimo tych... hm... mankamentów nie straciłeś do reszty rozumu.

— Chcę wierzyć, że nie, sir.

— Więc do roboty, Bob! Poradź mi, jak wybrnąć z tego mieszkaniowego kłopotu. Naprawdę jestem w kropce!

Bob przestał się użalać nad sobą i myślał przez chwilę. Potem rzekł, iż powinienem napisać prośbę do Wielebnego Intendenta Campusu o przydział tak zwanej kwatery odosobnienia i poradził mi, jak uzasadnić ten wniosek. Nie mając żadnego wyboru, zaakceptowałem sugestię Boba bez dyskusji. Siedliśmy więc razem i szybko wysmażyliśmy sążniste podanie, że pragnę przez sześćdziesiąt dni mieszkać samotnie z uwagi na tak zwane stany poreduplikacyjne. Napisaliśmy też, że mam kłopoty z adaptacją do środowiska, że jestem agresywny, że muszę w spokoju wypromieniować szkodliwe produkty uboczne duplikacji, że chcę okrzepnąć wewnętrznie, ideowo, antyludzko i parę innych podobnych bredni.

Wynik naszych starań miał być znany jeszcze tego samego dnia pod wieczór, gdyż podania do intendenta rozpatrują podobno komputery. Dawało to nam szansę, że w razie niepomyślnej decyzji będzie jeszcze czas prysnąć, zanim przydzielą nas do jakiejś kwatery.

O siódmej przybył Bob z wieścią, że nasze podanie odrzucono. W uzasadnieniu napisano, że moje stany poreduplikacyjne muszą ustąpić na drugi plan wobec deficytu bio w społeczności uniwersyteckiej. W tej sytuacji ważne jest, bym, nie zważając na szkodliwe produkty uboczne, zabrał się z miejsca do promieniowania moim eekubu na otoczenie, a zwłaszcza na

współmieszkańców bungalowu na kampusie. Miałem tylko czekać w kuluarze egzaminacyjnym na decyzję, czy zamieszkać w Bakalarni, czy też w innym wspólnym lokalu.

Wydawało się, że sprawa jest przesądzona. Ó wykonaniu mojej dziejowej misji na Uurze nie ma mowy. Trzeba już tylko ratować własną skórę. Obmyśliliśmy plan ucieczki. Głównym problemem był odpowiedni środek

75

lokomocji. Szczęściem, pamięć Boba nie zdradzała dalszych defektów. Z zakodowanych W niej informacji dotyczących kampusu jedna okazała się niezmiernie przydatna. Otóż na drugim tarasie znajdował się garaż rektora Oodosa Oomu z osobistą, dwuosobową kieszonkową hemisferą, w której Jego Magnificencja latał na codzienne spacerunki oraz na weekendy do ulubionej doliny Telle. Postanowiliśmy zawładnąć tym pojazdem. Podczas, gdy ja będę czekać w kuluarze egzaminacyjnym na decyzję kwaterunkową, Bob włamie się do garażu rektora, posługując się zagrabionym przeze mnie laserem, sprowadzi hemisferę na najniższy taras i ukryje w zaroślach melanosów jedwabistych jak najbliżej bramy uczelni. Po czym, gdy wszystko będzie gotowe, zabierze mnie z kuluaru. Z przydziałem bungalowu w ręce mieliśmy legalnie przejść przez wrota campusa, lecz zamiast do kwatery — skierować się do ukrytej w krzakach hemisfery i odlecieć w siną dal. Kierunek Góry Ametystowe.

Gdy ostatnie czerwone łuny zachodzącej Gwiazdy Barnarda znikły na ściennym ekranie kuluaru, wyekspediowałem Boba z podziemi gmachu pod pretekstem, że udaje się do stacji diagnostycznej dla robotów w celu przeczyszczenia źle pracującej pamięci, sam zaś czekałem cierpliwie skracając sobie czas oglądaniem wspaniałych widoków rozgwieżdżonego uurskiego nieba..

Nagle stała się rzecz niespodziewana. Z tej kontemplacji kosmosu wyrwał mnie donośny ryk kekuforów trąbiastych. Zerwałem się na nogi. Wszyscy zdążyli do auli. Pobiegnę i ja.

•

Profesor Aabo litede stał na podwyższeniu połyskując majestatycznie. Otaczali go asystenci i pedle. Gdy sala zapełniła się, dał znak pedlom i klasnął w ręce. Patrzyłem oniemiały.

Do auli wbiegła... rozradowana Uu w lśniącej srebrnymi łuskami sukni (?!). Kiedy zdążyła się przebrać?! Lecz jeszcze bardziej zdumiało mnie to, że wbiegła z kekuforem i trąbiła! Za nią podążał rozbawiony tłum studentów i bakałarzy.

— Eendorro! Eendorro! -- wołali.

Uu oddała kekufor woźnemu, zajaśniała wszystkimi łuskami, zalśniła kryształami i zaczęła przede mną wykonywać nader skomplikowany, zapewne rytualny, taniec składający się z wielu figur.

Czyżby tak wyrażała swoją wdzięczność i radość z powodu zdanego egzaminu?

Żywy aplauz zebranych świadczył, że ten choreograficzny popis udał się jej znakomicie, ale zdziwiło mnie, że ja także jestem przedmiotem życzliwego zainteresowania całego gremium, mimo że nie trąbiłem ani nie tańczyłem.

76

Zewsząd rozlegały się przychylne syki, pomrukiwania i chrzęsty pod moim adresem. Studenci w jaszczurowatych kostiumach otoczyli- mnie zwartym kręgiem i choć zgodnie z eechońskim zwyczajem odwracali ode mnie maski, to jednak połyskiwali przyjaźnie, oraz, co już było zupełnym zaskoczeniem, rzucali we mnie garściami kolorowych kamyków — bagatela — to chyba były autentyczne rubiny, szafiry i brylanty... Parę złapałem w ręce.

Znów rozległy się okrzyki: Eendorro! Eendorro!, tym razem skierowane do mnie. — Ciesz się, ciesz się! — wołano. Potem podano mi kekufor trąbiasty, abym wyraził swoją radość, ale odmówiłem, bo był zbyt gorący i bałem się, że poparzę sobie usta. Zgodziłem się natomiast wykonać taniec eendorro, a ściślej, parę jego łatwiejszych figur, co wzbudziło zarówno nowy aplauz, jak ogólną wesołość. Zapewne płąsałem jak niedźwiedź smorgoński.

Bałem się, by rozbawiona gawieź nie prosiła mnie o bis, ale taktownie wmieszał się Wielebny Aabo litede, podziękował mi za występ, po czym skinął na herolda w masce psa.

Przy dźwiękach kekuforów obwieścił on o zajęciu przez Uu pierwszego miejsca w kategorii reduplikowanych dziewcząt. Szmer podziwu i zazdrości przetoczył się przez salę, gdy wniesiono nagrodę — kryształowy flakon. Podobno w jego wnętrzu znajdowało się dziewięć tabletek bio (!).

Następnie włożono na głowę Uu wieniec z eeberonów płaskich, jeszcze świecących się różową świeżą rosą. Uroczystość dobiegała końca. Aabo litede rozdając życzliwe uśmiechy wytoczył się z auli. Za nim w szczelnej asyście fagasów i pedli wyprowadzono szybko Uu. Zdążyła mi tylko przesłać wytworny ukłon i pożegnalny „ludzki” uśmiech, co zresztą przyjąłem z ulgą, albowiem od momentu, gdy zaproponowała mi zdjęcie masek, bałem się zazyłości i wszelkich z nią bliższych kontaktów.

Zrobiło się dość późno, kończono już wydawać certyfikaty kwaterunkowe i klucze, a Boba ani śladu. Zniecierpliwiony wyszedłem do kularów. Może go przechwycono? Postanowiłem zasięgnąć dyskretnie języka w portierni, czy na kampusie nie wydarzyło się nic złego w ostatnich godzinach, lecz przy windzie dopadło mnie i wylegitymowało dwu pedli ze służby bezpieczeństwa. Moje zachowanie wydało im się podejrzane, pytali, co robię o tak późnej porze w odległych kularach. Wyjaśniłem, że czekam na przydział bungalowu, lecz wyszedłem na chwilę poszukać mojego osobistego robota, który gdzieś się zawieruszył.

— Roboty nigdy nie wychodzą same bez rozkazu właściciela zauważyli sceptycznie. — A wysłane — bezbłędnie wracają.

— Mój ma zaburzenia pamięci — powiedziałem, lecz nie rozwiązałem ich

77

podejrzeń; udali się ze mną do poczekalni gabinetu intendenta i sprawdzili, czy jestem na liście. Gdy przekonali się, że istotnie tam figuruję, przestali się mnie czepiać, ale wciąż nie spuszczała oka.

Po chwili roboty-urzędnicy wprowadzili mnie przed oblicze intendenta. Był to smutny typ o wyglądzie osowiałego, podłyśiałego puchacza, w wypłowiałym kostiumie, z wytartymi łuskami i paroma półszlachetnymi kamieniami na piersi, które dawno straciły blask.

Mimo tak nędznej prezencji wygłosił do mnie kwieciste i dęte przemówienie o zaszczycie, jaki mnie spotyka. Nie zdziwiło mnie to zresztą — było całkiem w duchu Uuru. Już przedtem zauważyłem, że Eechtónowie uwielbiają deklamować i z każdego głupiego zdarzenia lubią robić uroczystość.

— Więc to pan — zaskrzeczał na koniec już zgoła nieoficjalnym tonem, odchylając się do tyłu w fotelu i lustrując mnie ciekawym wzrokiem. — No, no — pokręcił głową.

— A bo co? — zmieszałem się.

— Nic, brawo, chłopcze — rzekł niby to z podziwem, kłapiąc czymś w rodzaju dzioba. Odniosłem przykre wrażenie, że ten puchacz wyczuł we mnie oszusta.

Postanowiłem się mieć na baczności.

— Oto pański klucz i certyfikat — mruknął, wręczając mi zamkniętą kopertę.

Otworzyłem ją zaraz za drzwiami i zdębiałem. Zamiast czarnego klucza, jaki dostawali bakałarze różnych stopni, a nawet asystenci, w mojej kopercie znajdował się płaski złocisty kluczyk z rubinem w uchwycie, a zamiast zwykłego zaświadczenia o prawie do zamieszkiwania w kampusie i numeru bungalowu, otrzymałem ozdobny certyfikat na różowym papierze, z winiętą przedstawiającą dwie gęsi łąkawe złączone dziobami, można by rzec — całujące się gęsi.

Nie podobało mi się to wszystko. Ktoś stroi ze mnie żarty! Więc gdzie w końcu kazali mi zamieszkać? Z certyfikatu niewiele zrozumiałem z powodu braku Boba. Były tam wymienione jakieś litery i cyfry, lecz co oznaczały — nie wiedziałem. Mówiłem sobie w duchu, co mnie to właściwie obchodzi i tak tam nie stanie moja noga, lada moment zjawi się Bob i pożegnamy, oby na zawsze, Episteme. Lecz w końcu ciekawość wzięła górę; zaprezentowałem certyfikat jednemu z tych czarnych pedli, którzy mnie pilnowali.

78

— Czy zechce mi pan objaśnić, bo ja mam słabe oczy, czy dostałem miejsce w Bakalarni, czy też w innym wieloosobowym bungalowie. I dlaczego taki kluczyk? — pokazałem.

— Nie dostał pan miejsca w Bakalarni ani w żadnym wieloosobowym bungalowie. Dostał pan przydział do dwuosobowego domku w sektorze C. Z widokiem na Góry Ametystowe — rzekł patrząc na mnie z niejakim uznaniem. — Tam dają takie kluczyki — mrugnął okiem.

Dwuosobowy domek?! Ogarnęły mnie złe przecucia. Chciałem zażądać od pedla dalszych

wyjaśnień, lecz w tym momencie w głębi kuluaru ukazały się żółte pulsujące światełka ostrzegawcze, to nadjeżdżał rozpędzony Bob. Zahamował z piskiem tuż przede mną. Odciągnąłem go w odległy zakamarek kuluaru.

- Co z hemisferą? — zapytałem nerwowo ściszone głosem. — Nie udało się?
- Owszem — odparł. — Czekają na pana w umówionym miejscu, ale nie musimy już uciekać.
- Nie musimy?! Co ty mi tu wygadujesz?!
- To już chyba nieaktualne... Przecież sytuacja uległa zmianie.
- Jakiej zmiany, u licha?!
- Mój pan jest naprawdę szczęśliwym człowiekiem. A lucky man\ Gratuluję panu, sir.
- Czego?

W odpowiedzi Bob wykonał przede mną coś w rodzaju tańca rytualnego eendorro z trzema figurami w robotowej wersji.

- I ty także?! — jęknąłem. — Nie wygłupiaj się, co was napadło dzisiaj z tymi wygłupami?
- To nie jest wygłup, sir. Jest to taniec obrzędowy wykonywany z okazji zaręczyn.
- Zaręczyłeś się, Bob? — zakpiłem.
- To pan się zaręczył, sir.
- Ja?!
- Z panną Uu! Zatkąło mnie.
- Zwariowałeś?! Zamieniłem z nią zaledwie parę słów.
- Ale jak?
- Nie bądź śmieszny! Jak to jak?
- Uprzedzałem pana, jakie są obyczaje w Eechtonii. Przepisy etykiety są tu bardzo surowe. Tymczasem pan, gdy tylko zobaczył pannę Uu...

79

- Ależ, Bob... Nie będziesz mi chyba wmawiał...
- Przepraszam, sir. Zachowanie pana było jednoznaczne. Wszyscy są pod wrażeniem pańskiego śmiałego i konsekwentnego działania. Gdy tylko zobaczył pan pannę Uu, przysiadł się do niej bez zachowania dystansu i wymaganych figur prezentacji, mimo że nie była panu znana, nie odwrócił pan twarzy podczas rozmowy, przeciwnie, wlepił pan w pannę Uu oczy. Była nawet mowa o wzajemnym zdjęciu masek! Są na to liczni świadkowie. Mało tego, nie będąc zmuszony, dał pan pannie Uu swoją podwójną porcję bio. Też są na to świadkowie. Etykieta wyraźnie kwalifikuje takie czyny i zachowania. Pan naruszył osobistą iidiostręfę panny Uu. Pan ją będzie musiał poślubić. Dla panny Uu i dla całego uniwersytetu sprawa jest oczywista. Panna Uu jest osobą równie roztropną, jak energiczną. Jak słyszałem, już zadbała, by rzecz załatwić formalnie...
- O Boże! — jęknąłem.
- Pan nie jest zadowolony? — W głosie Boba zabrzmiało niepomierne zdziwienie. — Przecież wszystko świadczyło, że zakochał się pan w pannie Uu z miejsca, od pierwszego wejrzenia!
- Bob, przestań...
- Zakochał się pan, każdy to potwierdzi. I miał pan rację, sir. Trudno o lepszy wybór. Nie będzie pan żałował! Panna Uu jest nie tylko powabna, zgrabna i piękna, nie tylko mądra, inteligentna, o szerokich poglądach galaktycznych, o niezależnym umyśle. Panna Uu ma charakter!
- O, tak — zgodziłem się.
- A więc?
- „Zawisł na moich wargach" — jak często piszą w książkach. Widać było, że całą swoją duszą robota jest za moim związkim z małą Uu. Nawiedziły mnie po raz n-ty podejrzenia.
- Słuchaj, Bob, czy ty przypadkiem nie pomogłeś czynnie mojemu szczęściu?
- Ja?! Cóż znowu! — zaprzeczył. — To pan sam... A propos — zapytał ciekawie — co z przydziałem?
- Z przydziałem?
- No przecież po to panna Uu tak się pośpieszyła z rejestracją i po to wykonała, biedactwo, trudny taniec eendorro składający się z dwunastu figur, żeby dostać przydział...
- Ach, chodzi ci o mieszkanie?

— Tak jest, sir. Czy wręczono panu odpowiedni klucz i certyfikat?

80

— Owszem — wysapałem z dławioną pasją — na dwuosobowy domek z widokiem na góry.

— Jest pan naprawdę szczęściarzem, sir. Korzysta pan z wyjątkowych przywilejów. Mieszkać w sektorze C — rozpromienił się Bob. — To sektor dla wybranych! Ale pan nra. wszelkie podstawy. Pan ma eekubu. Władze pomagają takim jak pan założyć rodzinę. To niezmiernie rzadki i radosny przypadek na Ururze — miłość i zaręczyny. Wobec braku bio mało kto ma chęć, a jeśli nawet ma chęć, to nie ma możliwości bawić się w te rzeczy. Stwierdzono, że u Eechtonow każde żywsze uczucie zwiększa zapotrzebowanie organizmu na bio od stu do trzystu procent. Mało kto może sobie pozwolić nawet na zwykłą sympatię, nie mówiąc już o przyjaźni. Miłość w tutejszych warunkach to luksus, to towar deficytowy, sir. Stąd ostatnio Eechtonowie rozmnażają się już tylko wyłącznie przez reduplikacje, co ma jedną zasadniczą wadę: nie powstają nowe typy, nie rodzą się nowe talenty, nowe osobowości, nie powstają ciekawsze konfiguracje genów lub choćby tylko inne. To wszystko grozi zastoje, entropią, śmiercią. Nie mówiąc już, że robi się po prostu nudno, sir. I dlatego nauka szuka niecierpliwie rozwiązań tego problemu. Sam Jego Magnificencja Oodos Oomu od lat ślęczy nad tym. Wszyscy czekają, że wkrótce opublikuje wyniki swoich badań i przedstawi Wielki Plan Ocalenia Publicznego.

— I stąd takie jego zainteresowanie Ziemią? — zapytałem. — Czy to wszystko nie łączy się z wizytami Thety na Ziemi i osiedlaniem tam reduplikowanych agentów?

Bob umilkł.

— Bob, zadałem ci pytanie! — przypomniałem ostro.

— Przepraszam, sir, poniosło mnie niepotrzebnie. W ogóle nie powinienem poruszać tej kwestii.

— Śliski temat nawet dla robotów, co, Bob?

— Przepraszam, sir, ale odpowiedź na pańskie ostatnie pytanie leży poza granicami moich kompetencji; tak zostałem zaprogramowany. Nic na to nie poradzę, sir.

•

A więc tabu — pomyślałem. — I dlaczego taka tajemnica? Dlatego, że moje podejrzenia są słuszne — odpowiedziałem sobie w duchu — a w każdym razie idą we właściwym kierunku.

Hemisfera była ukryta w mieszkalnej części kampusu, w tak zwanym Ogrodzie, dokładnie w sektorze A, na dolnym silnie zadrzewionym tarasie i tam należało się przedostać.

Z certyfikatem w ręku, jak z giejtem, bez trudu przekroczyliśmy liczne

81

bramy i posterunki kontrolne. Bałem się, że będziemy bez przerwy śledzeni.' co może utrudnić załadowanie do hemisfery, ale dwu smutnych pedli — nasze czarne anioły stróże — odprowadziło nas tylko do wrót Ogrodu. Tu widocznie kończyły się już ich obowiązki. I tu dopiero zaczęły się nasze prawdziwe kłopoty.

Stróż Ogrodu w masce śmiejącego się krokodyla był uzbrojony w laser w kształcie długopisu, który nosił wpięty w łuski szyjne. Długo i szczegółowo sprawdzał mój certyfikat oglądając go pod światło i próbując zębami, a gdy chciałem go popędzić, powiedział:

— Zechce pan zrozumieć i wybaczyć, panie bakałarzu, naszą drobiazgo-wość, lecz otrzymaliśmy rozkaz, by wszystko kontrolować dokładnie. Takie są przepisy stanu oblężenia...

— Stanu oblężenia? — zdębiałem.

— Wprowadzono go przed godziną w kampusie.

— Rozruchy studentów? — zaniepokoiłem się.

— Gorzej. Byłoby to ciekawe urozmaicenie naszego sennego życia tutaj, lecz z braku bio wybryki studentów nie zdarzają się już od dziesiątków lat.

— Cóż więc się stało?

— Znow strajk dulonów, panie bakałarzu. Nie byłoby w tym nic specjalnie niepokojącego; strajki dulonów powtarzają się ciągle, aż do znudzenia, lecz tym razem doszło do ostrego starcia. Około trzystu dulonów włamało się do składów bio i ze znacznym zapasem preparatu zbiegło. Istnieje obawa, że ukryli się w zaroślach melanosów na dolnych tarasach naszego kampusu. Czarna policja przeszukuje teren. Mam obowiązek ostrzec pana, że ukrywający się duloni są

niebezpieczni i gotowi na wszystko, a za udzielenie im pomocy grozi kara udulenia. Proszę natychmiast udać się do swojego bungalowu i nie wychodzić aż do odwołania akcji. Radzę korzystać wyłącznie ze ścieżki awaryjnej i nie zbaczać.

Zobaczywszy zaś, że mam przy pasie laser, dodał nie bez złośliwej, jak mi się wydało, satysfakcji:
— Proszę zdjąć. Tę zabawkę weźmiemy do depozytu.

Gdy próbowałem protestować, skwitował to wzruszeniem ramion,

— Przykro mi, ale takie są przepisy stanu oblężenia — i zakończył dyskusję.

Rzuciłem pod jego adresem wiązkę eechońskich przekleństw. Nie było to zbyt rozsądne i mogło pociągnąć przykre konsekwencje dla mnie, ale[^] obraźliwe inwektywy zagłuszył przejmujący klangor sępów krzemowych,

których chmura znów zawisła nad miastem. Nocne niebo raz po raz rozświetlały błyski laserów służb obronnych usiłujących przepłoszyć ptaki.

Bob wciąż majaczył o domku na kampusie. Snuł plany, jak zagospodarujemy wnętrze, roztaczał sentymentalne wizje słodkiej Uu, która czeka na progu.

Na początku ścieżki awaryjnej zatrzymałem się. Podjąłem ostateczną decyzję.

— Do sektora C tędy, sir — wskazał Bob. — Na co pan czeka? Idziemy!

— Przykro mi, Bob — powiedziałem. — Wiem, że chcesz mnie umieścić przy słodkiej Uu, ale nic z tego. Maszerujemy w drugą stronę!

— Nie do domku? — jęknął płacząco Bob. -

— Niestety. Do hemisfery.

— Czy to konieczne, sir?

— Tak, Bob.

— Ale czemu? To fatalna decyzja, to marsz do śmierci, sir.

— Rozważyłem rzecz na zimno, Bob. Mimo wszystko to mniej niebezpieczne. Ale ty, widzę, nie rozumiesz, znów jakaś luka w pamięci.

— Rozumiem jedno, sir. Pan się pakuje w nieszczęście. W kampusie jest stan oblężenia. Sytuacja uległa naglej zmianie. Cały teren przeszukują czarni agenci. Ta część Ogrodu, gdzie spoczywa hemisfera, na pewno jest już odcięta kordonem...

— Nie odnajdą jej tak łatwo. Jeśli się pośpieszymy, zdążymy przed agentami. Mam nadzieję, że ją dobrze ukryłeś?

— Tak jest, sir... w jamie, pod daurusami smoczymi. Cała przykryta listowiem, nic nie widać...

— Mamy więc szansę, Bob! Tylko szybko!

Biegiem rzuciliśmy się w kierunku dolnego tarasu i majaczących w pddali zarośli. Już na schodach na dolny taras usłyszeliśmy urywane piskliwe dźwięki. Nie podobało mi się to wcale. Tyraliera agentów czarnej policji posuwała się w stronę zarośli, jakby naprowadzana tym właśnie sygnałem.

— Co to ma znaczyć, Bob? — syknąłem.

Bob zatrzymał się zaskoczony, a potem zatrzęsł się nerwowo i pozieleniał.

— To?... to?... — bełkotał kompletnie ogłupiały.

— Gadaj, gnojku, czy to hemisfera?... — złapałem go za sterczące uszy i zacząłem szarpać w pasji.

— Tak — wykrztusił. — Sorry, sir.

— Nie wyłączyłeś urządzeń alarmowych!

82

83

— Nic nie piszczalo wtedy.

— Co miało piszczeć, kretynie?! Te piski są z odbiorników policyjnych, które odbierają radiowe sygnały z nadajników alarmowych hemisfery! Nie wiedziałeś o nich ty, nieuku?!

— Wiedziałem.

— Tylko zapomniałeś wyłączyć, łotrze...

— Naprawdę bardzo mi przykro, sir!

Odepchnąłem go wściekły i rzuciłem się rozpaczliwie w kierunku melanosów. Jeszcze miałem cień nadziei, że zdążę przed tyralierą. Oni szli mechanicznie zwykłym krokiem, ja biegłem i od tej

strony było bliżej. Kryjąc się i skacząc od krzaka do krzaka byłem już całkiem blisko, gdy nagle tuż przede mną poderwał się z trawy żerujący sęp krzemowy i zaatakował mnie gwałtownie. Gdyby nie maska rozorałby mi dziobem i szponami twarz za pierwszym atakiem: za następnym nie miałbym już żadnych szans, gdyż wiedziałem, że wtedy celuje dziobem prosto w oczy... Lecz następnego ataku nie było. Zobaczyłem oślepiający błysk, a potem głucho uderzenie o grunt. Sęp\ aara-kuu runął ciężko, rażony wiązką promieni z lasera.

Agenci czarnej policji wciąż dziesiątkując nadlatujące nad campus ptaszyska podbiegli do mnie, lecz przekonawszy się, że poza szramami na masce nie odniosłem żadnych obrażeń, zostawili mnie, a sami poszli dalej.

W chwilę później usłyszałem ich triumfalne okrzyki. Wyciągnęli zza zarośli daurusów smoczych ukryty rektorski pojazd. Zapalono wszystkie reflektory. W ich świetle hemisfera rozżłociła się i rozbłysła tysiącami 'kryształów, zamieniła się w cudowną czarodziejską lektykę z chińskiej bajki. Patrzyłem na nią z zachwytem i z rozpaczą. Mogła być moja, lecz nie będzie... To już koniec...

Wraz z nią znika moja ostatnia szansa.

Zauważyłem nowe poruszenie wśród agentów. W ciemnoszafirowym kostiumie wieczornym, w asyście swoich pedli, zjawił się Jego Magnificencja Oodos Oomu i odebrał raport od komisarza kierującego akcją. Bałem się, że kradzież hemisfery gotowi są powiązać z moją obecnością, lecz komisarz przypisał to przestępstwo dulonom. Przy sposobności dał wyraz swej pogardzie dla ich głupoty. Tyle włożyli wysiłku, by uprowadzić hemisferę, lecz nie odlecieli nią... zapewne nie potrafili uruchomić.

Oodos Oomu zauważył w tym miejscu, iż duloni mogli po prostu zasłabnąć z braku bio i nie starczyło im sił. Świadczy o tym również fakt, że nie wyłączyli mikroładajników alarmowych.

Wszystko z osłabienia.

84

— Gdzież w takim razie ich ciała? — spytał komisarz. -- Jeśli zasłabli przy hemisferze lub w niej, powinny być ich ciała.

— Ich ciała uniosły sępy — orzekł z naukową pewnością Oodos Oomu. Brak bio u początku wszystkiego — dodał swą ulubioną maksymę, po czym wszedł do hemisfery i odleciał do pobliskiej rezydencji, co było pewnym aktem odwagi, zważywszy na krążące aara-kuu.

Komisarz, sfrustrowany rozmową z rektorem, dał upust swej irytacji pokrzykując na agentów.

Zląkłem się, że może przyczepić się także do mnie i postanowiłem dać nogę, ale było już za późno. Jego wzrok spoczął na mnie. Był to niewątpliwie fachowiec o wyczulonym węchu śledczym. Moja obecność w tym miejscu wydała mu się podejrzana, tym bardziej że nie mogłem okazać certyfikatu, jako że został on u stróża Ogrodu. Zatrzymano mnie więc, jak oświadczone, do wyjaśnienia i wsadzono do pojazdu operacyjnego wypełnionego dwiema warstwami ułożonych jeden na drugim dułonów. Agenci próbowali mnie położyć na nich i rozpocząć ode mnie trzecią warstwę, lecz stawiałem czynny i dość skuteczny opór zmobilizowawszy całe moje ludzkie eekubu. To zastanowiło nieco agentów. A ja, korzystając z ich chwilowej konsternacji, okazałem im mój znak zaszeregowania eechońskiego, poszarpany i pobrudzony przez sępa, lecz jeszcze wystarczająco czytelny. Widząc, że mają do czynienia z dyplomowanym bakałarzem i wyczuwając zapewne, że promieniuję w nader niepospolitym natężeniu, przeprosili mnie za pomyłkę i posadzili na wolnym miejscu w kabinie radiooperatora.

Siedzieli tu czarni funkcjonariusze i prowadzili nasłuch radiowy. Kabinę wypełniały szmery i szepty przejmowanych meldunków, donosów, zleceń i komunikatów. Niektóre, uznane widać za ciekawsze czy ważniejsze, były nagłaśniane i nagrywane. W pewnej chwili usłyszałem:

„Panna Uukee Boo, studentka uniwersytetu Episteme, poszukuje pana Ooromee Piituu, bakałarza tegoż uniwersytetu, który zaginął bez wieści dziś wieczorem na terenie kampusu. Towarzyszył mu robot osobisty o imieniu Bob. Panna Uukee Boo obawia się, że pan Piituu, jako osobnik świeżo reduplikowany, niedoświadczony i nieobyty z realiami Uuru, mógł paść ofiarą zbiegłych dulonów lub stać się łatwym łupem sępów aara-kuu. Informacje prosimy kierować, a odnalezonego bakałarza przyprowadzić pod adres: Uukee Boo, sektor C, campus, pawilon specjalny. Nagroda - jedna tabletką bio”.

Przekazano komunikat komisarzowi, który zjawił się natychmiast i, przesłuchawszy mnie ponownie, orzekł, że to ja jestem prawdopodobnie tą

85

poszukiwaną osobą, odstawi mnie więc do panny Uukee Boo w celu konfrontacji.

Zaproponowałem, że sam się odstawię i nie ma potrzeby go fatygować, lecz on oświadczył:

— Jest pan przez pannę Uukee Boo poszukiwany, lecz jest pan także

przeze mnie podejrzewany. Nie może więc pan być zwolniony, ale pod eskortą odwieziony.

— Jestem niewinny.

— Potrzebuję poręczenia. Kto może poręczyć za pana?

— Panna Uukee — powiedziałem.

— I kto jeszcze?

— Ja — usłyszałem głos zadyszanego Boba, który właśnie nadbiegał. — To mój pan. Jestem z nim od początku i ja znam go najlepiej. Może pan komisarz przeświecić moją pamięć, jak pan mi nie wierzy.

— Zeznania robotów nie mają wagi prawnej i często się zdarzają nadużycia. Możesz mieć sfalszowaną pamięć, drogi chłopie — rzekł klepiąc protekcyjnie Boba po łopatkach — ale chwali ci się to przywiązanie do pana. Wskakuj do wozu.

Klepał Boba, a na mnie patrzył cały czas łakomym wzrokiem. Było jasne, że postanowił oddać mnie osobiście w ręce Uu, żeby zafasować tę nędzną nagrodę i nic nie pomogą żadne poręczenia.

Nie odjechaliśmy od razu. Jeszcze dobre kilka minut czekaliśmy na zakończenie akcji przeczesywania dolnych tarasów kampusu i ładowania schwytanych zbiegów, przeważnie już zupełnie udulonych. Najbardziej niebezpiecznych od razu na miejscu piętnowano, zamieniając ich w dulonów dulowatych.

Wydawało mi się, że jestem nie pilnowany. W kabinie było tylko dwu agentów z nasłuchu, którzy wskutek przemęczenia i braku bio zapadli we właściwe Eechtonom odrętwienie. Zastanawiałem się już, czy nie prysnąć, ale gdy chciałem unieść się z fotela, okazało się to niemożliwe. Byłem zablokowany bioelektronicznie.

— Widzisz, coś narobił — syknąłem do Boba, który siedział z nieszczęśliwą miną. — Bylibyśmy już może pod Górami Ametystowymi, wolni jak ptaki, a zanoszą się na to, że skończymy marnie... To znaczy ja skończę, bo ty dostaniesz bardziej fortunnego pana, a może nawet order, jeśli mnie wydałeś.

— Jak pan może, sir... — przerwał gwałtownie, wzburzony.

— Wystarczyło nie nacisnąć małego guziczka.

86

— Ja nieumyślnie... ja zapomniałem... moja pamięć...

— Przez ciebie będę udulony albo, co bardziej pewne, stracę życie! Przez jeden mały guziczek, który zapomniałeś nacisnąć.

Bob spuścił głowę.

— Ja się zielenię, sir — wykrztusił. — Znowu pana zawiodłem — za-lkał. — Nigdy sobie tego nie daruję. Wiem, że po tym, co zrobiłem, nadaję się już tylko do kasacji! Pan sobie kupi nowego służącego. Ale zanim odejdę, dam panu ostatnią radę. Niech pan nie kupuje już tego modelu co ja, a zwłaszcza tej serii. Nieudana. Pan sobie sprawi takiego robota jak ma pan Tuutoomon, to najnowszy model z pamięcią ultra, a mnie won! Na wysypisko! Pan ma tu już spore chody, Wielebny Aabo Iitede jest panu życzliwy, dostanie pan łatwo asy gna tę na przydział. A mnie w łeb! Do kasacji! Zasłużyłem na to! Ma pan tu jakiś młotek?

— Go ty, Bob!

— Ja to panu ułatwię, ja się sam zabiję! — to mówiąc, nim się zorientowałem, wsadził palec do największego gniazdzka zasilania. Rozległ się trzask, błysnęło, swąd nappełnił powietrze.

— Oszalałeś, Bob! — oderwałem go od kontaktu.

Bob bezwładnie zwisał z fotela. Zdjął mnie żal i paniczny lęk. Lęk, że mógłbym zostać bez Boba, tu na tej strasznej planecie, zupełnie sam pośród tych odrażających potworów. Tylko z Bobem mogłem się porozumieć, tylko z nim mogłem rozmawiać! To było może niedorzeczne i śmieszne,

ale wydawało mi się, że on mnie rozumie, że jest najbardziej ludzki ze wszystkich tutejszych żywych i sztucznych osobników i, co już chyba najbardziej głupie, że on mnie naprawdę lubi.

— Bob, nie umieraj! — krzyknąłem zrozpaczony. W tym momencie wzrok mój padł na rząd małych guziczków na jego korpusie. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej... Bezpieczniki! Może Bobowi nic się nie stało? Może tylko przepalił się bezpiecznik? Ależ tak! Jeden z guziczków wyraźnie sterczał nad innymi. Wcisnąłem go. Bob drgnął, wyprostował się na fotelu i zaczął oglądać sobie przypalony palec, jakby nie pamiętał, co się przed chwilą stało.

— Jestem szmelc — jęknął. — Moja głowa... Wszystko mi się mąci. Pan ginie przeze mnie!

— Przestań histeryzować!

— Zabrałc hemisferę, nie poleci pan do Gór Ametystowych... Zabiją pana lub udulą przeze mnie!

— Nie truj. To nie przez ciebie... — bezsilnie zacisnąłem pięści. — W cam-

87

pusie pełno było agentów. Pech chciał, że znaleźliśmy się w centrum akcji. Nawet gdyby udało się dopaść do hemisfery i wzlecieć, złapałoby mnie w powietrzu. A jeśli nawet bym im umknął, czy umknąłbym sępom krzemowym?

Jakby na potwierdzenie moich obaw kolejne stado aara-kuu zakołowało nad campusem. Kilka z nich nurkowym lotem błyskawicznie opuściło się na dół. Krzyki zaatakowanych agentów rozdarły powietrze. Ten zuchwały nalot był znakiem dla komisarza, że najwyższy czas kończyć akcję. Sępy krzemowe podobno atakują Eechtonów z powietrza dopiero wtedy, gdy wyczują u nich krańcowy niedostatek bio.

Dano sygnał odjazdu. W minutę potem byłem w sektorze C.

Uu czekała na progu. Dokładnie tak jak sobie wyobrażał Bob. Jak przypuszczałem, komisarz po zainkasowaniu tabletki bio łatwo zrezygnował z dalszego śledztwa w mojej sprawie i życząc nam pogodnej nocy, odjechał w mroczną dal.

Powitanie z Uu było bardzo czułe. Nie wymyśliłem nic korzystniejszego dla siebie, jak dostosować się przynajmniej w pozorach do roli, którą mi wyznaczyła. Zajadając spóźnioną kolację z łykowatych i chrupiących od krzemianowej posypki gęsi łkawych, tudzież z (całkiem smaczną i już nie tak twardą) sałatą eeberonową, tudzież popijając słabowite wino melanosowe (które poprawiło mi nieco humor), wspominaliśmy bogate wydarzenia i przeżycia kończącego się dnia, aż doszliśmy do sprawy tego uroczego dwuosobowego domku.

— Zrobiłam ci kawał, Mee, to znaczy — poprawiła się szybko i przybrała minę grzecznej panienki — małą niespodziankę.

— Nie taką znów małą — mruknąłem.

— Widzisz, kiedy już przy pierwszym spotkaniu pokazałeś wszystkim, że nie obchodzi cię głupia etykieta, bo mnie kochasz, zdecydowałam się szybko działać, by nędzne, materialne i praktyczne względy nie popsowały naszej miłości. Wiedziałam, że są kłopoty z bungalowami. Bojownicy ze Związku Antyludzkiego rozdrapują je między siebie korzystając z protekcji, a ty jesteś taki... taki niewinny, nie zorientowany, nieobyty w tym świecie — wpatrywała się we mnie z matczyną troską, a zarazem z uwielbieniem kochanki. — Tak, musiałam ująć szybko sprawę w swoje ręce i poczynić odpowiednie kroki. Nie cieszysz się?

— O, tak. Bardzo.

— Ale masz dziwną minę. Czy to z powodu tego... tej niespodzianki?

— Droga Uu — wykrztusiłem. — Jestem... jestem po prostu tylko trochę zaskoczony, że tak szybko... tak nagle...

— Istotnie, miałam zająć się tym dopiero, jak ochłonimy trochę po egzaminie i przygotujemy się lepiej do narzeczeńskiego stanu, ale chciałam ci pomóc...

— Pomóc?

— W twojej sytuacji nie mogliśmy czekać.

— W mojej?

— Bob opowiedział mi o twoich kłopotach i podsunął mi myśl, żeby jeszcze tego wieczoru ogłosić zaręczyny i na tej podstawie starać się o specjalny bungalow w sektorze C. Zresztą bardzo dobrze zrobiłam, że się pośpieszyłam, bo potem byłyby trudności z otrzymaniem lepszego

domku, zwłaszcza z widokiem na góry... Bob opowiadał mi...

— Co ci powiedział?! — zdrewniałem.

— Że nie chcesz mieszkać w Bakalarni z Tuutoomonem i asystentami.

— Czy powiedział dlaczego?

— Z uwagi na jego antyludzkie zapatrywania. Ty, podobnie jak ja, nie masz takich ciasnych uprzedzeń, jesteś uczciwym, otwartym na cały wszechświat Eechtonem i wyznajesz umiarkowane międzygwiazdne poglądy galaktyczne. Boisz się takich ideowców jak Tuutoomon. Czy dobrze się wyraziłam?

— Doskonale — odetchnąłem, że ten kretyn Bob nie zdemaskował mnie. Ale zaraz pomyślałem, że mała to pociecha. Uu zrobi to sama i to przy najbliższej okazji. Dziś, jutro, za parę dni. To się musi nieuchronnie zdarzyć, chyba. że... Ale czy potrafię wymyślić coś sensownego? W każdym razie wzbierała we mnie wściekłość na Boba i postanowiłem natrzeć mu uszu, gdy tylko będziemy sami.

Po spóźnionej wieczery Uu zaprosiła mnie do zwiedzenia bungalowu. Istotnie, był to przybytek na najwyższym poziomie, w którym wykorzystano najnowsze i najśmielsze osiągnięcia eechtonskiej techniki. Gdybym mógł mieć taki na Ziemi! I gdyby koło mnie zamiast U u stała Beata...

Ogarnął mnie nagle niepokój. Zdawało mi się, że utraciłem ją na zawsze. Zapomniałem, że mój brat Romek jest na Ziemi i czuwa... że wciąż jeszcze mamy szansę.

Gdy znaleźliśmy się w pokoju leżakowym, z którego roztaczał się przepyszny widok na ośnieżone góry z jednej strony, a z drugiej — na malownicze jezioro u stóp wzgórza Oote, Uu zapytała:

— Powiedz, Mee, czy jesteś szczęśliwy?

— A ty?

— Jak nigdy przedtem! — wzięła mnie za rękę. Złakłem się, że

91

zapropnuje zdjęcie masek, ale ona taktownie nie ponowiła propozycji. Zapytała tylko, czy zgłosiłem już usterki twarzy do reklamacji i czy wyznaczono mi termin naprawy.

— Chciałabym, żeby to załatwili jak najprędzej. Nie mogę wprost się doczekać, kiedy zobaczę cię takim jakim jesteś, kochanie. Gdyby robili jakieś trudności, ja się tym zajmę.

Wystraszony uspokoiłem ją, że nie ma potrzeby, by się tym kłopotowała; datę rekonstrukcji mojej twarzy wyznaczono na przyszły tydzień. Dokładnie za pięć dni będzie mogła ją obejrzeć.

— Żebyś tylko nie była rozczarowana — dodałem, zasepiając się.

— Nie mów tak — zasłoniła mi siedmiopalczystą rączką usta. — Moje serce mówi, że jesteś piękny, czerwonoooki, o delikatnej cerze ze złocistych łuseczek, jak ta mała rybka, którą siostra przywiozła z Ziemi.

Zakaszlałem nerwowo. Nasze słodkie sam na sam stawało się nie do wytrzymania. Konałem ze zmęczenia po tym piekielnym dniu, ale bałem się zapaść w sen. Moja niezrównana Uu mogłaby ze zwykłej dziewczęcej ciekawości zajrzeć mi jednak pod maskę. Wolałem nie ryzykować.

Szczęściem, nad ranem ktoś zadzwonił. Uu rozmawiała przez telefon przez chwilę, potem powiedziała, że musi wyjść. W związku ze stanem obłączenia wyznaczono jej dyżur w Oddziałach Obrony Obywatelskiej, czyli Odo. Podczas ataków sępów krzemowych wiele osób zostało rannych i okaleczonych. Musi zająć się nimi i nie wróci przed południem.

— Jeszcze jedno — dodała. — Gdyby ktoś pytał, nie mów, że jesteś nowo reduplikowany. •

Gdy tylko wyszła, wziąłem w łazience zimny, trzeźwiący prysznic i, przewyciężając senność, dobrałem się do Boba.

— To już przechodzi wszelkie granice! - zwymyślałem go. — Ty głupia elektroniczna pało! Ty sztuczny świński ryju, stuknięty w mikroprocesory! Mało mi naknociłeś, to jeszcze zabawiłeś się w rajfura?! Czy ty wiesz, co zrobiłeś?!

— Już wiem. Pan jest człowiekiem, a ja znów zapomniałem — przyznał zrozpaczony. — Pan nie może ożenić się z Uu ani z nią mieszkać, ani zdjąć maski. A ja pana wpakowałem w kabałę.

— Słuchaj no, stary — znów wzbudziło to moje podejrzenia, że mam do czynienia z agentem — czy ty przypadkiem nie wpakowałeś mnie umyślnie w tę kabałę, żeby mnie zdemaskować?!

— Ja tylko z powodu usterki... to był zanik pamięci, zatkanie... Już mi się odetkało.

— Szkoda, że dopiero teraz! I na jak długo? Jesteś dla mnie wręcz niebezpieczny!

— Wiem — rzekł ponuro Bob. — Przyniosłem młotek, proszę, niech pan mi rozwali głowę. To nie trudnego, jestem kruchy. Śmiało! To panu ulży, sir, zaraz poczujecie się pan lepiej... — zaczął wciskać mi narzędzie mordy.

— Nie wygłupiaj się, Bob! Znów zaczynasz?!

— Niech pan się nie krępuje. Zasłużyłem. Na złom ze mną! Do przetopienia! Pan potrzebuje robota na chodzie, ze świeżą fabryczną pamięcią, a nie grata! Po co te wahania i skrupuły! Nie obrażę się. I tak do końca będę wierny. Robot nie zdradza. Nawet gdy będą mnie przetapiać w kotle, moja ostatnia myśl będzie przy panu, sir.

Wyobraziłem sobie Boba w kotle i zrobiło mi się niedobrze.

— Bierzesz mnie na sentymencie, łotrze. Zabierz ten młotek!

— Pan nie rozwali mnie za to, co zrobiłem?

— Nie, Bob. Nawet gdyby to była naprawdę twoja wina, nie zrobiłbym tego. Uniosłem się z rozpacz i wyładowałem na tobie, ale przyszło mi teraz na myśl, że to nie twoja wina...

— Myśli pan, że usterka fabryczna? Wadliwa seria? >| — Nie, Bob, żadna usterka...

' — A co?

— Zapewne winne jest tu moje eekubu.

— Ależ, sir...

— Po prostu przebywanie w moim towarzystwie nie bardzo ci służy, innymi słowy działa szkodliwie na twoje delikatne podzespoły, obwody i układy. Tak jak nie posłużyło Tuutoomonowi...

— Pan żartuje!

— Nie. Tuż przed utratą przytomności wyznał mi, że w warunkach planety Uur moje promieniowanie wywiera uboczne, fatalne skutki.

— Więc przebaczy mi pan te zmacenia intelektu i niedowładny pamięci?

— Nie mam ci nic do przebaczenia, Bob.

— Ale przeze mnie jest pan tu, u boku panny Uu, i uważa pan, że grozi mu z jej strony śmiertelne niebezpieczeństwo.

— A ty nie uważasz?

— Panna Uu kocha pana.

— Mnie czy moją maskę?

— Jednak pana.

— I sądzisz, że mogłaby mnie kochać z moją ludzką twarzą?

— Tak, sir. To poważna dziewczyna. Nie zakochała się w pańskiej powierzchowności, lecz w panu jako istocie, osobie, to głównie sprawa pańskiej psychiki i osobowości.

— I myślisz, że mnie nie zdradzi?

— Dopóki będzie wierzyła, że pan ją kocha. Milczałem.

— Widzisz, Bob — powiedziałem po chwili — cały problem w tym, że ja nie Kocham panny Uu. Bob, jakby osłupiały, przetrwał w milczeniu przez kilka chwil tę informację.

— Panna Uu jest piękna, mądra i godna podziwu — powiedział. — Jeśli nie kocha pan panny Uu, to znaczy, że ma pan kogoś na Ziemi.

Zaczerwieniłem się.

— Błyszczysz logiką, Bob!

— Czy to poważna historia? — dopytywał się.

— Poważna i raczej simitna — wy sapalem.

— W takim razie muszę szybko działać — orzekł Bob. — Jest pan istotnie w niebezpieczeństwie

— wybieg! z bungalowu.

— Co chcesz zrobić?! — ruszyłem za nim.

Ale on nie usłyszał już mego pytania. Włączywszy trzecią szybkość sunął jak strzała 'gładkim chodnikiem campusu.

Wkrótce zniknął w gęstych od nocnej mgły ciemnościach.

Półprzytomny wróciłem do bungalowu i padłem na podłogę. Wsluchując się w jęklivy klangor nadciągających sępów zanurkowałem w głęboki sen. Nareszcie miałem szansę zobaczyć, co w domu, co w budzie, no i co z... Beatą. Przez cały ten długi dzień nie miałem kontaktu z bratem. Zbyt pochłoneły mnie sprawy Uuru.

W nocy kolejna inwazja Eechtonów. Mama w rozpacz. Przepaliły się korki. Cała lodówka rozmroziła się, a śmietankowe lody w zamrażalniku — główna pozycja podwieczorku imieninowego mojej siostry Anki — zmieniły się w różowawą ohydną papkę, bo nakapało do nich sporo krwi z odtającej wątróbki wieprzowej. Całe szczęście, że Anka jeszcze o niczym nie wie, bo pojechała na wycieczkę szkolną do Krakowa. Wybrała się tam cała dobrana paka: Elka Bełska, Fredek Cyganek i oczywiście Beata. Ja też miałem jechać,

94

ale uznałem, że lepiej będzie, jak zostanę w domu. Taka wycieczka z nią to byłoby pasmo udręk, a ja mam za słabe nerwy, żeby to wszystko znosić, w odróżnieniu od Beaty, która ma nerwy ze stali. Odnoszę wrażenie, że ona wie o tej przewadze i dręczy mnie umyślnie, bo jest małą wyrafinowaną sadystką, bo sprawia jej to rozkosz! Jest to po prostu rozgrywka ze mną, zacięta walka, która trwa od czasu naszej sprzeczki sprzed trzech tygodni. A przecież powiedziałem od razu uczciwie: „Dobra, możemy ze sobą chodzić, ale pamiętaj, jestem bałaganiarz, mam dużo zajęć i niesystematycznie pracuję, tak jak artysta. Nie można mnie zaprogramować dalej niż na dwa dni z góry, więc nie miej do mnie pretensji, jak nawalę raz czy drugi albo będę nie tak ubrany, jak wypada, jak sobie umyśliłaś. W związku z tym nie podpisujemy żadnych zobowiązań i nie czynimy żadnych wyznań, aż do wakacji”.

Zapewne już t'o ją uraziło. Być może tak się nie rozmawia z dziewczynami i nie tego się po mnie spodziewała. Ale już wtedy nie była całkiem szczerą, bo przemilczała to, co pomyślała i wyglądało na to, że przyjęła moje słowa do wiadomości. Tymczasem już następnego dnia nie wytrzymała i zaczęła opowiadać, że jestem jej chłopakiem. Trochę mnie to rozzłościło. Nie wzięła pod uwagę, że my, chłopaki, jesteśmy wrażliwi na takie rzeczy, bo klasa jest złośliwa i zaraz biorą nas na języki. Więc wolimy zgrywać się na nieczułych i cynicznych brutalach. Ale to tylko na pokaz. A w ogóle prawda jest taka, że boimy się dziewczyn, bo często robią sceny, płaczą, chcą nas zniewolić, kupić, a jak się nie da, to zaszantażować... W każdym razie takiego zdania jest Witek Kuplewicz, z którym rozmawiałem na ten temat, a on ma już pewne doświadczenie. Mówi, że najlepiej chodzić z dziewczynami z drugiego końca miasta, z innej budy. Z tej samej klasy?! — nie! Widzieć się codziennie? Często w kompromitujących sytuacjach, jakich nie brakuje w szkole! Nie! To wszystko psuje! Żadnych uroków tajemnicy. Żadnych uroków inności!

Beata nic z tego nie rozumiała. Lubiła się ze mną afiszować, organizować mi szczęście i wolny czas według własnej recepty, układać program na cały tydzień z góry i wymuszać zgodę. W końcu pokłóciliśmy się o jakiś nędzny film, na który chciała pójść i to koniecznie ze mną, zresztą tylko po to, żeby pokazać się Elce Bełskiej, bo dowiedziała się, że ona tani będzie ze swoim chłopakiem. Rzecz w tym, że Beata rywalizuje z Elką na każdym polu i ja mam być atutem w tej rozgrywce. No to chyba miałem prawo się spienić i wygarnąć jej wszystko, o czym tu napisałem. A ona się o to obraziła. I jeszcze o to, że zobaczyła mnie z Piggy na ulicy, jak jedliśmy pierwsze wiosenne lody. Okazało się, że jest zazdrosna o Piggy, o pogardzaną do niedawna i wyśmiewaną „grubaskę”, której parę razy poprawiałem wypracowania z polaka.

95

Myślałem, że jakoś poradzę sobie z tym wszystkim, skoro nawet z Eechtonami poradziłem sobie. Moja nieobecność na wycieczce do Krakowa to miał być decydujący sprawdzian, czy będę cierpiał, czy nie, czy zostałem uleczony, czy pograżyłem się jeszcze bardziej. Niestety, sprawdzian wypadł niepomysłnie. Nie tylko nie ominęło mnie cierpienie, ale cierpiałem jeszcze bardziej. Nie dawała mi spokoju myśl, że Cyga jest przy Beacie. Wiadomo, jak podstępne jest to bydło, co zwie się Fredkiem Cygankiem. Kuplewicz dużo mi mówił na ten temat. Kuplewicz Cygę zna od żłobka. Zrozumiałem jedno. Muszę działać* muszę coś zrobić, inaczej chyba oszaleję. Te dwa dni dłużyły mi się w nieskończoność, to była jedna męka i znikąd ocalenia! Żaden pomysł nie przychodził mi

do głowy! Jak można uratować Beatę przed tym przeklętym bokserem o sparringowej szczęce, który poczynił już tyle spustoszeń w naiwnych sercach naszych dziewczyn, któremu nie oparła się nawet Ela Bełska? Leb mi pękał od medytacji. Co więcej, śledząc poczynania mego brata Mee na planecie Uur, wiedziałem, że cierpi i niepokoi się o Beatę tak jak ja i że to mu bardzo przeszkadza w jego trudnych zmaganiach. Prawdopodobnie w tych warunkach miotany niepokojem i zazdrością nie będzie mógł wykonać swego niebezpiecznego i chwalebego zadania...

I dopiero tej nocy nad ranem, po inwazji Eechtonów i po rozmowie z Mee, przyszła mi do głowy śmiała myśl: a gayby tak wysłać Beatę na planetę Uur? W końcu udało się ze mną, czemu z nią miałyby być inaczej? Pomysł zafrapował mnie od razu, już choćby z jednego względu, na planecie Uur nic byłoby Fredka Cyganka. Mielibyśmy obaj, ja i Mee, Beatę wyłącznie dla siebie.

Wprawdzie na Uur wysłalibyśmy jej drugi egzemplarz, a pierwszy wciąż by pozostał na Ziemi, to jednak wrażenia z pobytu wśród Eechtonów z pewnością tak by Beatę pochłoneły, że nie miałyby już ochoty na banalne „przyziemne” zabawy z Cygankiem.

Pomysł był całkiem niezły, ale czy wykonalny? Oczywiście należało znaleźć jakiś chytry sposób. Nie mogłem przecież przyjść do Beaty, wyłożyć kawę na ławę i próbować namówić ją na „odtworzenie” własnej osoby w „drugim egzemplarzu” i umieszczenie jej na obcej planecie.

Wzięłaby mnie za wariata albo za nędznego zgrywusa. Nasze dziewczyny to piekielne realistki. Nie mają serca do futurologii, do dociekań naukowych, do wielkich cudów kosmosu, w żaden sposób nie są otwarte na Wielką Niespodziankę Stamtąd! Wszystko pakują do jednego worka bajek i fantastyki. W dodatku są to realistki ograniczone. Mało je interesuje, co nie obraca się wokół ciuchów, urody, rocka i paru innych rzeczy. Są kompletnie nie przygotowane na przyjęcie New Hi-Te, czyli Nowej Wysokiej Techniki. A już Beata ma pod

96

tym względem dębowe ucho i fajansowe oko. Nie mógłbym jej nawet przekonać, że na mokradłach, kilometr od szkoły, wylądowało i od kilku dni parkuje Ufo, a cóż dopiero namówić ją, żeby tam poszła. Beata nie wierzy w żadne Ufa.

Tu trzeba odwołać się do wyższej dyplomacji, obmyśleć jakąś zręczną intrygę. Akurat była lekcja biologii. Trufla coś bredziła o narządach gębowych owadów. Na jej lekcjach wszyscy ziewają, ale ja uwielbiam takie nudne lekcje. Natychmiast korzystam z okazji i oddaję się orgiom myśli na tematy dowolne. Monotonny głos Truflki pomaga oderwać się całkowicie od „entomologicznie” drętwej treści wykładu i sprzyja twórczej koncentracji na bardziej pasjonujących sprawach.

Tym razem też owady Truflki skutecznie uskrzydliły moją myśl. Zarobiłem wprawdzie bombę za nieuwagę, lecz w pół godziny miałem gotową koncepcję odnośnie Beaty i to w najdrobniejszych szczegółach; jeszcze nim przyrodnicz-ka wykaraskała się cało z narządów gębowych modliszki, napisałem na kartce z brulionu i przesłałem pod stolikami do Beaty list następującej treści:

Pragnę ci zwrócić włóczkę, druty i pół palca projektowanej rękawiczki, tyle udało mi się zrobić.

Wiem, że po tym, co się stało, nie zależy ci, bym dalej robił ten palec. Będę wspominał z żalem te niezapomniane chwile, kiedy robiliśmy razem na drutach i słuchaliśmy Shakina Stevensa. Czy mogę do ciebie wpaść o piątej i oddać wszystko? (W klasie się wstydzę)

Strzyga

PS I Przebacz te skandaliczne lody z Piggy. Zgubiło mnie łakomstwo. Byłem wtedy bez grosza, a ona mnie skusiła. Nie powinienem był ulec wiedząc -jak to boleśnie odczujesz.

Strzyga zawstydzona

PS II Jeśli chcesz się dowiedzieć, co było w liście, którą dostała Ela od interesującego cię Gibona, mogę to załatwić, tylko ani słowa nikomu. Czy mam przyjść?

Strzyga (z poważaniem)

Gibonarni nazywaliśmy licealistów z pobliskiej budy. Te włochate potwory zerowały na naiwności naszych dziewczyn i podrywały je masowo, przypuszczam, że dla sportu. Panowie ci między innymi trikami posługiwali się przynętą w postaci czułych, wymyślnych listów, na jakie nikt z nas w klasie by się nie zdobył. Przemycali je, mimo naszej kontroli, dość skutecznie. Podejrzewam, że przekupili woźną. Największym powodzeniem wśród

4 — Gwiazda Barnarda

dziewcząt cieszył się nijaki Krzysztof Król, zwany Szynszylem, zapewne z uwagi na długie siekacze (co te dziewczyny w nim widziały?!). Obdarzał on swymi względami przez jakiś czas Beatę, a wiedziałem, że ostatnio listy od niego otrzymywała Elka, a Beata, rzecz jasna, była z tego powodu zazdrosna. Czy jednak to tego stopnia, by ulec pokusie, którą dla niej przygotowałem? Czekałem cierpliwie udając, że słucham Trufli i że pasjonują mnie żuwaczki tęgopokrywych. A jednak? Nie upłynęły dwie minuty, a siedzący za mną Witek Kuplewicz trącił mnie w żebro. Schyliłem się i podniosłem wrzuconą pod stół małą kuleczkę zmiętego papieru. Wyprostowałem ją i odczytałem. Było tam tylko jedno słowo: Przyjdź.

* * *

Obudziły mnie' głośnie kroki i głosy. Ktoś mnie szarpał za rękę. Otworzyłem oczy. Zalała mnie czerwona jasność, wielka tarcza Gwiazdy Barnarda stała już wysoko. Nade mną pochylał się typ krokodylopodobny w białym, opalizującym kostiumie. Przedstawił się jako nadinspektor kampusu.

— Co się stało?! — wykrztusiłem.

— Kontrola — wyjaśnił krótko nadinspektor. — A właściwie jedno tylko pytanie: czy pan jest nowo reduplikowany?

Milczałem. Nie wiedziałem, czy lepiej przyznać się, czy zaprzeczyć. Lecz nadinspektor nie dał mi czasu do namysłu i skinął na pedli. Ci chwycili mnie pod ramiona, nadinspektor rozpiął mi kostium na plecach i głośno odczytał znajdujący się tam od wczoraj odcisk kontrolny, o którym zapomniałem.

— Pan był reduplikowany wczoraj — usłyszałem. — Dopiero wczoraj. Jako nowo reduplikowanemu nie przysługuje panu prawo zajmowania dwuosobowego pawilonu specjalnego przed poddaniem się kwarantannie kontrolnej przez okres stu dni.

— Kwarantannie?

— Ze względu na higienę i bezpieczeństwo ogółu reduplikowanych umieszcza się pojedynczo w osobnych pawilonach i poddaje obserwacji, czy nie wyjdą u nich usterki, niedoróbki i skazy tak cielesne, jak charakterologiczne, a zwłaszcza radiacje szkodliwe dla otoczenia.

— Rozumiem... Czy... czy to znaczy, że nie wolno mi przez sto dni mieszkać z panną Uu? — mimo zasnania zapytałem dość przytomnie.

— Dokładnie tak — rzekł nadinspektor.

— Lecz poprzedni przydział...

— ...był wydany z naruszeniem przepisów, bez zbadania odcisków kontrolnych narzeczonych. Zachodzi podejrzenie, że zatrudniony w naszym urzędzie robot popełnił przestępstwo. Prowadzone jest w tej sprawie śledztwo — dodał wlepiając we mnie swoje sowie oczy. — Czy ma pan jeszcze coś do dodania w tej sprawie?

Byłem cały w nerwach. Typy zaglądały mi pod kostium. Czy mogły nie zauważyć mej ludzkiej powłoki?

— Nie mam nic — wykrztusiłem.

— Do godziny dwunastej musi się pan przeprowadzić do lokalu, który montowany jest obok — wskazał na ustawiony przez roboty budowlane pawilonik w kształcie ula.

— A panna Uu? — na wszelki wypadek chciałem się upewnić.

— Panna Uukee zajmie taki sam lokal naprzeciwko. Będziecie przez okna lunetowe mogli patrzeć na siebie — skłonił się sztywno, przybił na drzwiach* bungalowu orzeczenie o wykwaterowaniu do lokali zastępczych na czas kwarantanny i odszedł.

W mojej rozgrywce z losem znów punkt dla mnie. Zdemaskowanie odsunięte na sto dni, a nadinspektor okazał się szczęśliwie zwykłym formalistą, interesował go tylko odcisk na moich plecach, a to, czy mam łuski, czy gołą skórę, było mu zupełnie obojętne. Pomyślałem, że dzięki takim ograniczonym formalistom są szansę przeżycia nawet na planecie Uur.

Wkrótce potem wróciła z dyżuru w Oddziałach Obrony uśmiechnięta, nie przeczuwająca niczego, Uu. Obserwowałem ją z okna „ula”, gdzie się przeprowadziłem. Rozglądała się zdumiona, że obok bungalowu stoją jakieś nowe \ udki.

— Hallo, Mee! — zewołała.

— Witaj, Uu! — wyrząłem z budki.

— Co tam robisz?! — wytrzeszczyła oczy.

— Przykra sprawa, Uu. Rozdzielono nas! Podobno naruszyliśmy przepisy. Przez sto dni nie wolno nam mieszkać razem. Kwarantanna. Wyrzucono nas z domku! — opowiedziałem o wizycie nad inspektora i o wydanych zarządzeniach i wskazałem na orzeczenie przybite do muru.

Uu nie powiedziała ani słowa. Popatrzyła na domek, przytuliła się do framugi, pogłaskała ścianę domku, poprawiła firankę w oknie, a potem siadła na schodku przed swoją budką i ukryła twarz w dłoniach.

Nagle zrobiło mi się jej żal. Chciałem podbiec i pocieszyć ją, ale

99

powstrzymałem się w ostatniej chwili. Bez sentymentów — pomyślałem. Zasłużyła na to.

Próbowała uszczęśliwić mnie na siłę, urządzić mi życie bez zapytania o zdanie. Więc ma za swoje. I nie potrzeba jej ocierać łez, przecież Eechtoni nie płaczą...

Bob nadjechał dopiero późnym popołudniem, hałaśliwie i dziarsko. Zbyt dziarsko jak na mój gust, za późno przyhamował i omal nie rozwalił mi budki. Powiedział, że wróciłby wcześniej, ale poddał się zabiegom konserwacyjnym i kazał sobie zrobić przegląd. Osobiście podejrzewałem, że naelektryzował się prywatnie gdzieś na boku. Otarłszy chusteczką kurz z korpusu i przedmuchawszy czujniki stanął przede mną i wskazując na nowo zainstalowane pawilony, zapytał nie kryjąc dumy:

— No, chyba tym razem jest pan zadowolony ze mnie, sir?

— Spisałeś się na medal, Bob — rzekłem wychylając się z budki. — Czy kosztowało cię to wiele trudu?

— Och, nie warto nawet mówić, sir. Wystarczył mały donos, że naruszono przepisy kwaterunkowe. Tym razem sucha litera prawa była po naszej stronie. Mniemam, że pana samopoczucie poprawiło się znacznie, sir. Bezpośrednie niebezpieczeństwo zażegnane...

— W istocie — mruknąłem. — To prawda, niebezpieczeństwo oddaliło się ode mnie.

I siedzi smutne pod budką — dodałem sobie w myśli zerkając na zastygłą w żalu Uu... Ten zuch Bob uczynił dokładnie to, co chciałem, a jednak, co tu ukrywać, zrobiło się jakoś głupio, daleko mi do duchowego komfortu. A moje uczucia były, mówiąc delikatnie, trochę ambiwalentne.

Bob popatrzył na mnie z niepokojem.

— Coś nie tak, sir?

— Wszystko okay, Bob! To był majstersztyk! Wymanewrować rezolutną, obytą, energiczną, efektywną pannę Uukee Boo, to nie byle co! Uczymy się, Bob, robimy postępy, stajemy się Eechtonami w każdym calu, bez skrupułów i słabości!

— Fan nie mówi poważnie — bąknął Bob. — Coś pana dręczy?

— Czuję się, jakbym zjadł żabę.

— Żabę?!

— Dużą ropuchę krzemową z doliny Telle.

— To ja już nic nie rozumiem!...

— Idź do diabła, Bob! — zatrzasnąłem drzwi mojej budki. Wieczorem podszedłem do Uu.

— Nie martw się — powiedziałem. — Sto dni to nie wieczność.

100

Pokiwała głową ze smutnym uśmiechem i popatrzyła na mnie dziwnie... penetrująco. Zmieszałem się. Tak jeszcze nigdy na mnie nie patrzyła. Czyżby... czyżby podejrzewała mnie o zdradę?

Z trudnej sytuacji wybawił mnie znów... Tuutoomon. Podobnie jak wczoraj w kuluarach uczelni, zjawił się w samą porę. Przyniósł wiązankę eeberonów różowatych i złożył nam życzenia z powodu ogłoszenia zaręczyn, a następnie wpiął nam w łuski po jednym całkiem niezłym brylancie. (Mam nadzieję, że prawdziwym.) Wyrzucił dyskretnie żal, że nie zamieszkałem z nim w Bakalarni, lecz przyznał, że z moim eekubu winienem dla dobra Eechtonii zawrzeć jak najszybciej związek małżeński. Pocieszyłem go, iż z powodu kwarantanny i tak nie mógłbym zamieszkać z nim przed upływem stu dni.

— A po stu dniach — uśmiechnąłem się znacząco — świat może wyglądać zupełnie inaczej i

możemy się znaleźć daleko od Bakalarni — przymrużyłem oko, robiąc aluzje do akcji antyludzkich urządzanych systematycznie przez Eezal.

— Otóż to — podchwycił Tuutoomon. — Cieszę się, że bierzesz pod uwagę tę możliwość. Coraz bardziej przeważa opinia, że czas skończyć z „małymi kroczkami” w naszej antyziemskiej kampanii. Trzeba przejść od nędznych lotów wywiadowczych typu Rhea czy Theta i rozsiewania agentów do inwazji. Jak długo można ją odkładać pod pretekstem, że Wielki Kompleksowy Projekt Wujka Krokodyla nie jest jeszcze gotowy? Już mówiłem z tobą o tym w kularach. Wiesz, że liczymy na ciebie w naszej walce. Przyjdź na zebranie jutro o tej porze! Pamiętaj, nie odrzuca się takich zaproszeń — w jego głosie brzmiała jakby pogróżka.

Podejrzywałem, że przekazanie mi zaproszenia było właściwym i prawdziwym celem jego na pozór kurtuazyjnej wizyty.

— Koniecznie powinienes pójść — rzekła Uu po wyjściu Tuutoomo-na. - Ich zaproszenie jest rozkazem. Wiem, że masz inne poglądy, ale życie ma swoje wymogi. Mędrzec z Episteme powiedział: „Bądź mądry jak trzcina; lepiej ugiąć się niż być złamanym. Pamiętaj, dzięki czemu trzciny przetrzymały burze”.

Nie potrzebowała mnie namawiać. Uznałem, że uczestnictwo w zebraniu Związku Antyludzkiego będzie ze wszech miar pouczające i korzystne. Będę mógł dokładnie poznać ich plany związane z moją planetą, być może także Wielki Kompleksowy Projekt Oodosa. Mało tego, pozorna przynależność do związku dawała mi szansę powrotu na Ziemię w ramach jakiejś zwiadowczej, akcji poprzedzającej inwazję.

Zebranie odbyło się w tak zwanym Dolnym Kularze, w wykutym

101

w skale korytarzu, gdzie przed wiekami grzebano zmarłych pracowników nauki, coś w rodzaju katakumb. Miało charakter ściśle konspiracyjny. Dokładnie sprawdzano rekomendacje. Mnie wprowadził Tuutoomon. Na początku była zbiórka bio dla osłabłych braci z Frontu Antyludzkiego. Podszedł do mnie jakiś typ z kryształową misą. Nie miałem zamiaru nic wrzucić i krzepić siły antyludzkie, ale wszyscy na mnie patrzyli, więc wrzuciłem do misy cały mój tygodniowy przydział bio, co wywołało aplauz zebranych.

Mało mnie obchodziło, co tam pletli. Interesował mnie tylko ostateczny wynik: jakie podejmą uchwały i czym to zagrozi Ziemi. Z przemówień zapamiętałem gwałtowne wystąpienie Tuutoomona przeciw rektorowi Oodo-sowi Oomu. Zarzucał mu, że umyślnie zwleka z ogłoszeniem swego planu działań antyludzkich, ponieważ chce na własną rękę przeprowadzić tajne pertraktacje z Ziemią i zagarnąć jej bio dla siebie.

— Czas nagli — mówił. — Ludzie robią szybkie postępy w nauce i technice. Gotują się do lotów międzyplanetarnych, potrafią już miesiącami przebywać w kosmosie.

Dalej rozwodził się o ludzkiej elektronice i atomistyce, o wykorzystywaniu nadprzewodnictwa, o różnych wynalazkach, świadczących o rozwoju ziemskiej cywilizacji.

— Czas nie pracuje dla nas — zakończył. — Jeśli mamy działać, to teraz, gdy nasza przewaga jest ewidentna, bo potem oni przyjdą do nas! Nie chciałbym zginąć od lasera jakiegoś nędznego człowieka, którym gardzę. (Przypominam, że i laser także już został tam wynaleziony!) Resztę wystąpień puściłem mimo uszu. Zaciekał mnie natomiast projekt zamachu na Oodosa Oomu i technika udulenia go, to jest wyjęcia mu z głowy kasety pamięci i wyświetlenia jej w celu otrzymania dowodów, że knuje zdradę. Nie wiedziałem dotychczas, że Eechtonowie mają pamięć schowaną w wymienialnych kasetach i że wyjmowanie ich jest możliwe. Postanowiłem sam skorzystać z tego zabiegu technicznego i zawładnąć planami Jego Magnificencji rektora, nim zrobią to spiskowcy.

Zadowolony opuszczałem zebranie.

Nagle, gdy znalazłem się w ciemnym kularze, zostałem niespodziewanie otoczony przez łuskowatych osobników w naszyjnikach dentalnych i z kordzikami aktywistów Związku Antyludzkiego. Nadstawili bezceremonialnie pochłaniacze piersiowe i chłonęli moje cu-cu. Oburzony takim zachowaniem, zakwestionowałem ich maniery i próbowałem delikatnie zwrócić im uwagę, że postępują nietaktownie. Niestety, oni

chłonęli dalej i nie reagowali zupełnie na moje słowa, jakbym nie był istotą żywą i myślącą, lecz jakimś aparatem, jakąś lampą do naświetlań.

W tej sytuacji przestałem być delikatny i również nietaktownie dałem im po głowie. Wystarczyło mi pół minuty, by rozłożyć bractwo na podłodze, pokaleczyłem sobie tylko trochę kostki w ręce o ich twarde, wysadzane kamieniami maski, ale oni za to pogubili swoje kryształowe zęby.

Niedostatek bio w ich organizmie przesądził sprawę.

Zwabiony rumorem nadszedł Tuutoomon i popatrzył ponuro na pobożowisko.

— Czy musiałeś? — spojrzał na mnie z wyrzutem.

Wyjaśniłem, że dobrali się do mnie obcesowo i musiałem zareagować.

— Postąpiłeś zbyt pochopnie i gwałtownie — orzekł Tuutoomon. — Taka gwałtowność jest niegodna mędrca. To nieładnie tak samolubnie drzeć

o swoje eekubu, kiedy się go ma w nadmiarze. Powinieneś być szczęśliwy, że cieszysz się taką popularnością...

— Co mi zasuwasz takie rzeczy — zdenerwowałem się. — Chamstwo jest zawsze chamstwem! A bezczelność bezczelnością! Nienawidzę złych manier!

— Uspokój się, to są prości chłopcy. Wzięli poważnie twój akces do organizacji i funkcję, której się podjąłeś.

— Przepraszam cię. Zaprosiłeś mnie, więc przyszedłem z ciekawości na wasze zebranie, ale to nie jest jeszcze akces. Nie było też mowy o jakiejś mojej specjalnej funkcji!

— Twoja funkcja była chyba oczywista — rzekł Tuutoomon. — W naszym systemie każdy musi funkcjonować zgodnie ze swymi zdolnościami

1 możliwościami. Jakie są twoje możliwości, dobrze wiemy...

— Ależ posłuchaj, Tuutoo... — chciałem przerwać.

— To ty posłuchaj, Mee. Bardzo cię lubię, ale nie sądzisz chyba, że wtajemniczyłem cię w nasze plany tylko dla twoich pięknych krokodylich oczu i że wciągam cię w spisek tylko dla towarzystwa! To nie zabawa, Mee. Wkrótce wybuchnie tu rewolucja pod sztandarem Związku Antyludzkiego. Jej pierwszym akordem będzie zamach stanu przeciw hieratycznym władzom w Episteme pod egidą Jego Magnificencji Starego Krokodyla. Żeby się powiódł, potrzebujemy energii i jeszcze raz energii, mój drogi.

— Urządźcie zamach na składy bio!

— Składy bio są puste. Tylko ty możesz pomóc. Liczymy, że będziesz przekazywać bojownikom odpowiednie dawki cu-cu!

— Co?!

— Tak postanowiła tajna Rada Rewolucyjna. Liczbę seansów eekubi-cznych ustalono na razie na trzy dziennie.

— Nie zgadzam się! To bezprawie!

— Mój Mee, nie bądźmy formalistami. Zgodnie z prawem, to ty powinieneś już dawno siedzieć nie tu, ale daleko stąd w Korpusie Rezerw Ostatecznych Wielkiego Brata i być naukowo wysysany do ostatniej kropli cu-cu. Mówię wysysany, bo nie wiem, czy wiesz, że w ostaniej fazie pozyskiwania cu-cu pod ciśnieniem przybiera ono postać płynną. Jest to bardzo zaszczytne, ale jeszcze bardziej niezdrowe, a w każdym razie mało przyjemne. Bądź więc szczęśliwy, że zajęliśmy się tobą i, że tak powiem, rozpięliśmy nad tobą parasol ochronny. Tylko dzięki nam możesz wałkonić się w Episteme i gruchać z boską Uu, czyż nie jest boska? Naprawdę wygrałeś los na loterii. Podejmij więc z uśmiechem obowiązki, które nakłada na ciebie ruch rewolucyjny i nasz Front Antyludzki.

Przygryzłem 'wargi. — 'A jeśli nie?

— Byłoby nam bardzo przykro, gdybyś stał się rezerwą w klatce pod oknem sypialni Wielkiego Brata, za wysokimi murami Fortu Centralnego. Wierz mi, już mówiłem, to zaszczytne, ale cholernie smutne. I najwyżej trzy

!miesiące życia. Pamiętaj, tam jest dużo klatek pustych, a jedna już przygotowana dla ciebie.

— Wydałbyś mnie?

— Och, nie musiałbym tego robić. Wielu fałszywych dulonów błąka się po kampusie. I różnych wykwalifikowanych szpiegów. Wpadłbyś od razu w ich ręce, gdybyśmy tylko zwinęli parasol. Ale na szczęście jesteś strzeżony w dzień i w nocy, a ci, co próbują ci się dobrze przyjrzeć, są usuwani, nim wejdą z tobą w jakikolwiek kontakt. Nasi bojownicy nie spuszczaają cię z oka. Notabene właśnie przed chwilą pobijeś takich ofiarnych chłopców — roześmiał się. — Wystarczy, że zdjąłbym te strażę, co byłoby z tobą, biedny Mee? Wytłumacz więc swojej boskiej Uu, że wkrótce koniec z gruchaniem we dwoje i że składasz się w ofierze na ołtarzu sprawy.

— Ależ...

— Nie bój się, ja się tym zajmę. Jutro odwiedzę ją i porozmawiam. Ona potrzebuje doszkolenia antyludzkiego, jest nieco zaniedbana ideologicznie... Pamiętaj, każdy funkcjonuje we właściwej funkcji, a ideologia to moja silna strona, jak wiesz.

Przygryzłem wargi. A więc stało się to, czego się obawiałem. Jestem ofiarą szantażu i moje dni tutaj są policzone.

<

104

Co lepsze: Front Antyludzki czy klatka w Korpusie Rezerw Wielkiego Brata? Czy już tylko taki wybór mi pozostał?

Nie powiedziałem więcej ani słowa i roztrzęsiony wróciłem do chaty. Uu siedziała pod swoim pawilonikiem i jak zwykle czekała na mój powrót.

Opowiedziałem jej o zakusach Tuutoomona i razem rozważyliśmy sytuację. Uu uznała, że sprawa jest poważna i wymaga bezwzględnego działania. Znała już takie wypadki wyciskania cu-cu z dawców aż do zupełnego wyczerpania ofiary. Jest to rodzaj wampiryzmu z dawien dawna uprawiany na planecie.

Widząc moje śmiertelne przerażenie, powiedziała:

!— Weź się w garść i nie zamartwiaj. Spróbuję to jakoś załatwić.

Poradziła mi, bym następnego dzień spędził poza swoim pawilonem, a najlepiej zaszył się w zakamarkach Biblioteki Świątyni Wiedzy i wrócił dopiero wieczorem. Sądziłem, że Uu spróbuje przemówić Tuutoomonowi do rozsądku, że wykorzysta swoje wpływy i wywrze na niego odpowiednie naciski, toteż zaskoczyło mnie i poraziło to, co zastałem po powrocie.

Tuutoomon siedział nieruchomo przy stole ze szklanką w sztywnej ręce. Wszystkie jego kryształki i drogie kamienie na kostiumie pogasły. W rozdziawionej zębatej paszczy krył się wyraz niepomiernego zdziwienia. Zrozumiałem od razu! Był martwy!

— Zabiłam go — rzekła spokojnie Uu. — W kapsułce po bio, którą go poczęstowałam, były trzy krople kwasu fluorowego. Zupełnie wystarczyło:

— Ależ, Uu, mówisz to tak spokojnie?!

— Cóż w tym złego? On chciał ci zrobić krzywdę. Tak się załatwia te sprawy. Robią to nawet na głupiej Ziemi, opowiadała mi siostra.

— Musiałaś mnie źle zrozumieć — wykrztusiłem. — Ja nie chciałem tego!

— Nie szkodzi. I tak miałam go zabić — wyznała. Rozglądałem się przerażony dookoła, czy nikt nie widzi. No trudno, stało

się. Ale co zrobić z trupem?

— Trzeba jakoś sprzątnąć te zwłoki — zauważyłem.

— Po co? — wzruszyła ramionami. — Policja sprzątnie.

— Policja? Nie boisz się?

Potrząsnęła głową. Podziwiałem jej zimną krew. • — Ale ja się boję o ciebie... — powiedziałem.

— To ładnie, Mee — uśmiechnęła się ludzką maską.

Chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale z gwizdem syreny nadjechała czarna

5 — Gwiazda Barslarda

105

policja. Znany już mi z akcji w Ogrodzie komisarz z zachęcającym uśmiechem rozpoczął przesłuchanie.

Uu oświadczyła, że to samobójstwo. Asystent Tuutoomon otruł się, ponieważ doniesiono mu o

wykryciu spisku przeciw Jego Magnificencji, w który był zamieszany.

— W rzeczy samej — potwierdził komisarz. — Denat był na liście osób podejrzanych o przygotowywanie! zamachu.

Przeszukano zwłoki.. W kostiumie w wewnętrznych kieszeniach znajdowały się jakieś papiery. Komisarz przejrzał je ciekawie.

— Przykro mi, panno Uukee Boo, ale widzę tu pani nazwisko. Pani też brała udział w spisku. Jest pani aresztowana!

— Ależ, komisarzu, to nonsens! — wykrzyknąłem.

— Niestety, nie. Wiemy, że panna Uukee Boo była filarem radykalnego terrorystycznego skrzydła Frontu Antyludzkiego.

— To pomyłka*! — zaprotestowałem. — Znam dobrze pannę Uu, obce jej są szowinistyczne zacierzenia, wyznaje umiarkowane poglądy galaktyczne, to otwarty umysł! Nie czuła nigdy antypatii do ludzi, przeciwnie, nosiła nawet ludzką maskę!

Komisarz dobrotliwie poklepał mnie po ramieniu.

— Panie bakałarzu, rozumiem pańską chęć bronienia panny U u. Pańskie uczucia do niej i węzeł narzeczeństwa tłumaczą wszystko, lecz niestety rzeczywistość przedstawia się inaczej, niż pan ją widział dotychczas, a ściślej, jak panu kazano widzieć. Panna Uukee była przygotowywana do akcji wywiadowczych na Ziemi, stąd jej zainteresowanie tą planetą. Studiowała obyczaje ludzkie i nosiła ludzką maskę, aby móc uchodzić za człowieka, jak najlepiej wleźć w jego skórę i wzorowo wykonać swą misję.

— Uu, czy to prawda?! — spojrzałem na nią przykro zaskoczony. Skinęła głową i uśmiechnęła się, jakby uśmiech zastąpić miał przeproszenie.

— Co z nią zrobicie? — mimo wszystko uznałem, że powinienem wystąpić w jej obronie.

— Nie chcielibyśmy tracić tak zdolnego adepta i prymusa naszej szkoły superszpiegów, panie Piituu! Uu wyjedzie na kurs reedukacji, pozytywnej toksykacji, a jeśli, w co nie wątpimy, ukończy go pomyślnie — mrugnął do niej swoim smoczym okiem — zostanie reduplikowana na Ziemi.

— Ona już była reduplikowana!

— Nie, panie Piituu, dopiero będzie!

106

Tyle kłamstw! Tyle obłudy i to morderstwo, i ta działalność w Związku Antyludzkim, i to szkolenie na szpiega! Zatrząsałem się z oburzenia.

— Czy mogę zamienić parę słów z aresztowaną? — zapytałem komisarza, a gdy się zgodził, odciągnąłem U u na stronę i oznajmiłem jej, że zrywam zaręczyny.

— Nie rób tego, Mee — spojrzała na mnie błagalnie — nie znasz całej prawdy!

— Zamordowałaś z zimną krwią Tuutoomona, czy tak?

— Tak.

— Byłaś agentką wywiadu, czy tak?

— Tak, Mee.

— Wybacz, ale nie mogę hyc z tobą.

— Czy tylko dlatego? — spytała z gorzkim uśmiechem, utkwivszy we mnie nieruchome oczy kobry.

— Oszukałaś mnie i okłamałaś. Byłaś w spisku, należysz do Związku Antyludzkiego...

— Posłuchaj, Mee. Musiałam grać różne role, ale to były tylko role i to jest różnica! Za wiedzą Jego Magnificencji wstąpiłam do Eezalu tylko po to, żeby wykryć spisek w zarodku. Nie przyjmuję do wiadomości tego, co powiedziałeś. Jestem niewinna. Szczerze taka się czuję. Przemyśl po eechoń-sku całą sprawę, a zrozumiesz, że faktycznie taka jestem. A teraz na razie cię zegniam. Wrócę do ciebie, jak tylko będę mogła. Kochaj mnie! Żeby się nie zdemaskować przed spiskowcami, muszę zniknąć na jakiś czas i stworzyć pozory, że jestem aresztowana. Cześć! Stałem oszołomiony i osłupiały. Czyżby komisarz grał tylko komedię? To fakt, że widziałem, jak dziwnie mrugał okiem...

Odjechali!

Po tych strasznych emocjach, gdy skończyła się makabreska i wyszedłem z niej obronną ręką, powinien ogarnąć mnie spokój, ale nie zaznałem go. Noc była fatalna, prześladowały mnie majaki i złe sny o Ziemi. Wiedziałem, że mój brat cierpi z jakiegoś powodu i przez kogoś. Towarzyszyłem mu w tych cierpieniach i wraz z nim odczuwałem coraz większy niepokój o Beatę. Dlatego z miejsca zafrapował mnie jego śmiały pomysł. Nawet nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia. Od razu uznałem go za swój własny.

Przysłać Beatę tu! Ulokować ją w pawilonie po tej nieszczęsnej eechońskiej dziewczynie! To się nazywa idea! Podniecony zapatrzyłem się w tę niepozorną budkę i już w- wyobraźni widziałem, jak wychyla się z niej roześmiana Beata!

107

* *

*,

Zapakowałem do torby kłębek wełny, druty oraz pół palca nieszczęsnej rękawiczki, a następnie starannie owinięty w papier ajstheton i punktualnie | o piątej stawilem się u Beaty.

— Wiem, że się zgrywasz, jak zwykle — przywitała mnie na progu niezbyt przyjaznym tonem. — Ale byłam ciekawa, co wymyśliłeś nowego. Lepiej daj tę wełnę i spływaj.

— Rozumiem, że jesteś nieufna. Masz powody. Ale tym razem rzecz jest zupełnie serio. Przyznaję, że bardzo dziwna, a jednak nie ma tu żadnej lipy... — oznajmiłem tak poważnie, jak tylko mogłem.

— Poświęć mi pięć minut, a sama się przekonasz — to powiedziawszy wyjąłem z papieru hełm i kamizelę ajsthetonu, wciąż w bardzo skurczonej postaci.

— Co to jest? — zapytała zdumiona.

Podlubałem przy hełmie, nastawiłem ajstheton na najbardziej delikatny odbiór, by Beata nie odczuła zbyt przykrych sensacji związanych z wyostrzeniem słuchu i wzroku.

— Przymierz — podałem jej.

— Po co?

— Zrób, co ci mówię.

Jak było do przewidzenia, ajstheton nie znalazł uznania w oczach Beaty z punktu widzenia elegancji i wymogów mody. Za nic nie chciała przymierzyć, musiałem więc zacząć z innej beczki.

— Nie traktuj tego jako ciuch. Powiem ci, co to naprawdę jest, ale przysięgnij, że nikomu nie powiesz!

— Przysięgać? Ani mi się śni.

Z trudem zapanowałem nad sobą.

— Słuchaj, Beata. Czy ty na serio chcesz się dowiedzieć, co było w liście do Ełki? Czy chcesz na własne oczy zobaczyć ten list i przeczytać?!

— Przeczytać? Ty mnie robisz w konia, Strzyga, tylko nie wiem jeszcze w jakiego i po co!

Czyżbyś ukraść ten list? — przyglądała mi się podejrzliwie. — Nie, to niepodobne do ciebie, nie uwierzę.

— Nie ukradłem, a mimo to go przeczytasz! Zrób tylko, co ci powiem i ani słowa nikomu o tym, co się tu stało. Przymierz, że nie będziesz się dziwić!

— Och, daj spokój! Po co te ceregiele?!

— To zbyt poważna sprawa. Nikt się nie może dowiedzieć.

108

— No, dobra. Przymierzam i co dalej? ~

— Pamiętaj, że obiecałaś... Nie będziesz się dziwić, o nic pytać ani komentować... Włóż na siebie tę kamizelkę i to na głowę — podałem jej ajstheton.

— To niepoważne... Co ty ze mną wyprawiasz?!

— Obiecałaś nie dziwić się i nie pytać — ubrałem ją szybko w ajstheton.— A teraz skoncentruj się!

— Co? Niby jak mam się skoncentrować?

— Myśl intensywnie o tym liście i tylko o nim, nic innego cię nie obchodzi. Jest tylko ten list!

Staraj się go przeniknąć. Czy starasz się?

— Tak,

— Mów: Bardzo chcę być na ulicy Grota pod numerem dziewiątym... No, mówże!

— Chcę być bardzo na ulicy Grota pod numerem dziewiątym — powtórzyła Beata.

— Chcę bardzo zajrzeć do mieszkania Eli Belskiej...

— Chcę bardzo zajrzeć do mieszkania Eli Belskiej — powtórzyła.

— ...i do pudełka po czekoladkach „Bajadera”, gdzie Ela trzyma listy. Beata spojrzała na mnie zmieszana.

— No, cóż to za wstyd po niewczasie? Pamiętaj, co przyrzekłaś!

— ...i do pudełka po czekoladkach „Bajadera” — wykrztusiła.

— Chcę zobaczyć ten list od... Szynszyla — podpowiedziałem.

— Od kogo? — zdziwiła się.

— Od Szynszyla, tego waszego idola! To o niego ci chodzi.

— Nieprawda! — wybuchnęła. — Co ty z tym Szynszylem?

— Nie od Szynszyla? — teraz ja się zdziwiłem. — To od kogo?

— Od Korniszona — wyznała lekko zawstydzona. Zaniemówiłem. A potem krew mi uderzyła do głowy. Czułem się głęboko upokorzony. Kornel Olędzki z drugiej klasy liceum był to najmniejszy, najnędrniejszy ogryzek spośród wszystkich licealistów. Najmniejszy, ale najbardziej pewny siebie, przemądrzały i krzykliwy. Mogłem go przewrócić jednym palcem. Zdechłak! Ubodło mnie do żywego, że Beata przedkłada nade mnie kogoś takiego jak Korniszon.

— Jak to możliwe? — wybełkotałem. — Nigdy cię z nim nawet nie widziałem.

— Bo on o tym jeszcze nie wie...

— O czym?

— Że ja go kocham.

109

Opadły mi ręce. Nie, dziewczęta w tym wieku są faktycznie beznadziejne! W pierwszej chwili chciałem pożegnać się z godnością i odejść na zawsze od tej niemożliwej dziewczyny, ale potem pomyślałem, że to byłoby okrutne, że muszę ratować koleżankę z rąk cynicznego Korniszona (że był cyniczny, nie miałem wątpliwości). Winienem to uczynić ze względów moralnych i estetycznych. Widok Korniszona przy Beacie obrażał moje poczucie proporcji i piękna. Dziewczyna jest zgubiona, tylko szybkie wysłanie na planetę Uur może ją uratować. Zdenerwowany wzmocniłem napięcie ajsthetonu. Beata krzyknęła.

— To będzie trochę boleć, ale nie zwracaj uwagi! — zasapałem. — Koncentruj się i patrz! Wyteżaj wzrok. To nic, że cię razi w oczy. Patrz! Patrz!

— Widzę — wymamrotała Beata, łapiąc się za głowę.

— Zdjąć już hełm? — przestraszyłem się.

— Nie... — wykrztusiła. — Wytrzymam. To cudowne. Widzę jakby przez ściany... Pokój Elki. Jest to pudełko... Nie ma nikogo w pokoju. Błagam, podkreśl ten... ten „ajstek” jeszcze bardziej... Słabo widać, takie drobne litery...

— Może ci zaszkodzić, jak podkrecę...-

— Chociaż trochę. Podkreśliłem.

— No jak?

— Łeb mi pęka, ale widzę.

— Możesz czytać?

— Tak.

— Czytaj!

— „Zbyt poważnie to traktujesz. Nie mogę ci poświęcić tyle czasu. Miłość do zachłannej kobiety wykończyła już niejednego intelektualistę. Wybacz szczerą. Nie spotkamy się już.

Kornel”.

— Słyszałeś? Nazwał ją „zachłanną”! Zrywa z nią... Korniszon, kochany! — Beata zaczęła podskakiwać do góry z radości.

Co za nieczułość! Czy nie wiedziała, jak mnie to rani? Drżącą ręką wyłączyłem aparat i ściągnąłem go z rozpromienionego dziewczyniska.

Dopiero teraz zauważyła moją ponurą minę.

— Czy coś nie tak, Romku?

— Nie, skądże, wszystko okay.

— To wspomniały aparat!

no

— Widzisz, a nie wierzyłaś!

— Skąd go masz? Milczałem tajemniczo.

— Czy mogę go zatrzymać? — zapytała.

— Nie.

— Dlaczego, Romuś? Bardzo by mi się przydał.

— No pewnie, wyobrażam sobie. Miałabyś cały dzień Korniszona na widoku.

— Na Boga, Romek, czyżbyś był zazdrosny?

— A jak myślisz? Stropiła się.

— Ciebie też bardzo lubię... i w ogóle. Jesteś taki... taki inny. Stale czymś zaskakujesz. Przy tobie nigdy nie jest nudno... No i to, co pokazałeś dzisiaj... Romuś, daj mi ten aparat — pogłaskała mnie po głowie jak kotka.

— Nie wolno mi nikomu dawać ajsthetonu. Złożyłem przysięgę żełgałem.

— No to pożycz!

— Ani pożyczać!

— Romek, błagam cię, choć na dwa dni. Zrób to dla mnie! — pocałowała mnie. — Nikt nie będzie widział, słowo. Nikt się nie dowie. Pokombinuj jakoś. Znajdź sposób!

Udałem, że kombinuję w zamyśleniu.

— Jest jeden sposób — powiedziałem po chwili. — Możesz dostać drugi taki sam ajstheton.

— Gdzie? — zapaliła się.

— Nie bardzo daleko stąd. Tam, gdzie ja dostałem. Ale musisz przyrzec, że to zostanie między nami. Nigdy nie powiesz nikomu...

— Przyrzekam: nigdy, nikomu!

— Nawet Korniszonowi.

— Nawet Korniszonowi. Chodźmy tam zaraz!

— Spokojnie. Włóż dobre buty, najlepiej gumki! Będzie mokro. Ubierz się w jakąś wiatrówkę; tam jest chłodno i są komary. Weź latarkę, będzie już ciemno. I bez pytań. Jeśli się boisz, powiedz od razu. To nie jest wyprawa dla płochliwych smarkul!

— Ja, płochliwa? Mam za sobą trzy obozy i ze dwadzieścia biwaków! I warty nocne w najczarniejszym lesie...

— Dobra, bierz, co powiedziałem, i zmywamy się. Lepiej, żeby twoja stara nas nie widziała.

111

W niespełną godzinę później byliśmy już na moczarach. Po doświadczeniu z ajsthetonem Beata nabrała zaufania do mnie i nie zadawała głupich pytań. Zdążyliśmy przeniknąć do Thety z chwilą zachodu słońca, kiedy na parę minut stawała się widoczna. Na szczęście układ zasilania wciąż nie był naprawiony i drzwi nie stawiały żadnego oporu. Sprawdziłem działanie metachronu. Po wsunięciu klucza ściana uwypukliła się prawidłowo. Z jednej strony zaczął wys/twać się komputer, a z drugiej połyskujące wypustki w sześciu różnych kolorach; nacisnąłem tę z zielonym światełkiem. Ze ściany wyskoczyła szuflada, pomarańczowe łapy podały mi ajstheton w stanie skurczonym. Znakomicie. Szczęście mnie wciąż jeszcze nie opuszczało. Metachron, komputer i ich aparatura pomocnicza miały widać własny, prawdopodobnie awaryjny, system zasilania. Beata wpatrywała się to we mnie, to w urządzenia, przy których manipulowałem, z milczącym podziwem, pomieszanym ze strachem.

— Przymierz — powiedziałem spokojnie podając jej ajstheton. Chwyliła go w drżące z emocji ręce i włożyła.

— Pasuje?

— Tak.

— Zadowolona? No, to jest twój. Ale wypróbujemy jeszcze natężenie. Wierz mi, że nawet w tego

rodzaju sprzecznie mogą się trafić braki.

Zgodziła się łatwo. Wyregulowałem natężenie w hełmie i podłączyłem go do komputera.

— Co za niezwykła historia? Jak to wszystko odkryłeś? — po ustąpieniu pierwszego osłupienia zaczęła mnie zasypywać pytaniami.

— Obiecałaś nie pytać.

— No, przecież trochę możesz mi powiedzieć. Czy... czy to jest uuu-fó? — wykrztusiła.

— Coś w tym rodzaju.

— A... a,, oni?

— Jacy oni? •

— No, ci z tego uuufó.

— Nie bój się. Na razie ich nie ma. Zdążymy się zmyć, zanim wrócą. Ale nie pytaj więcej.

Wszystko opowiem ci w domu — porwałem połyskującą metalicznie kapsułkę, którą wyrzucił komputer. Był w niej kod genetyczny Beaty. Wsunąłem go do szpary analizatora.

Beata patrzyła na to, co robię, nic nie rozumiejąc.

Fajne przeżycia, co? — uśmiechnąłem się do niej. — Pomyśl, nikt

112

z naszej klasy, ba, ze szkoły, nie ma pojęcia, że może być coś takiego. Tylko tobie to pokazałem.

— Dlaczego akurat mnie? -- Nie domyślasz się? Zarumieniła się.

— Czy chcesz przeżyć coś jeszcze bardziej obłądnego? — zapytałem.

— Co? — zaciekawiała się. ,

— Zaraz zobaczysz. Siądź tutaj! — posadziłem ją naprzeciw metachronu. — Powiedz: chcę być tam, gdzie jest Romek.

Spojrzała na mnie nieco zaskoczona, ale powtórzyła posłusznie: — Chcę być tam, gdzie jest Romek.

W tym samym momencie przekręciłem regulator przy hełmie jej metachronu. Metachron jęknął i zaterkotał. Beata wydała słaby okrzyk i osunęła się zemdlna na podłogę.

Rzuciłem się przerażony na kolana i ściągnąłem z niej aparaturę. Żałowałem tego, co zrobiłem. To był zbyt wielki szok dla organizmu Beaty. Nie miałem prawa tego robić. A jeśli to ją zabiło?

— Beata! — potrząsałem rozpaczliwie jej bezwładną główką. — Przebacz! Otwórz oczy! Nie umieraj, Beata!

Co za ulga! Jej powieki drgnęły. Otworzyła oczy. Usiadła, przerażona, trzymając się za głowę.

— Co to było?

— Nic takiego. Po prostu usnęłaś i spadłaś z krzesła.

— To prawda, miałam sen — szepnęła przecierając oczy. ,— Zapamiętałaś go? — zapytałem ciekawie.

— Tak, prawie wszystko. Byłam wśród różowych i fioletowych gór iskrzących się jak kryształy. Nad strumieniem, pamiętam, był las jakby wysokich palm z pióropuszcami, ale to nie były palmy, bo miały kolor niebiesko granatowy...

— Daurusy srhocze — szepnąłem.

— Co?

— Nie, nic. Mów dalej, to bardzo ciekawy sen.

— Potem była długa dolina zarośnięta krzakami prawie zupełnie czarnymi i bardzo wiotkimi jak... jak włosy ludzkie.

Melanosy jedwabiste — pomyślałem. Melanosy w dolinie Telle.

— Piłam bardzo dobrą czystą wodę —' ciągnęła — a potem... — zawahała się jakby.

— Co potem?

113

— Potem spotkałam ciebie... — zaczerwieniła się.

— Gdzie?

— No tam, w tych dziwnych zaroślach. -- Co robiłem?

— Spałeś. Nie od razu poznałam, że to ty... Dopiero jak zacząłeś mówić przez sen...

— Co mówiłem? Spuściła głowę zakłopotana.

— Czemu milczysz? — zaniepokoiłem się. — Czy mówiłem coś nieprzyzwoitego?

-- Nie.

— Coś głupiego?

— Trochę. Powtarzałeś moje imię i jakieś niesympatyczne rzeczy o...

O Cydze i o Szynszylu...

— W porządku — odetchnąłem. — Mów dalej!

!.' — Byłeś w masce. Dopiero, jak zdarłam ci ją z twarzy, poznałam, że to ty. Na końcu chyba zasłabłam z tych wszystkich wrażeń, bo pamiętam, jak pochylałeś się nade mną... Wszystko jak z powieści sf. Ale ja przecież nie czytam tych bzdur. Skąd więc taki sen? Chyba nabiłam sobie głowę tym ufo.

-- Tak, chyba — powiedziałem. Nie miałem na razie zamiaru powiedzieć jej całej prawdy. To byłby dla niej za wielki szok. No i mogłaby mieć do mnie uzasadnione pretensje. W końcu to nie było całkiem uczciwe, co z nią zrobiłem. To przecież tak jak porwanie i to aż na daleką planetę systemu Strzały Barnarda!

v — Czas wracać, Beato — dodałem. — Myślę, że nie będziesz miała do mnie pretensji za dzisiejszy wieczór i za to, co się zdarzyło?

— Ależ skąd, co ty mówisz, Strzyga! Kapitalny wieczór. Nigdy tego nie zapomnę! No i cieszę się z tego prezentu! — potrząsnęła ajsthetonem

l ostrożnie włożyła go do kieszeni wiatrówki. — A w ogóle — dodała — to mnie jakoś bardzo odświeżyło. Nie tylko nie czuję się zmęczona, ale jakaś lekka, jakby... nowo narodzona.

-- Ciekawe określenie — uśmiechnąłem się.

Ja też czułem się lekko. Sen Beaty potwierdzał, że wszystko odbyło się okay. Więc pełny sukces! Beata jest na planecie Uur. Z daleka od Korniszona i wszystkich obrzydłych Gibonów!

— Czemu masz taką rozpromienioną minę, jakbyś wygrał milion na loterii? -- zapytała.

!

Vi ('"', V,"<IA W<tllt

1111

I

— Bo wygrałem. I to więcej niż milion.

— To ja chyba wygrałam.

— Oboje wygraliśmy. Nawet sobie nie możesz wyobrazić, ile wygraliśmy, Beatko.

Błyskając latarkami po bagnach (musieliśmy z daleka wyglądać jak błędne ogniki), weseli i szczęśliwi, popędziliśmy do miasta.

Tego dnia wstałem później niż zwykle. Byłem półprzytomny z niewyspania — znów te męczące sny o Ziemi i Beacie. Właściwie oczy zmrużyłem dopiero nad ranem, gdy Strzała Barnarda czerwieniała już niemal całą tarczą nad roziskrzonymi górami. Zerwałem się pełen radosnej nadziei. Pod koniec nocy dowiedziałem się da"wno oczekiwanej nowiny: jeśli wszystko się uda, Beata zawita na Uur jutro rano. Będzie próba reduplikacji, mój brat na Ziemi podjął ostateczną decyzję (w istocie podjęliśmy ją wspólnie; wciąż zapominam, że posługujemy się jednym i tym samym umysłem, aczkolwiek w zasadzie na przemian, to znaczy — nie obaj naraz). Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak mało zostało nam czasu i że nie będzie mi dane spędzić z Beatą ani jednego weekendu na tej niezwyklej planecie. No, bo kto mógł przypuszczać, że wypadki przyjmą tak galopujące tempo?

Już gdy przechodziłem przez portiernię uniwersytecką, wszyscy dziwnie zastygli na mój widok i odprowadzili mnie wzrokiem, a gdy wszedłem do sali wykładowej, by zabrać zostawione przez profesora preparaty, studenci, tak zwykle hałaśliwi i arogancy, wstali w ogromnej ciszy na mój widok. Tylko czemu patrzyli na mnie jak na szacownego trupa?

Rzecz wyjaśniła się niebawem, gdy z preparatami zdążyłem kuluarem. Z kancelarii uczelni wysunął się zaaferowany urzędnik i powiedział ścisłym głosem oraz z taką miną, jakby zdradzał sekret stanu:

— Mam nowinę, tylko nikomu ani słowa! Jest dekret nominacyjny dla pana. Zostanie panu oficjalnie i- uroczyscie wręczony podczas Wielkiej Nadzwyczajnej Sesji...

— Dekret nominacyjny? — nie zorientowałem się od razu. — Nominacyjny? Na kogo?
— Na Kawalera Korpusu Ostatnich Rezerw Wielkiego Brata — szepnął podekscytowany urzędnik.
— Gratuluję panu!

Serce zamarło mi na moment. Oto pośmiertna zemsta Tuutoomona.

117

Musiał jeszcze dawniej spreparować donos na mnie i zlecił przyjacielom wysłać go w dniu, kiedy zginie.

Jeszcze nie ochłonałem z poprzedniego szoku, gdy w kuluarze Instytutu Struktur Białkowych dopadli mnie koledzy bakałarze. Czy znam ostatnią nowinę? Najnowsze obwieszczenia? Czy studiowałem uliczne ekrany w kampusie? Wszędzie wielkie poruszenie. Data Wielkiej Nadzwyczajnej Sesji, o której od dawna się mówiło, została nareszcie ogłoszona! W poniedziałek przyszłego tygodnia Jego Magnificencja rektor Oodos Oomu ma ogłosić swój projekt rozwiązania problemu bio, który obmyślał samotnie i w ścisłej tajemnicy od wielu miesięcy na zlecenie Wielkiego Brata. Projekt jest podobno rewelacyjny, przewiduje śmiałe, radykalne posunięcia, które zlikwidują raz na zawsze braki w zaopatrzeniu ludności eechońskiej w życiodajne preparaty i zapewnią w najbliższych latach potrojenie dawek przydziałowego bio.

Nie chcąc się przed eechońskimi kolegami zdradzić z moimi prawdziwymi poglądami szybko opuściłem ich i zaszyłem się w cichej bibliotece uniwersyteckiej obok auli, aby opanować rozdygotane nerwy i zebrać do kupy myśli. Wiedziałem jedno. Należało przystąpić od razu do działania.

Gdy połączyłem obie zasłyszane wiadomości, sprawa wyglądała równie dramatycznie jak prosto. Muszę ukończyć moją misję przed dniem Wielkiej Sesji, bo grozi mi nieuchronnie deportacja do Korpusu Rezerw. Jeśli więc chce coś tu jeszcze zdziałać, to teraz i szybko!

Ale co zrobić z Beatą? Trzeba odwołać reduplikację. W tej sytuacji Beata nie może się tu pojawić. To byłoby zbyt niebezpieczne! Przez całą noc próbowałem skontaktować się z Ziemią. Nadaremnie. Żadnej łączności z moim bratem. Zasięgnąłem informacji w „Serwisie Galaktycznym”. Sprawa beznadziejna. Trwa burza magnetyczna. I według prognoz będzie trwać co najmniej trzy dni. A więc nic już nie da się zrobić! To nie było zbyt szlachetne, ale wcale nie zmartwiła mnie ta wiadomość, wprost przeciwnie — z zapałem zacząłem przygotowywać przyjęcie Beaty na Uurze. Równolegle w moim umyśle dojrzewała myśl rozprawienia się z Oodosem. Ten potwór naszpikowany kryształami nie może za żadną cenę wygłosić swojej „rewelacyjnej” mowy. Sądząc po jego niezwykłym zainteresowaniu Ziemią, jakie zdradzał w ostatnim okresie, oraz po odwiedzinach w „Departamencie do spraw Ludzi” uknute w ciemnych zakamarkach jego umysłu „ostateczne rozwiązanie problemu” z pewnością godzi bezpośrednio lub pośrednio w interesy, mówiąc łagodnie, Błękitnego Globu — mojej rodzinnej, kochanej planety, a mówiąc otwarcie i brutalnie — niesie nam,

I

ludziom, okrutne cierpienia i zagładę. Ratowanie Eehtonii kosztem Ziemi? Nie, na to nie mogłem się w żaden sposób zgodzić.

Mój plan był prosty. W każdy weekend rektor odbywał dłuższy spacer do doliny Telle. Dwa razy towarzyszyłem mu tam nawet, niosąc bioczułe strzelby, którymi posługiwał się polując na przelatujące gęsi łkawe. Zdążyły one do pobliskich żerowisk u podnóża Gór Ametystowych. Zauważyłem wtedy, że spacer Jego Magnificencji ma, zarówno myśliwski, jak zdrowotny charakter. Rektor, oddawszy kilka strzałów, rozkłada się pod zaroślami i melanosów jedwabistych i szuka rosnących w ich cieniu eeberonów płaskich. Te płaskolistne, płozące się rośliny wydzielają specjalną, bogatą w krzem, rosę. Zaobserwowałem niedyskretnie, że Jego Magnificencja czołgając się od eeberona do eeberona zlizuje ową rosę; posilony zaś udaje się na polanę nad rzeką Aahur, płynącą dnem doliny i tu wykonuje odprężający, lecz trudny technicznie taniec eendorro, składający się z trzynastu rytualnych figur. Następnie drapie się ostrymi pędami daurusa smoczego i bierze kąpiel w gorących wodach rzeki Aahur. Zauważyłem rzecz istotną: podczas tych zabiegów higienicznych, wykonywanych z dużym napięciem uwagi, traci czujność i popada w rodzaj ekstazy oddzielającej go od rzeczywistości. Przestaje reagować na bodźce ze świata zewnętrznego do tego

stopnia, że nie zwraca nawet uwagi na przelatujące mu nad głową gęsi łkawe, jtnimo że wydają przejmujące głosy, podobne do rozpaczliwego, żalosego łkania (stąd zresztą ich nazwa). Rasowy myśliwy wyskoczyłby z wody i strzelaj, a rektor ani drgnął, choć przecież uwielbiał polowania. Gdy jeszcze raz w ciszy biblioteki przeanalizowałem zachowanie Oodosa podczas weekendu, sposób postępowania z nim narzucił się sam.

Sezon przelotu gęsi łkawych niedawno już się zakończył. Nikt nie będzie więc towarzyszył ze strzelbami Jego Magnificencji. Wielebny Oodos Oomu podąży do doliny Telle sam. Wystarczy zacząć się w zaroślach melanosów nad rzeką Aahur w pobliżu miejsca, gdzie będzie brał kąpiel, następnie podkraść się do kryształowego pasa z kieszonkami, który rektor zdejmuje przed kąpielą i zostawia na brzegu. Pograżony w ekstazie i pozbawiony wszelkiej czujności, nie zauważy moich ruchów, nie zauważy także, jak zręcznie wyluskam mu z poszczególnych kieszonek pasa wszystkie kapsułki z bio. Wróciwszy na brzeg, wyczerpany tańcem i zdbiegami higienicznymi, nie będzie mógł zregenerować swych sił i naładować się energią. Obezwładnię go wtedy łatwo, Gdy nie będzie chciał dobrowolnie zdradzić mi swego tajnego planu, przy pomocy Boba i Beaty wytniemy mu z głowy pamięć i wyświetlimy ją panwideonem podręcznym, który mój robot stale nosi przy sobie.

118

119

Wydałem odpowiednie zlecenia' Bobowi. Było jasne, że Beata w tej sytuacji (oczywiście jeśli wszystko dobrze pójdzie z rekonstrukcją) nie zdąży nawet stanąć przed Komisją Kwalifikacyjną i otrzymać znamię zaszeregowania. By nie była prześladowana przez pulsatory, musieliśmy z Bobem coś wykombinować. To on podsunął mi rozwiązanie. Miałem przecież zaoszczędzonych już czternaście kapsulek z bio — cały mój dwutygodniowy przydział. Jest to preparat, jak wiadomo, trudno dostępny na rynku i poszukiwany przez Eechtonów, a także przez bakałarzy-asystentów komisji. Należy im zaofiarować bio w zamian za lewe znamię zaszeregowania.

Poszło mi łatwiej, niż myślałem. Wszyscy tu byli tak spragnieni bio, że nikt nie potrafił oprzeć się takiej łapówce. Nie oparli się także bakałarze. Pokusa była zbyt silna. Za moje czternaście kapsulek otrzymałem wyjątkowo piękne znamię dla Beaty: diadem iście królewski (według pojęć i miar ziemskich): kryształowa przepaska na głowę z wielką gwiazdą z rubinów pośrodku (imituj4cą zapewne Strzałę Barnarda),

Bob obiecał ponadto zaopatrzyć Beatę w ochronny kostium, by nawet w wypadku utraty diademu była zabezpieczona przed atakami pulsatorów.

Gdy tylko odwaliłem na uniwersytecie najpilniejsze zajęcia, udałem, że mam znów ból głowy z powodu wadliwej technicznie reduplikacji i uzyskałem od mego mistrza, profesora Aabo Iitede, zwolnienie aż do poniedziałku. Czy w ogóle doczekam poniedziałku? Nie pierwszy raz tego dnia ogarnęły mnie ponure myśli. I wyrzuty sumienia. Jak bardzo byłem samolubny! Zrobiłem wszystko, by ściągnąć tutaj Beatę. O tak, z tęsknoty, ale ile w tym było egoizmu! Przecież wiedziałem, co muszę zrobić, jakie niebezpieczne zadanie wykonać na tej planecie. I powinienem przewidzieć, że, ściągając Beatę tutaj, ściągnę śmiertelne zagrożenie na jej głowę!

Ale stało się! Trzeba przynajmniej zgotować jej miłe powitanie i zapewnić opiekę na najbliższe godziny.

Jeszcze tego dnia wyruszyłem wraz z Bobem do górnego piętra doliny Telle, tam gdzie zwykle pojawiają się zrekonstruowani. Po drodze u wylotu trasy wyjazdowej z Episteme zrobiłem ostatnie zakupy. Między innymi nabyłem dwa elastyczne samogrzejne kostiumy, wysadzone kryształami i kamieniami szlachetnymi, oraz specjalny, górski, bardzo ciepły śpiwór — wszystko dla Beaty. Bałem się by, nie zaaklimatyzowana, nie marzła podczas eechtońskich nocy.

Pakowałem właśnie Bobowi sprawunki do jego obszernych kieszeni i plecaka, gdy usłyszałem znajomy, dzwięczny jak srebro głos.

— Jak się masz, Mee? Jakie wspaniałe zakupy! Czy to prezenty dla mnie?

120

Zmieszałem się. To Uu! Już z powrotem! Czyżby mnie śledziła? — Uu, co tutaj robisz? — nie mogłem ukryć zniecierpliwienia w głosie.

— To, co i ty — odpowiedziała dziwnym ni to żartobliwym, ni szyderczym tonem. — Kupuję sprzęt na wycieczkę. — Dostałam przepustkę z „Wylegarni Szpiegów”. Zapowiada się piękny weekend, prawda? Nareszcie spędzimy go razem.

Chrząknąłem zakłopotany.

— Nie cieszysz się, Mee? Czyżby znów bolała cię głowa? Nie przerażaj mnie. Mamy tu dobrych specjalistów, z pewnością już cię wyleczyli.

— Posłuchaj, U u, to sprzęt dla Jego Magnificencji — zełgałem na poczekaniu. — Oodos Oomu spędzi prawdopodobnie cały weekend pod namiotem, by wypocząć na świeżym powietrzu przed sesją, wykonując nową rozszerzoną wersję tańca eendorro. To Właśnie on zlecił mi te zakupy, będę musiał więc towarzyszyć mu na campingu, droga Uu! Właśnie udaję się tam z Bobem, aby przygotować wszystko.

— Pójdę z tobą i pomogę ci — zaofiarowała się, stawiając mnie ponownie w kłopotliwej sytuacji.

— Wykluczone! — rzekłem ostro i odebrałem jej dość brutalnie śpiwór, ' który chciała nieść. — Musisz wracać na uczelnię. Profesor Iitede każe cię odesłać do dułu nów, gdy dowie się o takiej niesubordynacji. Chodź, Bob!

Wyszliśmy ze sklepu. Gdy po paru krokach obejrzałem się, zauważyłem z ulgą, że została, dziwnie usztywniona. Prawdopodobnie zabrakło jej bio, zbyt. dużo ją kosztowała ta rozmowa. Zdjęła swą ludzką maskę, jakby jej przeszkadzała. Obce eechońskie oczy patrzyły na mnie nieruchomo, oczy bez łez, ale ja czułem, że Uu po eechońsku płakała.

Pod koniec dnia zawędrowaliśmy, ja i Bob, w to samo miejsce, gdzie ja nie tak dawno ocknąłem się po rekonstrukcji. Bob wyciągnął śpiwory. Zmęczony wydarzeniami dnia i długim marszem postanowiłem zregenerować się porządnym snem, aby w formie powitać Beatę i jutrzejszy dzień.

Wiedziałem, że nie będzie to dzień łatwy. Zleciłem Bobowi czuwanie i obudzenie mnie natychmiast, gdy pojawi się Beata, ale gówniarz poszedł szukać jakichś promieniotwórczych kamyków, które ponoć sprawiają mu wielką przyjemność. W rezultacie przeoczyłem, a raczej przespałem zdrowo świt i obudził mnie dopiero przykry szelest. Beata klęczała nade mną i zdejmowała mi z twarzy maskę.

Nie przywitała się nawet. Była zbyt zaszokowana tym, co się stało. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wyjaśniłem, że sześć lat świetlnych od Ziemi, w systemie gwiazdy Strzała Barnarda. Nie chciała wierzyć. Dopiero gdy

121

zobaczyła wielką czerwoną tarczę gwiazdy wschodzącej nad różowymi górami, tarczę, która zajmowała prawie dziesiątą część horyzontu i kryształowe góry iskrzące się jak gigantyczne świeczniki i dziwną postać Boba, z ciekawością objężdżającą ją w kółko i wykrzykującą piskliwie słowa powitania, zrozumiała, że nie jest na Ziemi i zaczęła płakać.

Powiedziałem jej, dlaczego tu jestem, wyjaśniając spokojnie, że dopuściłem się zamachu na jej osobę i sprowadziłem ją tutaj podstępnie, czego bardzo teraz żałuję, bo nie mogę patrzeć, jak płacze. Wyznałem uczciwie, że zrobiłem to, owszem, z zazdrości (bo nie mogłem znieść jej lekkomyślnego chodzenia z Gibonami), ale przede wszystkim dlatego, że czułem się samotny na tej obcej planecie... Czy ona pomyślała, jak można znosić samotność biliony kilometrów od Ziemi? To wykańcza człowieka nawet tak odpornego jak ja najdalej w ciągu paru tygodni. A dlaczego ją właśnie wybrałem? Bo uważam ją za najwspanialszą, najbardziej sensowną, najdzielniejszą dziewczynę w naszej budzie, a chyba i na całym świecie. I marzyłem, że ta przygoda zbliży nas do siebie i będziemy przeżywać tu coś w rodzaju obłądnych „kryształowych” wakacji z dała od ludzi, tylko my dwoje... Niestety, sprawy przybrały inny obrót, tempo wydarzeń nabrało pędu, bardzo mi przykro, ale muszę ją uprzedzić: nie będzie „kryształowych wakacji”, zaczyna się niebezpieczna rozgrywka. Mam' odpowiedzialną misję do spełnienia. Nie musi się do tego mieszać. Może odlecieć jeszcze dzisiaj wieczorem bliźniaczym statkiem kosmicznym Thety, który nazywa się Dzeta. Lot będzie trwał dziewięć lat, ale ona, Beata, nie zestarzeje się więcej niż o parę miesięcy, bo będzie lecieć z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Takie dziwne są prawa kosmosu. W dodatku te dziewięć lat może jej zlecieć w oka mgnieniu, jeśli na początku podróży podda się

zabiegowi hibernacji, co Eechtonowie stosują już nagminnie i bez żadnych technicznych problemów.

Ale ona otarła oczy i, wciąż jeszcze szlochając, odmówiła. Sądziłem, że boi się takiej podróży i nie wierzy w jej powodzenie. Próbowałem ją uspokoić, że lot niczym nie grozi, a zresztą niech pamięta, że jest tylko drugim egzemplarzem Beaty, że pierwszy został na Ziemi, więc powinna czuć się podwójnie bezpieczna. Ale ona odpowiedziała, że wcale nie dlatego decyduje się zostać tutaj. I że doprawdy dziwi się, że nie pojąłem prawdziwego powodu.

Zmieszałem się. Istotnie, zapomniałem na moment, jaka jest naprawdę Beata, te jej babskie łyżki tak mnie zmyliły. A sprawa jest zupełnie prosta. Beata jest bardzo dzielna i uwielbia „służyć sprawie”.

Kiedy wyjaśniłem jej sens

122

moich poczynań na Uur, nie mogła postąpić inaczej, nie mogła mnie tu zostawić samego w obliczu tak ważnych zdarzeń. Musiała zostać ze mną. Wolałbym wprawdzie, żeby została także z bardziej osobistych powodów, ale dobre i to.

Po odbyciu badań kontrolnych wystroiliśmy, ja i Bob, naszą nową partnerkę w strój chroniący przed pulsatorami i ku jej tym razem czysto babskiej satysfakcji i źle ukrywanej radości włożyliśmy na główkę królewski diadem z kryształów górskich i rubinów.

W doskonałym nastroju zaczęliśmy schodzić do dolnego piętra doliny Telle. W godzinę później rozbiliśmy mały obóz w gęstych zaroślach melanosów jedwabistych.

* *

*

Rano obudziły nas podniecone piski Boba. Alarmował, że rektor Oodos Oomu pojawił się już na polanie.

Ogarnęliśmy się z grubsza i pośpiesznie zajęliśmy pozycje za krzakami, jak najbliżej niego, czekając niecierpliwie, aż odbędzie rytualny taniec, oczyści swoje łuski szorstkimi pędami daurusa i zanurzy się w rzece Aahur. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, aż do pewnego momentu. Bez kłopotów wyjęliśmy mu z pasa cały zapas bio, a wyczerpanego zaciągnęliśmy w krzaki melanosów. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, czego od niego chcemy. Domagał się tylko, by mu oddano bio. Dopiero gdy ja i Beata zdarliśmy maski i zobaczył, że ma do czynienia nie z Eechtonami, ale z ludźmi, coś mu się w ciemnych zakamarkach mózgu odetkało. Oświadczył bełkotliwie, że przemówienie, jakie ma wygłosić na Sesji Nadzwyczajnej, dotyczy wyłącznie produkcji bio z planktonu oceanów ziemskich. A ów pomysł, który miał wywołać taką sensację w Eechtonii, polega po prostu na zawarciu traktatu handlowego z Ziemią. Surowce mineralne, kamienie szlachetne i półszlachetne w zamian za prawo eksploatowania planktonu.

Ku mojemu zdumieniu Beata, nie mająca pojęcia o mentalności Eechtonów, chciała brać te tłumaczenia za dobrą monetę. Ja nie ufałem rektorowi zupełnie. Miał nas chyba za głupców sądząc, że uwierzymy w możliwość otrzymywania bio z planktonu! Również zbyt dobrze znałem pogardę Oodosa i innych Eechtonów dla gatunku ludzkiego, by uwierzyć, że gotowi są traktować nas jak partnerów handlowych i zawierać jakieś traktaty.

Powiedziałem mu o tym.

123

— Radzę dobrowolnie zdradzić pańskie prawdziwe zamiary względem Ziemi, inaczej będę musiał uciec się do innych sposobów — zakończyłem.

Oświadczył na to, że żąda podania przynajmniej jednej kapsułki bio. ponieważ nie jest już w stanie ani siedzieć, ani mówić. Po złożeniu tego oświadczenia wyciągnął się na kamieniach z twarzą zwróconą w niebo, rękami ściskając głowę.

Nie wiedziałem, co robić. Może rzeczywiście dać mu tę kapsułkę? Nagle usłyszałem alarmujący pisk Boba. Spojrzałem. Robot doskoczył do rektora i szarpał go za rękę.

— Co mu robisz, Bob?

— To sprytna sztuka, sir. Wyciągnął sobie pamięć i chciał ją ukryć poci kamykami.

Gdy pochylałem się nadrektorem, on z niespodziewaną siłą zerwał się na nogi i zaczął uciekać w stronę rzeki. Pognaliśmy wszyscy troje za nim. Nie dobiegł. Ten zryw zaszкодził mu ostatecznie.

Obejrzałem jego ciało. W tyle głowy, w miejscu gdzie zwykle nosił duży ozdobny kryształ, widniała spora dziura... widać było zerwane przewody. Zrozumiałem teraz fenomen pamięci profesorów z Uur. U Eechtonów pamięć stanowiła łatwo wymienialną część organizmu. Zużyta — można było wymienić na nową, a do starej pamięci dokładać niemal w nieskończoność nową; miejsca w pękatej komorze mózgowej Eechtonów było dość.

Wróciliśmy do miejsca, gdzie poprzednio leżał rektor i po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy jego pamięć. Była podobna do sporej, spłaszczonej z jednej strony, muszli.

— Wyświetl ją, Bob! — rozkazałem.

Bob wyciągnął z jednego ze swych zasobników panvideon i wsunął pamięć rektora do elastycznego otworu aparatu. Rozległy się niezrozumiałe dla mnie i Beaty popiskiwanie, ale Bob i mój spiker przetłumaczyli je bez kłopotów. Niektóre sformułowania dla pewności kazałem Bobowi powtarzać parę razy. Wkrótce byliśmy w posiadaniu tajnego projektu Oodośa. A oto jego główne tezy:

1) Ziemia nadaje się do kolonizacji ze względu na skład chemiczny zarówno gleby, jak i atmosfery. Na podkreślenie zasługuje szczególnie duża ilość krzemu w skałach i powszechność jego występowania.

2) Jedynym mankamentem jest stosunkowo niska temperatura tej planety. Można jednak za pomocą wierceń zapewnić w niektórych okolicach dostawę ciepła z głębi globu. Tereny cieplejsze, po wysiedleniu z nich ludzi, winny być oddane osadnikom eechońskkn.

124

3) Wysiedleni ludzie będą umieszczeni w farmach hodowlanych. Po przeprowadzeniu badań i klasyfikacji zostanie z nich pobrane bio według jednocześnie opracowywanej biotechnologii. Należy dążyć do stopniowego wyeliminowania z hodowli osobników starszych i mniej wartościowych. Należy zadbać o to, by pobieranie bio odbywało się nie później niż po osiągnięciu dwudziestego piątego roku życia, kiedy jego stężenie u osobników hodowanych jest największe. W przyszłości starać się metodą selekcji i manipulacji genetycznych obniżyć optymalny wiek do 10—15 lat i osiągnąć stężenie co najmniej dwukrotnie większe od obecnego.

4) Po pobraniu bio materiał hodowlany winien być przerobiony na sproszkowany preparat odżywczy po uzupełnieniu związkami krzemu i wydawany dulonom w zakładach pracy na kartki.

Długo staliśmy wstrząśnięci tezami projektu Wielebnego Oodośa Oomu, rektora i najwyższego kapłana Świątyni Wiedzy. Następnie kazałem Bobowi zniszczyć na naszych oczach muszlę pamięci Jego Magnificencji — zbrodniczej pamięci.

Otwarta pozostała kwestia, co zrobić z samym Oodośem. Bob zaproponował, by wyposażyć go w zastępczą pamięć i wypuścić. Zgodziliśmy się na takie rozwiązanie. Ponieważ Bob dysponował tylko jedną pamięcią zapasową, a mianowicie pamięcią dwuletniego dziecka, którą się wczepia karnie zbuntowanym dulonom, nie mając innego wyjścia, w nią zaopatrzyliśmy rektora.

Wyobrażaliśmy sobie konsternację, jaką wywoła na sesji, gdy okaże się, że czołowa sława nauki eechońskiej ma mentalność dzidziusia. Nic nie wie i nic nie pamięta!

Innym razem i gdyby to było na Ziemi, może pękalibyśmy ze śmiechu, ale tu nie było nastroju do wesołości. Groza jeszcze ciążyła nad nami jak czarna chmura i nic nie zdołało jej rozpedzić.

Powoli zabraliśmy się do pakowania spiworów i sprzętu campingowego. Podeszedłem nabrać na drogę wody do kanistra. Nagle, gdy pochyliłem się nad lustrem rzeki, ujrzałem tam prócz mojego jakieś obce oblicze. Jednocześnie usłyszałem chrzęst kamyków na brzegu tuż za sobą. Drgnąłem i odwróciłem się. Nade mną stała Uu. Była w masce człowieka.

— Witaj, Mee! Szczerzy chłop z ciebie — rzekła drwiąco. — Odkąd to Jego Magnificencja ma dziewczęcą figurę?...

— Posłuchaj, Uu — chciałem jej przerwać, ale nie dała mi dojść do słowa.

!

— Wiem wszystko. Od początku domyślałam się, że jesteś człowiekiem, Mee. Ale nie było to dla mnie ważne. Kochałam cię. To się tylko liczyło.

127

Kochałam cię wbrew temu, co nas uczono w szkole, ale ty... jak ty postępowałeś ze mną?

Dlaczego wciąż kłamałeś? Dlaczego mnie zwodziłeś?

— Ja cię zwodziłem?

— Po co dałeś mi bio, skoro mnie nie kochałeś?

— Ależ, Uu, postaraj się zrozumieć...

Ale na próżno tłumaczyłem. Okazało się, że Uu nie znała i nie rozumiała zupełnie takich pojęć jak współczucie, litość, bezinteresowna życzliwość, po prostu dobroć. To, że dałem jej za darmo bio, mogło, według pojęć Eechtonów, znaczyć tylko jedno: zakochałem się w niej, chcę się wkupić w jej łaski... A gdy przekonała się, że jej nie kocham, uznała mnie za oszusta i kłamcę.

— Nie rozumiem twoich wykrętów i nie chcę rozumieć — oświadczyła. — Zapłacisz mi teraz za tę wzgardę, którą czułam w tobie ód początku. Kiedy cię z nią zobaczyłam — wskazała palcem (jednym z siedmiu) w kierunku Beaty — nie miałam już żadnych skrupułów i zawiadomiłam czarną policję. Długa jest lista twoich przestępstw łącznie z tym, co dzisiaj zrobiłeś z Jego Magnificencją... Spotkałam go ogłupiałego na drodze. Szczebiotał jak dziecko i nie wiedział, kim jest. Zniszczyć taką kosmiczną sławę, taką cudowną naukową pamięć! To niewybaczalna zbrodnia! Ale właściwie, żeby cię ukarać śmiercią, wystarczy w zupełności jedno przestępstwo — że jesteś człowiekiem! Policja zaraz tu będzie, Mee, ale obronię cię, odwołam oskarżenie, tylko zostaw tę dziewczynę z Ziemi i chodź ze mną.

— Nie mogę tego zrobić, Uu! — powiedziałem.

— Przekaż ją uniwersytetowi, nic się nie stanie...

— Nawet gdybym ci wierzył, nie opuściłbym Beaty.

— |A zatem giń! — zerwała z siebie maskę ludzką i podeptała ją z wściekłością. — Gińcie wszyscy! Rzucam na was moje przekleństwo, ludzie! — krzyknęła i pognąła jak szalona przed siebie.

Chciałem rzucić się za nią, jeszcze raz spróbować wytłumaczyć, ale nagle zobaczyłem, że z ciemnej ściany daurusów smoczych wychodzi tyraliera Eechtonów w czarnych kostiumach.

Ostrzegłem Beatę i Boba.

— Niech pan ucieka w góry, sir — powiedział Bob. — Tu już nie znajdzie pan schronienia. Niech pan zabierze dziewczynę i ucieka!

— Chyba nie mam żadnych szans — powiedziałem.

— Ma pan szansę, sir — próbował podtrzymać mnie na duchu. — Zatrzymam ich tutaj tak długo, aż pan wycofa się bezpiecznie.

Bob wyszedł naprzeciw zbliżającej się tyraliery, zdarł z siebie wierzchnią

128

warstwę tworzywa i rozłożył ręce. Z początku poczerwieniał tylko, lecz szybko zaczął jaśnieć coraz to bardziej żółtym i jaskrawym światłem. Agenci policji wycofywali się w nieładzie.

— Powiedziałem, niech pan ucieka, sir! Oni tu zaraz wrócą w kostiumach przeciw promieniom!

-

— A ty?

— Ja już nie nadaję się do służby, sir. Płonę, mam wszystkie podzespoły w ogniu. Spełniam teraz ostatnią funkcję. Przykro mi, że nie mogę niczym więcej służyć. Ale zatrzymam ich tak długo... tak długo... długo... dłu... — zająknął się, promienie zniszczyły ośrodek jego mowy.

Patrzyłem na Boba ze łzami w oczach. Zupełnie jakby umierał prawdziwy, żywy przyjaciel... Żegnaj, Bob!

W dwie godziny później byliśmy już wysoko na przełęczy w górach. Wiedziałem dobrze, że nie ma już dla nas ratunku, ale nie mówiłem o tym Beacie. Zastanawiałem się, czy nasza ofiara, fe, co za słowo, powiedzmy lepiej — nasze skromne poczynania w obronie Ziemi nie pójcUf na marne.

Oczywiście udaremniłszy publikację zgubnego dla ojczystego globu projektu, a przez to odsunęliśmy inwazję Eechtonów na pewien czas, może nawet na dłuższy czas, ale nie ma wątpliwości, że prędzej czy później kto inny, choćby na przykład mój czcigodny profesor Aabo Iitede, wpadnie na taki sam pomysł jak Wielebny Oodos Oomu. Czy ludzie na Ziemi rozumieją, co im zagraża, czy będą przygotowani i czujni, czy potrafią zjednoczyć się i w porę zażegnać niebezpieczeństwo? Rozmawiałem o tym z moim bratem Romkiem na Ziemi. Powiedział, że robi

wszystko, co w jego mocy, by ostrzec, kogo trzeba. Ale czy mu uwierzą?
Coraz trudniej było oddychać. Zatrzymywaliśmy się co kilka kroków, patrząc na olbrzymią tarczę czerwono zachodzącej za kryształowe góry gwiazdy. Czy to będzie ostatnia noc naszego życia? Robiło się coraz mroźniej i straszniej.

— Boję się — Beata tuliła się do mnie. — Czy musimy iść aż tak wysoko?

— Nie mamy innego wyjścia — wysapałem. — Gdyby nas złapali, reszta życia upłynęłaby nam w mękach, wiesz, jakie oni straszne robią doświadczenia z ludźmi. Wyssaliby z nas bioenergię i zoperowaliby pamięć. Czy tak chciałabyś umierać?

129

— A tu? — obejrzała się ze strachem.

— Tu nie będzie śmierci — powiedziałem.

— Nie będzie?

— Po prostu tylko uśniemy.

— Tylko? Śmierć też nazywają snem.

— Nasz sen będzie inny. Obudzimy się i odnajdziemy na Ziemi. Żyjemy przecież i tu, i tam.

Jesteśmy w dwu egzemplarzach, Beato. Czy wciąż nie możesz w to uwierzyć? Na pewno obudzimy się i odnajdziemy.

— Myślisz?

— Tak. I wszystko będzie tak jak tutaj.

— A jak nie będzie?

— Będzie — uściskałem ją. — Czemu miałoby być inaczej?

— Może... nasza... nasza przyjaźń mogła trwać tylko tu? Tu, gdzie jesteśmy sami. I gdzie jest tak inaczej i tak obco. I strasznie. Może tylko ta okropna gwiazda, ten czerwony karzeł to sprawił?

— Gwiazda Barnarda? — uśmiechnąłem się gorzko. — Przyjaźń pod czerwonym karłem?! — moje słowa rozniosły się po skałach złowieszczym echem. — Nie, to fatalnie brzmi! Słyszysz, Beato? Nie wolno ci nawet tak myśleć. Nie uda ci się już nigdy mnie zapomnieć po tym, co tutaj przeżyliśmy. To nas na zawsze złączy!

Ruszyliśmy dalej. Ogarniały nas coraz gęściejsze mgły jak dymy kadzideł. Odurzający, kojący zapach unosił się w powietrzu. Beata uspokoiła się.

— Tu muszą być kwiaty — powiedziała. — Dużo kwiatów. Poszukajmy ich, chodź!

Wspinaliśmy się coraz wyżej, czując woń kwiatów, których nie było. Nie wiedzieliśmy, czy wciąż jeszcze idziemy, czy może jest to już sen...

Tej strasznej nocy miałem gorączkę, oblewały mnie poty, męczyłem się, mówiłem i krzychałem przez sen. Widziałem wszystko, co się zdarzyło pod tą przeklętą gwiazdą.

Tej strasznej nocy oni musieli być także tutaj. Zabrali mi ajstheton i kluczyczek, zatarli wszystkie ślady. Gdy sięgnąłem pod poduszkę, niczego już nie było.

Obudziłem się późno, wyczerpany, ale bez gorączki. Kryzys minął. Jestem! Żyję! Ale było mi smutno, że jestem już tylko na Ziemi. Znów wszystko będzie zwyczajne i takie... takie wyłącznie ludzkie.

130

Ale tak się musiało stać. Chyba nie miałem szans, na dłuższą metę w żadnym razie. Byłem smutny, ale nie gtfębiło mnie poczucie klęski. Mój krótki pobyt tam nie był bezowocny. Mój przypadek z pewnością da coś do myślenia Eechtonom, ostudzi nieco ich zamiary i zmusi do powtórnego przeanalizowania planów. Byłoby może naiwne przypuszczać, że zrezygnują ze swych strategicznych celów, deficyt bio skłania ich do podjęcia ryzyka, ale nie będę chyba zbyt nieskromny, gdy powiem, że po doświadczeniach ze mną nabiorą nieco respektu przed ludźmi i odsuną „ostateczne rozstrzygnięcie” w czasie.

Oczywiście, gdy byłem na Uurze, brałem także pod uwagę możliwość innego rozwoju i ułożenia stosunków Uur — Ziemia: jakieś pertraktacje galaktyczne, wymiana handlowa, eksport bio w zamian za technikę eechton-ską, ale wątpię, czy Eechtonowie byliby do tego zdolni, a gdyby nawet... Rzecz w tym, że bio także u nas na Ziemi staje się coraz bardziej deficytowe, w żadnym wypadku nie mamy go w nadmiarze, szastaliśmy nim nieopatrznie i marnowaliśmy dość głupio.

Nie, to przynajmniej w najbliższej przyszłości raczej nie wchodzi w grę. Nasuwa się w tej sytuacji pytanie, co ze mną? Już wiem, że nie zapomnieli i będą próbowali osiągnąć mnie tutaj. Po tym, co zaszło, z pewnością nie dadzą mi spokoju. Boję się konsekwencji. Już zabrali mi ajstheton. Co zabrają następnym razem? Jak będzie wyglądała ich zemsta? Jaki zapadnie wyrok? W nerwach czekam, co będzie dalej. Wiem, że po tym, co przeżyłem, co poznałem, nie wolno mi być beczynnym, muszę działać, ostrzec, bić na alarm. Ze wszystkich ludzi tylko ja zgłębiłem ich tajemnice; to, czy świat się o nich dowie, tylko ode mnie zależy! Uginam się pod odpowiedzialnością, która mnie przerasta, nienawidzę jej, chciałbym ją zrzucić, zapomnieć o tym, co widziałem, żyć, jakby się nic nie stało... Gdyby Beata... Ona jedna mogłaby mi pomóc, może uwolniłbym się od koszmaru i położył krzyżyk na wszystkim, ale Beata chodzi z Korniszonom, mnie unika. Twierdzi, że źle wpływam na nią. Kiedy z nią byłem, bolała ją głowa i miała niedobre sny.

Rozumiem ją i nie dziwię się. Po tym, w co ją wpakowałem, ma prawo mieć mi za złe... To nie była przygoda dla niej. Nie ten typ przygód podoba się normalnym dziewczynom, a Beata jest okropnie normalna! To jednak piekielna realistka (z jednym niepojętym wyjątkiem — słabością do Korniszona). Gdybym kazał jej przeżyć sen o jakimś podrygującym typku z dyskoteki albo o idolu z estrady, gdybym jej zaserwował jakiś melodramat rodzinny do wyciskania łez, ale z happy endem, to co innego, ale tak... Po prostu boi się moich pomysłów, wyczuwa jakąś fatalną aurę wokół mnie, więc... jestem sam,

131

wydany na pastwę niespokojnych myśli, szalonych rojeń i makabrycznych wspomnień z planety Uur.

No więc dobrze, skoro nie mogę się -uwolnić, poniosę ten ciężar do końca! Widocznie tak mi pisano w gwiazdach.

Dwa dni temu podjąłem tę szlachetną decyzję. Wiem, że aby nie wyjść na durnia, muszę zdobyć konkretne dowody. Proste to nie jest — oni zatarli ślady, przyczaili się. Byłem o świcie i o zachodzie słońca na Moczarach Szreniawskich, rozglądałem się po rozlewiskach. Nadaremnie. Świetlista hemisfera nie wyłoniła się z bagna, ale wiem, że pojawi się gdzieś znowu, mogą tylko zmienić miejsce lądowania. Czytam więc pilnie gazety, nasłuchuję plotek o nie zidentyfikowanych obiektach i nietypowych zjawiskach świetlnych w atmosferze. A nawet, gdyby to nic nie dało (w co nie wierzę), mam jeszcze jeden, niebezpieczny wprawdzie, ale niezawodny sposób! Postraszę ich, że opublikuję te zapiski. Zmuszę ich wtedy do nagłych nerwowych działań. Będą chcieli zamknąć mi usta, prawdopodobnie spróbują mnie zabić i to właśnie będzie dowód! Gardząc ludźmi i nie doceniając ich zdolności nie będą z pewnością zbyt ostrożni i pozostawią demaskujące ślady.

A na wypadek, gdyby mi się coś stało, zostawiam dwa odpisy tego eechtonskiego pamiętnika. Jeden u Beaty, a drugi u Witka

Zegnajcie! • S^ • |

i

Z dziennika Beaty Z.

7 czerwca, sobota

Byłam umówiona na piątą z Korniszonom, ale musiałam zostać i pilnować Mikołaja, bo zachorowała zmienniczka mamy i mama poszła odbębnić za nią dyżur.

Pada deszcz. Korniszon czeka pewnie pod parasolem w bramie, kina, a mnie płakać się chce. Z nudów próbowałam dziać (śmieszne słowo) rękawiczki (te zaczęte i odłożone w zimie) i dziejąc przypomniałam sobie Romka Pituckiego (bardziej znanego pod przewiskiem Strzygi). A potem wydostałam z szuflady te bazgroły, które mi dał do przechowania i zaczęłam czytać. Byłam zdziwiona, czemu chowa je u mnie. Wyjaśnił, że boi się Eechtonów. I, pewnie, żeby było ciekawiej, zabronił mi do nich zaglądać, chyba że „coś się stanie” To jakaś nowa jego zgrywa. Nigdy nie wiadomo, czy mówi serio, czy żartuje.

Boże mój, co on tam powypisywał! Jak mu się chce zmyślać takie rzeczy! Biedny Strzyga, on jest naprawdę bardziej stuknięty, niż myślałam.

13 czerwca, piątek

Ręce mi drżą, kiedy wklejam tę notatkę.

„Uczeń szkoły Glogera Roman P. został znaleziony nieprzytomny na Moczarach Szreniawskich, na terenie rezerwatu. W podrapanej ręce ścisnął kilka łusek podobnych do rybich, ale znacznie większych, w kieszeni miał pełno ametystów (?!), na głowie ślady szwów chirurgicznych, choć rodzice chłopca zaprzeczają, by kiedykolwiek przechodził operację czaszki. U poszkodowanego stwierdzono wycinkowe zaniki pamięci i znaczne obniżenie ilorazu inteligencji. Wskutek częściowej amnezji nie jest w stanie udzielić żadnych informacji. Specjalna komisja bada ten niecodzienny wypadek”.

133

To notatka z dzisiejszej gazety. Wklejam ją i płaczę.

Siedzę w nerwach od godziny. Zupełnie nie wiem, co robić.

Powinam chyba pokazać Romkowe zapiski tej komisji... albo... albo przynajmniej rodzicom Romka, a jeśli już nie pokazać, to przynajmniej opowiedzieć, co napisał. Ale boję się. Wszystkiego już teraz się boję. Boję się mówić, boję się milczeć, boję się cokolwiek robić i boję się nic nie robić, boję się usnąć, boję się iść ulicą. W końcu jestem w to wszystko zamieszana. Ten wariat wpędził mnie w niewiarygodne tarapaty. Po prostu panicznie się boję.

dopisano o 11.30 wieczorem

Postanowiłam czekać, czy Witek Kuplewicz się odezwie. On ma drugi egzemplarz tych notatek. Ale co zrobię, jeśli oni załatwią także jego?

dopisane o 12.00 Uwierzyłam w Echtónów. Boże, czy jeszcze kiedykolwiek usnę?!